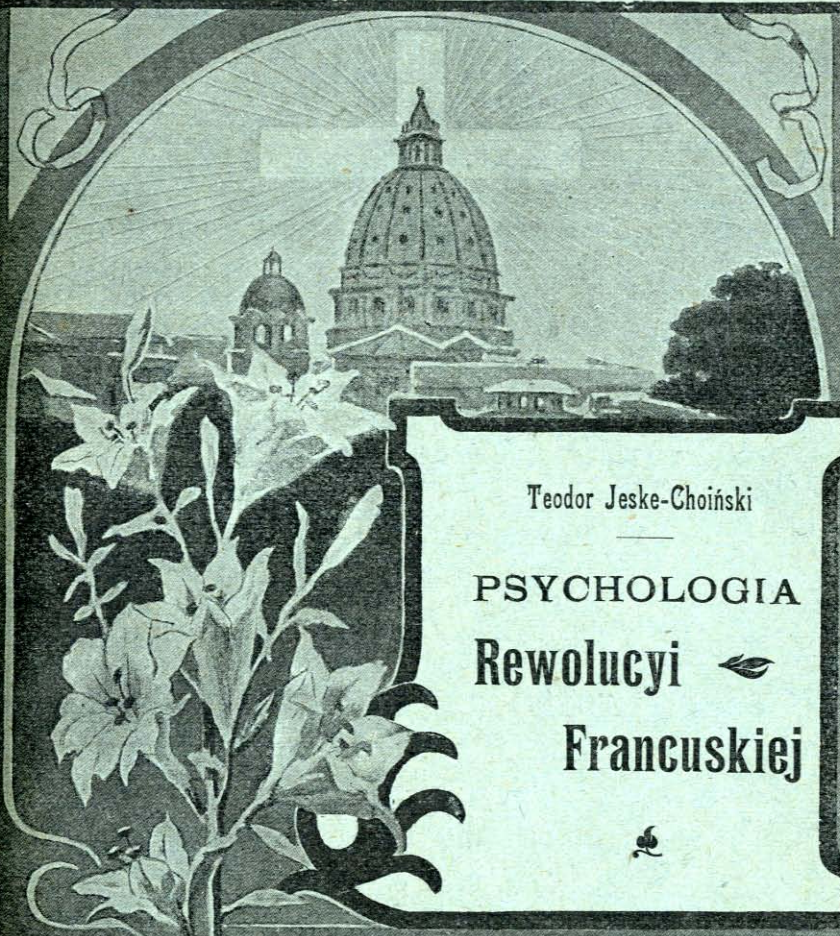


Teodor Leske-Choiński


PSYCHOLOGIA
REWOLUCYI
FRANCUSKIEJ



BIBLIOTEKA
DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH



Teodor Jeske-Choiński

PSYCHOLOGIA
Rewolucyi 
Francuskiej

Redaktor i wydawca
KS. ZYGMUNT CHEŁMICKI

St. Sądziński 1400

♦♦♦♦ WARSZAWA ♦♦♦♦

Redakcja: Podwale 27. ♦ Administracja w Księgarni Gebethnera i Wolffa

Warunki prenumeraty

BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

<i>w Warszawie:</i>		<i>z przesyłką pocztą:</i>	
Rocznie	rub. 6 —	Rocznie	rub. 8 —
w oprowie „	8.40	w oprowie „	10.40
Półrocznie	„ 3 —	Półrocznie	„ 4 —
w oprowie „	4.20	w oprowie „	5.20
<i>w Krakowie i we Lwowie:</i>		<i>z przesyłką pocztą:</i>	
Rocznie	koron 18 —	Rocznie	koron 20 —
w oprowie „	24 —	w oprowie „	26 —
Półrocznie	„ 9 —	Półrocznie	„ 10 —
w oprowie „	12 —	w oprowie „	13 —
<i>w Poznaniu:</i>		<i>z przesyłką pocztą:</i>	
Rocznie	Mk. 16	Rocznie	Mk. 21
w oprowie „	21	w oprowie „	26
Półrocznie	„ 8	Półrocznie	„ 11
w oprowie „	11	w oprowie „	13

Adres redakcyi: Podwaie № 27

Ekspedycja główna w księgarni Gebethnera i Wolffa
w Warszawie i G. Gebethnera i S-ki w Krakowie

Prenumeratę przyjmują także wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą

Księgarnia GEBETHNERA i WOLFFA

poleca pracę

Jerzego Goyau

O katolicyzmie socyalnym,

z 3-ego wydania francuskiego spolszczyła M. Cz.

cena 60 kop.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

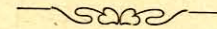
PSYCHOLOGIA REWOLUCYI FRANCUSKIEJ.

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

PSYCHOLOGIA REWOLUCYI FRANCUSKIEJ

PRZEZ

Teodora Jeske-Choińskiego.



WARSZAWA

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa
Kraków G. Gebethner i S-ka.

1906.

Druk Piotra Laskauera i S-ki w Warszawie.

75 /

CZYT. GŁÓWNA
30792



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0272381

92060

K-123/78/92060

OD AUTORA.

Jest rzeczą szczególną, jak mało uczą się potomkowie od przodków. Każde pokolenie zaczyna robotę od samego początku, mniemając, wierząc, iż ono dopiero odkryje ów „kamień filozoficzny“, który zapewni nareszcie ludzkości szczęście, poszukiwane od lat tysięcy, i każde popełnia te same błędy. Zawsze jest syn z chwilą, gdy poczuje w sobie siły pierwszej młodości, mądrzejszy od ojca, zawsze spogląda wnuk z lekceważeniem na doświadczenie długiej przeszłości. Nikt nie chce zrozumieć, przyznać, że podwaliną przyszłości danego narodu powinna być przeszłość, że gwałtowne zerwanie nici ciągłości historycznej wywołuje konwulsje, które kończą się zwykle tragedią.

Jest w historii ludzkości jedna chwila, oświetlająca tak jaskrawymi, krwawymi blaskami zarozumiałą nieopatrność człowieka, ukaranego straszliwie za lekkomyślną pogardę doświadczenia przeszłości, za doktrynerski optymizm, iż wracać do niej czerpać z niej wskazówki rozumnego postępowania powinni wszyscy, którzy zabierają się do roboty politycznej. „Nigdy nie stłoczyło się w ramach tak krótkiego czasu tyle wypadków tragicznych — mówi Alfons de Lamartine słusznie o rewolucji francuskiej („Histoire de Girondins) — nigdy tajemnica pomiędzy czynami a ich skutkami nie rozwijała się z taką gwałtownością

nigdy słabości ludzkie nie wcielały się z większą szybkością w błędy, z błędów nie wykluwały się zbrodnie, po zbrodniach nie następowała kara; nigdy owa mszcząca sprawiedliwość, którą Bóg umieścił w naszych czynach, jako sumienie, świętsze od fatalizmu Greków i Rzymian, nie przejawiała się z większą oczywistością, nigdy nie dawały wypadki prawom moralnym tak jaskrawego świadectwa i nie pomściły ich poniewierki tak bezlitośnie“.

Niema w istocie w dziejach ludzkości ani jednego tak pełnego dokumentu historycznego, któryby, jak rewolucya francuska z r. 1789, zamknął w ciasnych, wąskich ramach kilku lat całego człowieka — wszystkie jego wady i cnoty, zapały i złudzenia, zachwyty i podłości, od geniuszu, bohaterstwa i dobroci począwszy, aż do rozpętanej ze wszelkich hamulców religii, etyki i prawa dzikiej bestyi ludzkiej.

Kto chce poznać całego człowieka, jego białą duszę i plugawe chucie, jego oskrzydłone natchnienie i bezwzględne samolubstwo, jego orle wzloty i błędzenie po manowcach, jego potęgę twórczą i niemoc połowicznej kreatury, obezwładnionej namiętnościami krwi, ciała — ten powinien się zagłębić w krwawej księdze rewolucyi francuskiej.

Żywa ta księga powie mu więcej, aniżeli mądrość filozofii starych i nowych czasów, nauczy go lepiej psychologii człowieka od najsubtelniejszych badań gadatliwych teoretyków. Jest ona dla myśliciela i psychologa najciekawszą księgą eksperymentów za szczęściem goniącej ludzkości. Czytał w niej już cały legion filozofów, socyologów, polityków i artystów, jej liczne komentarze tworzą bogatą bibliotekę, a mimo to nie przestała ona być nieprzebraną kopalnią pomysłów dla nauki i sztuki.

Nieprzebraną kopalnią wskazówek jest ta krwawa księga dla naszej chwili obecnej, rzucającej się w konwulsjach anarchii moralnej i społecznej.

By przypomnieć, jak wygląda człowiek, do jakich absur-

dów i zbrodni dochodzi, gdy zrywa gwałtownie nieciągłości historycznej, gdy opętany doktrynerską pychą, gardzi doświadczeniem zgasłych pokoleń — napisałem to studjum.

Nie jest to oczywiście historia rewolucyi francuskiej. Historia zresztą tej strasznej chwili dziejowej stała się zbyt cenną po tem, [co stworzyli w tym kierunku: Thiers, Lamartine, Michelet, Sybel, Taine i in. Szło mi tylko o psychologię człowieka w rewolucyi, o wykazanie, na jakie manowce rzuca go odewana od rzeczywistości doktryna w połączeniu ze zwykłym, ludzkim egoizmem i rozpętanymi namiętnościami.

Oświecenie rewolucyi francuskiej ze stanowiska tradycyi historycznej zdawało mi się koniecznem, wobec krzewienia w naszym kraju dzieł socyalistów niemieckich (Wilhelma Blosa i in.), apoteozujących takich oszalałych morderców, jak Marat, naginających fakty i charakterystykę głównych aktorów rewolucyi do celów partyjnych.

Dokumenty czerpałem głównie z Taine'a (Les origines de la France contemporaine), charakterystyki zaś wybitniejszych osobistości szukałem w pamiętnikach i listach drugiej połowy XVIII stulecia (pani Roland, pani Staël, pani d'Oberkirch, Desmoulins, Barras, Marmontel, Harmand, Ségur, Garat, Ferrières i inni).



I.

Spółeczeństwo francuskie przed rewolucją.

Rząd francuski ośmnastego stulecia był ostatnim wyrazem misyi królów francuskich. Z chwilą, gdy Ludwik XIV oświadczył: państwo, to ja! skończyło się posłannictwo władzy królewskiej we Francyi.

Przez lat ośmset, od Hugona Capeta począwszy aż do Ludwika XIV, budowali królowie francuscy państwo francuskie, kładąc wolno, systematycznie, usilnie, zawsze świadomi ostatecznego celu, kamień na kamieniu, stawiali piętro na piętrze, dźwigając umiejętnie wspaniały gmach zjednoczonej Francyi. Oni to złamali kolejno potęgę możnych panów feodalnych, złączyli, zleli poszarpane na strzępy prowincye; oni usmierzyli butę i samowolę szlachty, ujednostajnili prawodawstwo, bronili ziemi francuskiej przeciw obcym najzdom, a słabych, krzywdzonych—przeciw silnym i wyzyskującym; oni budowali kościoły, szkoły, akademie, uniwersytety, drogi. Najgorszy z pomiędzy nich szedł, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, drogą wytkniętą. Każdego z nich niosła tradycya misyi królewskiej. Ten i ów mógł być okrutnikiem, rozpustnikiem, skąpcem, niktzemnym jako człowiek, ale jako król francuski służył dobrze Francyi, dbał o jej sławę, siłę i wielkość.

Nie przesadzał Ludwik XIV, mówiąc: państwo, to ja! albowiem zjednoczona Francya była w istocie dziełem talentu, usilności, pracy, odwagi, przebiegłości, bezwzględności jego przodków, była jego prawowitem dziedzictwem, które on przyozdobił, upiększył, oświetlił sztuką, literaturą i blaskiem sławy postronnej.

Teraz jednak zaczął gasnąć geniusz królewski. Spełniwszy, co do niego należało, stracił twórczą siłę, stygl, słabł. Sprężysty, energiczny przez wiele wieków król, zawsze czujny i czynny w radzie i w boju, nie lękający się żadnej fatygi, spostrzegłszy, iż dokonał dzieła, zapragnął wypoczynku, rozkoszy życia, zwykłego szczęścia ludzkiego — otoczył się zbytkiem, licznym dworem, metresami. W chwili, kiedy oświadczywszy dumnie, że państwo, to on!, powinien był właśnie rozwinąć nadzwyczajną energię, aby sprostać zadaniu, zleniwiał, zgnuśniał, stał się sybarytą, wytwornisiem. Już Ludwik XIV czuł się w drugiej połowie życia najszczęśliwszym w towarzystwie pięknych kobiet, a Ludwik XV splamił swoje długie panowanie rządami metres i niemądrą rozrzutnością. Nie grzeszył pod względem czystych obyczajów Ludwik XVI, ale i on nie umiał pracować usilnie, ociężały, pozbawiony rycerskiej dzielności, lotnej myśli i szybko działającej woli.

Nie było winą ostatnich królów francuskich, że zbywało im na cnotach władców. Energia ludzka wyczerpuje się. Tyle zasług położyła rasa Burbonów dla Francji, tyle wieków pracowała ramieniem, uzbrojonym w miecz, mózgiem, nerwami, tak długo trudziła się, iż miała prawo wyczerpać się, znużyć, zgnuśnieć, zwyrodnąć w końcu. Dziw, że tak długo wytrzymała.

Ale energia narodów jeszcze nie zużytych nie jest pobłażliwym filozofem, nie bawi się w studia psychologiczne. Żądna czynów, ciągłego rozwoju, postępu, prze bezustannie naprzód, usuwając po drodze bez miłosierdza wszystkich, którzy nie chcą lub nie umieją za nią podążyć.

Zjednoczona, zniwelowana Francya pragnęła się w dużym, obszernym domu wygodniej urządzić, domagała się reform politycznych i społecznych. W takiej chwili potrzebowała króla genialnego, któryby potrafił zrozumieć mowę ducha czasu i odważnego, któryby się nie lękał pochwyć szybką, śmiałą ręką steru rozkołysanej nawy państwowej i pchnąć jej w kierunku właści-

wym, aby się nie pograżała we zburzonych, spienionych falach namiętności i ciemnoty motłochu.

A Ludwik XVI był tylko człowiekiem dobrych chęci, czystych obyczajów, uczciwym, światłym. Z tych cnót można sobie uwić w życiu prywatnem wieniec zasługi, na tronie jednak, na czele narodu, znaczy dar szybkiego oryentowania się w sytuacji, odwaga wojskowa, przytomność umysłu i sprężysta wola więcej od zalet dobrego serca i pobłażliwego, filozoficznego rozumu.

Słaby, chwiejny, Ludwik XVI, twór rasy wyczerpanej, żałował w chwilach stanowczych cudzej krwi i — dlatego obryzgała jego własna krew stopnie szafotu. Rozpętane namiętności rewolucyjne nie umiały uszanować, zamordowały śmiercią hańbiącą potomka władców, którzy stworzyli Francję potężną, jednolitą.

Nie przypuszczał Ludwik XVI, pyszniąc się: państwo, to ja! że jego dumę pomści kiedyś rewolucya na jego własnej krwi. Bo *l'état c'est moi!* znaczyło to samo, co zniszczenie szlachty. Sponiewierała ją, zdeptała władza królewska, wytrąciła jej z ręki broń i dlatego zabrakło jej dzielności rycerskiej wówczas, kiedy była potrzebna dla obrony tronu i konstytucji.

Jak król, spełniał i szlachcic francuski przez szereg wieków misję historyczną. Był on tarczą i mieczem narodu.

By chłop mógł spokojnie uprawiać ziemię, a rzemieślnik pracować przy warsztacie, musiał uzbrojony szlachcic czuwać nad bezpieczeństwem kraju. Czerpał hojnie z dóbr ogólnych, posiadał wyjątkowe przywileje, ale za to oddawał głowę na polach bitew. Klócił się z królem, opierał się samowładztwu korony, gdy jednak trzeba było upokorzyć jakiego możnego, spokojowi publicznemu zagrażającego warchoła, lub odeprzeć obcego najezdnika, nie szczędził ani krwi, ani pieniędzy. Rzemiosło rycerskie wyrobiło w nim siłę fizyczną, odwagę i sprawność wojenną; tradycje rycerskie zaszczyły w jego sercu honor i względność dla słabszego.

Z chwilą, kiedy korona zagarnęła dla siebie całą władzę, złamawszy wolność indywidualną rycerstwa, przestała szlachta istnieć jako miecz i tarcza narodu. Teraz myślał o wszystkim, za wszystkich król. Pozbawiony inicjatywy, swobody ruchów szlachcic, nie troszczył się już o bezpieczeństwo kraju. Rozebrawszy się z ciężkiej, przykraj zbroi, przebrawszy się w miękkie, jedwabne suknie, zaczął się bawić. A bawiąc się tracił ma-

jątek i cnoty żołnierskie, dzięki którym zajął w narodzie stanowisko naczelne. Gnuśne, wygodne życie podkopało jego dawniejszą siłę fizyczną, obrzydziło mu trud wojny, strawiło jego wolę, obluźowało jej sprężystość. Z cnót rycerskich został mu prawie jedynie ich pokost błyskotliwy: ogłada towarzyska, wykwinność form, wytworność gustów i uczuć, galanteria wobec kobiet i honor—słowem, kultura kasty zamożnej, niezależnej przez szereg wieków.

Z tą kulturą można stworzyć salon, życie światowe, stać się arbitrem *elegantiarum*, sędzią w sprawach towarzyskich, ale nie można wziąć się za bary z wojną domową, która sobie drwi z wykwinności towarzyskich, a ulega tylko sile brutalnej.

Szlachta francuska XVII i XVIII stulecia stworzyła w istocie salon, była mistrzem, wzorem dla wszystkich elegantów Europy, wobec jednak dzikich namiętności rewolucyjnych, stała się bezradną, bezsilną.

Jej przodkowie, atakowani przez hałastę, uzbrojoną w pi-ki, drągi i stare rusznice, byliby wsiedli na koń i rozpędzili niesforną tłuszcę na cztery wiatry, byliby ujęli odważnie ryczącego, oszalałego byka terroryzmu motłochu za rogi i nałożyli kaganiec na jego pysk, obryzgnany pianą wściekłości.

Wytworna, dobrze wychowana, jedwabiami szeleszcząca, dowiepkująca, filozofująca, flirtująca, przyjmująca u siebie z wdziękiem i oddająca wizyty szlachta francuska XVIII stulecia, zamiast się bronić—dziwiła się burzy i albo uciekała za granicę, albo szła bez skargi na szafot. Z dawnej dzielności rycerskiej została jej tylko jedna cnota—spokój w obliczu śmierci. Umiała ona ginąć z godnością, bez żalu do przeciwnika, w pojedynku, uprzejma, dobrze wychowana nawet w konwulsjach konania, umiała iść na miejsce egzekucji i oddawać głowę pod nóż gilotyny z uśmiechem rzymskiego gladyatora.

Tu i owdzie znalazł się jeszcze w pośród niej jakiś Mirabeau, Laffayette, Lameth, Condorcet i inni, jakaś natura energiczna, odważna, dzielna, pracowita, ale te natury sprężyste, zamiast powstrzymać rewolucję, szły właśnie na jej czele, prowadziły ją.

Zgoła niepotrzebnie pastwiła się rewolucja nad szlachcą, była to już bowiem przed wybuchem burzy kasta nieszkodliwa, bezbronna. Jej znaczenie zniszczyła władza królewska, jej dawne przesady rozproszyła filozofia XVIII stulecia, jej siłę odporną

strawiła rdza gnuśności, zatruliła czczość życia salonowego, światowego, podkopało ubóstwo.

Bo szlachta francuska XVIII stulecia nie opływała w dostatki. Z wyjątkiem kilkuset rodzin (około 300), ocierających się o dwór, który zasypywał hojną ręką swoje najbliższe otoczenie pensjami i beneficjami, wielka masa szlachty prowincjonalnej (około 30,000 domów) żyła w warunkach więcej, niż skromnych. Zniszczyła ją majątkowo służba wojskowa wielu wieków (kosztowne broje, kosztowne wyprawy wojenne) rozdrobniło jej posiadłości ziemskie prawo majorackie, które wytworzyło proletaryat szlachecki, składający się z młodszych członków rodzin, dobiło ją w końcu życie towarzyskie ostatnich pokoleń.

Znaczną część swoich posiadłości ziemskich rozkolonizowała szlachta z konieczności, zmuszona do tego ubóstwem, pomiędzy chłopów, lub sprzedawała bogatemu mieszczaństwu. Żyła prawie tylko z przywilejów feudalnych.

Niepotrzebnie i niesprawiedliwie znęcała się rewolucja nad potomkami rycerstwa, nietylko bowiem nie posiadała już wielka masa szlachty siły i środków do walki z ruchem rewolucji, lecz sprzyjała mu nawet z początku, zrzekła się sama swoich przywilejów i pomogła do stworzenia konstytucji.

I szlachta w znacznej części uboga, pozbawiona znaczenia, odepchnięta przez tłum dworaków, otaczających króla, od źródła zaszczytów, pragnęła naprawy, zmiany zmurszałej formy rządu. Wszakże występowali w pierwszym akcie tragedii rewolucyjnej, jako główni aktorowie margrabiowie: Laffayette i Condorcet, hrabiowie: Mirabeau, Barras, Karol i Aleksander Lamethowie, nie licząc całego legionu komparsów i statystów, pochodzenia szlacheckiego. Mówi margrabia de Ferrières, wybrany do Stanów Generalnych przez szlachtę prowincjonalną: „byliśmy wszyscy tak znużeni gospodarką dworu i rodaków, iż należeliśmy prawie wszyscy do stronnictwa demokratycznego.“

Zamożniejszym, bogatszym od szlachty (z wyjątkiem owych 300 rodów, ocierających się ciągle o dwór królewski) był we Francji w XVIII stuleciu t. zw. stan trzeci, czyli burżuazja.

Kiedy szlachcic wojował, rujnując się na zamki, broje, konie, własne hufce, mieszczańin zakryty jego tarczą i mieczem pracował, oszczędzał, dorabiał się majątku. Ożywiony ruch kolonialny i spekulacyjny XVIII stulecia, otworzył przed nim na rościerz bramy świątyni Złotego Cielca. Szlachcic, gardząc han-

dlem i przemysłem, ubożał; mieszczanin rzucający się chciwie na każdą drogę, prowadzącą do fortuny, porastał w pierze.

W połowie XVIII stulecia rozporządzało już mieszczaństwo francuskie ogromnymi kapitałami. Handlowe miasto Bordeaux należało do najbogatszych w Europie.

Z pieniędzmi przychodzą ambicje i wykwintniejsze potrzeby.

Bogaty mieszczanin zapragnął zrównać się ze stanem uprzywilejowanym. Dzieci swoje chował i kształcił po szlachecku, córki wydawał za podupadłych paniczów, synów żenił z ubogimi szlachciankami, dom swój, obyczaję oglądził „uświadomił“, starał się być takim samym panem, jakim był książę, albo margrabia, przyjmował nawet hojniej i rozrzutniej od nich.

W drugiej połowie XVIII stulecia nie było już zewnętrznie prawie żadnej różnicy pomiędzy potomkiem rycerzów a potomkiem kupców i rzemieślników, zwłaszcza kiedy szlachta przebywająca w miastach, przestała nosić na użytek codzienny szpady i barwne, kosztowne stroje, przywdziewając je tylko na przyjęcia dworskie.

Zrównany majątkowo, zwyczajami, obyczajami, polityką towarzyską i wykształceniem z kastą uprzywilejowaną, nie mógł zamożniejszy, lepiej wychowany mieszczanin być zadowolony z istniejącego porządku rzeczy. On nie widział między sobą a szlachcicem żadnej różnicy, ale widział ją, uznawał rząd królewski. Kto nie mógł się wylegitymować ze szlachestwa od r. 1400, ten nie miał przystępu do urzędów dworskich. Wszystkie patenty oficerskie, od porucznika począwszy, wszystkie wyższe posady w administracji, rozdawał król tylko szlachcie. Gniewało to oczywiście bankierów, przemysłowców, kupców i dzieci ich: adwokatów, lekarzów, techników i t. d.

Kiedy ruch rewolucyjny rozwiązał usta krytyce, zaszumiało we Francji, jak w ulu na wiosnę. Oświecone mieszczaństwo domagało się teraz śmiało zupełnego równouprawnienia ze szlachtą, a kiedy Ludwik XVI zwołał Stany Generalne, weszli wybrańcy Stanu Trzeciego do sejmu z duszą, przepojoną buntem skrajnej opozycji. Tworzyli oni w pierwszym akcie tragedii rewolucyjnej główny żywioł przewrotowy.

Do mieszczaństwa przyłączyło się po krótkim namyśle niższe duchowieństwo, nie mające wiele do stracenia. Kiedy bowiem biskupi, opaci, prałaci rozporządzali olbrzymimi dochodami,

kler niższy, uposażony bardzo skąpo, wiódł życie ubogie, co nie wpływało oczywiście wcale na wytworzenie w jego licznej armii przywiązania do istniejącego porządku rzeczy.

Wielka masa szlachty miała cichy żal do korony za zdeptanie jej swobody indywidualnej i jej dawnego znaczenia politycznego, oświecone mieszczaństwo nie było zadowolone z rządu królewskiego za faworyzowanie szlachty, — niższe duchowieństwo spoglądało zezem na olbrzymie beneficja wyższego.

Tak mniej więcej wyglądał obraz społeczny Francji oświeconej (szlachty, kleru i zamożnego mieszczaństwa) w drugiej połowie XVIII stulecia. Jego głównym kolorytem było ogólne niezadowolenie.

A na dole, w warstwach najniższych, wśród proletaryatu miejskiego i w wielkiej armii chłopów, odzywał się już od czasu do czasu głuchy pomrok głodnego nędzarza. Ogromne podatki, przywileje feodalne szlachty i powtarzające się ciągle nieurodzaje wyssały, zniszczyły chłopą, kiedy zaś na wsi zbywa na chlebie, odczuwa jego brak także proletaryat miejski. A głód nie usposabia do uczuć łagodnych, do sprawiedliwości, pobłażliwości, dobroci.

Na grunt tak wulkaniczny padły zapalne iskry nauki, filozofii i literatury przewrotowej.

II.

Doktryny.

Na długo przed wybuchem burzy rewolucyjnej przebiegały nad Francją jaskrawe błyskawice nowych idei.

Niezwykły w wieku XVIII postęp nauk ścisłych spowodował zupełny przewrót dawnych pojęć. Matematyka i astronomia, fizyka i chemia, zoologia, mineralogia i geometrya odkryły w XVIII w. w przeciągu lat kilkudziesięciu więcej prawd, aniżeli praca i geniusz całego szeregu poprzednich stuleci.

Olśniony nadzwyczajnym postępem nauk ścisłych, zajmował się niemi cały świat myślący i piszący. Nawet poeci, belletrysty, prawnicy i historycy nie mający właściwie nic wspólnego z matematyką, chemią, fizyką, botaniką i mineralogią, zabawiali się w badania i eksperymenty ścisłe. Montesquieu miewał odczyty o „mechanizmie echa“, poddawał żaby wiwisekcji; Voltaire popularyzował optykę i astronomię Newtona; Diderot był znakomitym matematykiem; Rousseau uczył się chemii i botaniki. Kto był lub chciał uchodzić za człowieka oświeconego, zaglądał ciekawie do warsztatu natury.

Uważne podglądanie natury uczy człowieka, że ziemia i jej otoczenie (słońce, księżyc, gwiazdy) jest doskonale zbudowaną machiną, że dzieje się w niej wszystko według stałych, niezmiennych praw, że robota jej odbywa się mechanicznie, biernie. Raz zbudowana i w ruch puszczona maszyna spełnia swoje

posłannictwo, bezsilna wobec konieczności ciągłego ruchu, pozbawiona wszelkiego wpływu na swoje przeznaczenie.

Nauki ścisłe są w swoim prawie, gdy tłumaczą w ten sposób bierny ruch natury, z chwilą jednak, gdy narzucają swoją metodę naukom moralnym, gdy żądają od historii, psychologii, etyki i polityki, aby się ograniczyły na obserwacji i eksperymentach, aby uznały system mechaniczny, gdy wkraczają w dziedzinę nienależącą do ich jurysdykcji, wchodzą na manowce, bałamuca zamiast objaśniać, szkodzą zamiast służyć.

Bo człowiek należy wprawdzie ciałem, maszyną swoją, do natury i podlega jej prawom, siłę jednak, która tę maszynę wprawia w ruch, duszę swoją wziął z innych rąk, od innego Pana. Bo człowiek nie może zmienić praw natury rządzących jego ciałem, ale może wpływać rozumem i wolą na własne losy.

I natura wzięła siłę, która ją ożywia, z innych rąk, ale nie otrzymała z tych rąk rozumu i woli. Na tem polega różnica między człowiekiem a naturą i z tej to różnicy wypływa niemożliwość zastosowania metody przyrodniczej do nauk, zajmujących się człowiekiem, jego psychologią, jego rozwojem.

Tej to różnicy nie rozumieją, nie chcą zrozumieć wszystkie poglądy na świat materyalistyczne.

Z chwilą, kiedy nauka XVIII stulecia przyjęła metodę przyrodniczą jako jedynie prawdziwą, nieomylną, musiała dojść do materyalizmu. Zaczawszy od negacyi powagi dogmatu i tradycyi (Voltaire), skończyła na negacyi wszelkich pierwiastków niematerialnych w ogóle, na doszczętnem zburzeniu całej przeszłości i rozpętaniu instynktów zwierzęcych człowieka (La Mettrie, d'Holbach).

Już w pierwszej połowie XVIII stulecia zarysowuje się wyraźnie stanowcza różnica pomiędzy poglądami autorów dawniejszych a nowszych. Kiedy Pascal, Bossuet, Descartes, Fénelon, Malebranche, La Bruyère, opierali się jeszcze na dogmacie i tradycyi, pisarze XVIII stulecia zerwali bez żadnego przejścia most, łączący dziś i wczoraj. Na miejscu religii, objawienia i tradycyi historycznej postawili odrazu obserwację, eksperyment, czyli rozum ludzki (*la raison*), człowieka duszę, „stworzonego na obraz i podobieństwo Boże“, zmienili człowieka-maszynę w cząstkę natury, jako jedyny najwyższy cel wskazali tej



okruszynie natury nie ciągle doskonalenie się, nie pochod ku „światłościom niebieskim“, lecz szczęście zmysłowe na ziemi.

Wszelki nowy ruch rozpoczyna się zawsze od burzenia, od „usuwania gruzów“. Roboty tej podjął się, jak wiadomo, Voltaire, geniusz niszczenia, Mefistoles literatury. Podjął się jej z wielką przyjemnością i z talentem, negacya bowiem była treścią jego duszy szyderskiej i cynicznej.

Za cel swoich ostrych, zatrutych strzał, wybrał sobie Voltaire tradycję historyczną, Kościół katolicki, Chrześcijaństwo, godząc w ten sposób w samo serce przeszłości. A był szermierzem niebezpiecznym, nie walczył bowiem o ciężką, nudną argumentacją, która zajmuje tylko umysły wysoko oświecone, lecz dowcipami, dowcipkami, wydrwiwaniem, persiflażem trafiającym zawsze najprędzej do głów przeciętnej inteligencji. Lekki, przyjemny, zabawny, do wesołego śmiechu pobudzający, nawskroś francuski satyryk i sceptyk, wziął szturmem bezkrytyczną publiczność. Bawiąc siebie i swoich czytelników, rozbił na strzępy, rozrywał na szmaty poglądy, wierzenia przeszłości, wyśmiewając je, opluwając. Szczególnie Chrześcijaństwo, a w tem Chrześcijaństwie Kościół katolicki podniecały jego werwę satyryczną, podnosząc ją do wyżyn nieprzejednanej nienawiści. Nie ustawał ani na chwilę w nawoływaniu: *écrasez l'infame*. On to był twórcą zdawkowego, płaskiego libertynizmu, który ogarnął prawie całą inteligencję francuską XVIII stulecia.

Idee przewrotowe są jak kula, ciśnięta z wysokiej góry. Nie zatrzymują się—toczą się dalej i dalej.

Voltaire, wróg Chrześcijaństwa i katolicyzmu, był jeszcze deista, ale jego następcy odsunęli Boga bez ceremonii na stronę. Sceptyk d'Alembert, panteiści Diderot i Lamark, materyaliści La Matrie, Holbach, Helvetius, Condorcet, Lalande, Volney nie uznawali już Boga. Ich Bogiem jedynym był człowiek, ich ideałem najwyższym szczęście ziemskie. Wszyscy nienawidzili Chrześcijaństwa, które „krępuje swobodę człowieka“ i wszyscy burzyli tradycję historyczną, jako przeszkodę do zbudowania lepszego, wygodniejszego państwa.

Wychowani na naukach ścisłych, zapaleni do matematyki astronomii, chemii, fizyki, zoologii, mineralogii, anatomii z których bogatej skarbnicy czerpali swoje obserwacje, argumenty, wnioski, nie znali pisarze francuscy XVIII w. historii—żywej księgi psychologii ludzkiej. Mówili oni wprawdzie bardzo dużo

o Rzymie i Grecyi, powoływali się w mowach i artykułach politycznych ciągle na mężów stanu Romy, Aten, Sparty, ale były to tylko figury retoryczne, ulubione, modne w epoce neoklasycyzmu.

Historyi w ogóle, a Francyi po szczególe ci filozofowie, beletryści i przyrodnicy nie znali, a jeśli jej się kiedyś uczyli, to nie odczuwali, nie rozumieli jej ducha. Gdyby się bowiem byli wpatrywali uważnie w oblicze przeszłości, byłiby niewątpliwie, jako ludzie utalentowani, dostrzegli, że to, co oni nazywali „przesądem tradycyi“,—ów długi łańcuch urządzeń kościelnych, politycznych i społecznych—wykwitło z ducha danych narodów, z jego potrzeb i pragnień, było tak samo dziełem rozumu, jak rezultaty ich badań. A idąc dalej w tym kierunku, byłoby doszli do wniosku, że naród jeśli nie chce uleść zbyt gwałtownemu wstrząśnieniu, nie powinien burzyć swojej przeszłości, swojej podwaliny historycznej, lecz oparłszy się na niej, usunąć co zmurszało, naprawić, odnowić, ulepszyć co się okazało bezpożyteczne lub szkodliwe.

Był w wieku XVIII tylko jeden pisarz francuski, najwięcej zrównoważony, najwszechstronniej wykształcony, Montesquieu, który zrozumiał znaczenie tradycyi historycznej (Kościola i państwa), ale jego głos poważny nudził Francuzów, nie lubiących się nudzić. Wolano słuchać dowcipnych encyklopedystów i materyalistów, którzy przecinali z lekkomyślnością teoretyków nieciągłości historycznej.

Wpatwienie się w robotę natury i gwałtowne zerwanie nici ciągłości historycznej wytworzyło tak zw. powrót do natury. Ponieważ wszystko, co przeszłość, oparta na dogmacie i tradycyi, zbudowała, nie posiada żadnej wartości, przeto trzeba zburzyć tę przeszłość, usunąć ją zupełnie i wrócić do pierwotnego stanu natury, jedynej prawowitej mistrzyni wszelkiej żywej kreatury. Wiareg powinien zastąpić rozum, intuicyę — „instynkt mechaniczny.“

Te nowe idee wsiąkły w tak zw. towarzystwo (szlachta, oświecone miaszczaństwo). Bo wszyscy francuscy przedrewolucyjni pisarze, bez względu na ich pochodzenie (z wyjątkiem Rousseau'a), byli ludźmi dobrze wychowanymi, światowcami (*gens du monde*).

Ponieważ nauką i literaturą zajmowało się aż do rewolucyi tylko towarzystwo, ponieważ każdy talent, który pragnął sławy,

pieniędzy i stosunków, musiał wejść do „towarzystwa,” gdyż ono tylko rozdawało wieńce uznania i dobrobyt, przeto garnęli się autorowie do salonu, uczyli się jego zwyczajów i obyczajów, jego mowy, jego form i etykiety. Dobrze wychowani, obyci, nie rażący światowców ani grubemi formami, ani dziwaczny wyglądem, byli w każdym salonie witani z radością, a że mówili lepiej, dowcipniej, błyskotliwiej, rozumniej od przeciętnych *gens du monde*, że wiedzieli więcej od nich, przeto zawładnęli wkrótce salonem. Stali się oni w drugiej połowie wieku XVIII duszą salonu paryskiego, poszukiwani, wyróżniani. Bez literata, uczonego, filozofa nie był salon salonem.

Dobrze wychowani, głady autorowie krzewili swoje idee przewrotowe w sferach, które powinny się były tych idei najwięcej wystrzegać. Przy filiżance herbaty, podczas kończenia toalety pięknej damy, przy obiedzie, w tańcu, w teatrze, na spacerze, lekko, dowcipnie, w formie łatwej, przystępnej dla umysłu przeciętnego, między jednym koplimentem a drugim, z wdzięcznym uśmiechem, burzyli autorowie cały gmach przeszłości. A wytworni panowie i wykwiłtne damy, nie zastanawiając się nad tem, że z padającym gmachem przeszłości runą oni pierwsi, bawili się doskonale niezwykłemi, błyskotliwymi ideami—rezonowali, krytykowali, filozofowali. Wystarczy przeczytać Diderota „Entretien d'un philosophe avec la maréchale de...,” aby mieć wyobrażenie o zdradliwej konwersacji salonowej w stuleciu osiemnastem. Najważniejsze zagadki religijne, filozoficzne, społeczne i polityczne rozstrzygano tak lekkomyślnie, jak gdyby chodziło o rozwiązanie pytania: jaką suknię włożyć na wieczór, na bal lub do teatru.

Towarzystwo francuskie XVIII w. bawiło się w filozofię i rewolucję polityczną, roznosiło krzewiło samo zarazek przewrotu, a dziwiło się później skutkom tej lekkomyślnej i niebezpiecznej zabawy, którą hr. de Ségur odmalował doskonale w swoich „Pamiętnikach” (*Mémoires*);

„My, młodzież szlachecka — mówi hr. de Ségur — nie troszcząc się o przeszłość, nie niepokojąc się przyszłością, ruszaliśmy się wesoło na kwiecistym dywanie, pod którym ukrywała się przepaść. Nam, śmiejącym się burzycielom staroświeckich mód, dumy feodalnej naszych ojców i ich poważnej etykiety, wydawało się wszystko, co było dawne, krępującem i śmiesznem. Powaga staroświeckich doktryn ciążyła nam. Wesoła, dowcipna

filozofia Voltaire'a wzięła nas, zajmując. Nie zgłębiając autorów poważniejszych, podziwialiśmy ją, jako dowód odwagi przeciw władzy absolutnej. Wolność, bez względu na to, jakim przemawiała językiem, podobała się nam dla jej odwagi, równość zaś dla jej wygody. Znajduje się przyjemność w zstępowaniu na dół, o ile się wierzy, iż można w każdej chwili, gdy się zechce, wrócić na górę. Nie przewidując skutków naszego radykalizmu, używaliśmy równocześnie przywilejów patrycyatu i słodyczy filozofii plebejskiej. Aczkolwiek ta filozofia podkopywała właśnie nasze przywileje, resztki naszej dawnej potęgi, podobała się nam ta mała wojna (*cette petite guerre*). Nie doświadczyliśmy jej ciósów; bawiliśmy się tylko jej widowiskiem. Te walki pióra i słowa nie wydawały nam się tak silne, by mogły zaszkodzić naszemu uprzywilejowanemu stanowisku, uświęconemu przez używalność wielu wieków. Ponieważ zewnętrzne kształty gmachu społecznego stały niewzruszone, przeto nie zauważyliśmy, że burzono go z wewnątrz. Śmieliśmy się z poważnych alarmów dworu i duchowieństwa, które piorunowały przeciw nowym pojęciom. Oklaskiwaliśmy w teatrach sztuki republikańskie, dysputy filozoficzne naszych akademij, zuchwałę dzieła naszych literatów. Byliśmy olśnieni blaskiem nowych idei i doktryn, promienieliśmy nadzieją, płonęliśmy zapałem dla wszystkich sław, entuzjazmem dla wszystkich talentów, kołysani zwodniczymi snami filozofii, która obiecywała ustalić, zabezpieczyć szczęście rodu ludzkiego. Dalecy od przewidywania nieszczęść, gwałtów, zbrodni obalenia tronu i zasad, widzieliśmy w przyszłości tylko wszelkie możliwe dobro, zabezpieczone ludzkości przez królestwo rozumu. Zostawiono wolność absolutną wszelkim pismom reformatorskim, wszelkim projektom, myślom najliberalniejszym, systemom najśmielszym. Każdy wierzył, iż zbliża się do doskonałości, nikt nie troszczył się o przeszkody, nie obawiał się ich. Byliśmy dumni, że jesteśmy Francuzami i jeszcze więcej z tego, że jesteśmy Francuzami osiemnastego stulecia. Nigdy nie poprzedzały straszliwego przebudzenia sny tak słodkie i marzenia tak rozkoszne, zwodnicze.“

Więc rewolucya, która miała wyrzucić społeczeństwo francuskie na nice, zburzyć doszczętnie tradycję historyczną, całą robotę tysiąca lat, wydawała się szlacheckiej, postępowej młodzieży francuskiej „małą, nic nieznaczącą igraszką słowa i pióra“. Trudno się okrutniej omylić...

Wszelkie zmiany polityczne idą z góry, wykwitają z warstw oświeconych. Cała tajemnica ich rozumnego wcielenia, zatrzymania rozpędu rewolucyjnego w samą porę, tkwi w tem, aby ster ruchu nie wypadł z rąk warstw zwierzchnich, które przytomnieją zawsze, wracają do równowagi, „miarkują się“ po pierwszych nieudanych eksperymentach. Z chwilą, gdy idee rewolucyjne schodzą na dół, do warstw nieprzygotowanych do spokojnego, trzeźwego myślenia, stają się drapieżnikami, mordercami, barbarzyńcami, na których niema sposobu, krom żelaznej pięści odważnego żołnierza.

Ster ruchu rewolucyjnego wypadł we Francji zaraz na samym wstępie rewolucji z rąk warstw oświeconych, co stało się głównie z winy Jana Jakóba Rousseau'a.

Rousseau nie należał do autorów „dobrze wychowanych“ XVIII stulecia. W towarzystwie ludzi wytwornych, czuł się obcym przybłądą, jak się sam przyznawał („Confessions“). Nie umiał ani mówić, ani ruszać się, siedzieć, jeść, ubierać się według form przyjętych w „świecie“. Niezgrabny, nieobyty, bojaźliwy, czuł się skrzepowanym w domu przyzwoitym.

Rousseau, kolejno zegarmistrz, lokaj, włóczęga, nauczyciel prywatny, kopista nut, zawsze w pogoni za ubogim chlebem, nie miał przygotowania naukowego, nie nauczył się w szkole myśleć porządnie, trzymać na wodzy niesfornej fantazyi.

Rousseau, wychowany niedbale, bez moralnego przewodnika, zmysłowy, chciwy użycia, a pozbawiony środków do użycia, plamił się, poszukując rozkoszy, ordynarnymi występkami — kłamał, kradł, żył na wiarę z kucharką, dzieci swoje odawał do domu podrzutków.

Ale dusza jego była idealna, podniosła, a ta dusza idealna miała wstręt do brudu, którym się plamiła. Ten wstręt do brudu zmienił się w żal do losu, który odepchnął proletariusza od jasnego, wonnego dostatku, z żalu zaś buchnęła nienawiść do istniejącego porządku, do cywilizowanego społeczeństwa.

Słusznie mówi (Taine „Les origines“ i t. d.), że w teoriach Rousseau'a słyszy się, czuje się ciągle „akcenty osobiste, złość ubogiego, zgorzkniałego plebejusza, który, wszedłszy między ludzi, znalazł wszystkie miejsca zajęte i nie umiał znaleźć dla siebie wygodnego kącika“. Potwierdza to zresztą sam Rousseau, gdy wyznaje w swoich „Confessions“: gdybym się był dostał w ręce lepszego wychowawcy, byłbym był dobrym chrześcijani-

em, dobrym ojcem rodziny, dobrym przyjacielem, dobrym robotnikiem, dobrym, słowem, człowiekiem pod każdym względem“. Albo: „byłbym był lubił dobre towarzystwo, jak wszyscy światowcy, gdyby mnie wychowanie było do niego przygotowało“.

Żle, niemoralnie wychowany, nie przygotowany w szkołach naukowo, wiecznie głodny życia i użycia, plamiący się brudem występków proletaryusz-idealista, skomponował sobie własną teorię, która miała takich jak on, ustrzedz na przyszłość od nędzy, podłości i nieszczęść, która miała, według jego mniemania uszlachetnić, podnieść człowieka. Doszedł on do niej nie na drodze ścisłego rozumowania, jak Voltaire, encyklopedyści i materyaliści, nie wysnuł jej z faktów naukowych, z obserwacji i eksperymentów, lecz wyrzucił ją z własnego, udręczonego serca i z własnej fantazyi. Nie wziął jej od nikogo; był sam jej twórcą.

W tej samorzutności i uczuciowości teorii Rousseau'a huzy, kipi jej potęga. Nie wytworny filozof, nie salonowy, nie klasyczny belletrysta przemówił do rezonerów światowych, lecz nieokrzesany, zólcia nędzy przesiąkły plebejusz do proletaryatu. A ten proletaryat zrozumiał od razu jego język, wyczuł jego skargę i upił się, odurzył jego nauką i obietnicą powszechnego szczęścia.

Bo czegoż nie uczył, nie obiecywał Rousseau?

Człowiek jest z natury dobrym, uczciwym, szlachetnym... Złą, nieszlachetną, rewolucyjną jest tylko cywilizacja... Gdy obalicie cywilizację, czyli obecny porządek i całą kulturę i wróciacie do stanu natury, błysnie nad ziemią słońce powszechnego szczęścia... Tylko praca, głównie zaś praca rąk uszlachetnia... Nie ludzie cywilizowani, salonowcy, uczeni literaci, artyści, mężowie stanu są kwiatem potomstwa Adama i Ewy, jeno wy: proletaryusze inteligentni i nieinteligentni, chłopci, rzemieślnicy, zamiatacze ulic, woły robocze.

Jakże się taka historia miała niepodobać wydziedziczonym?

A dalej...

Własność jest kradzieżą, wszelki rząd uzurpacją. Nie ci, co się zowią waszymi władcami, mają prawo do rządów, lecz wy, pracownicy, lecz ty, szary ludzie, ty jeden jesteś prawowitym „suwerenem“ panem, rozkazodawcą; rząd jakikolwiekby on był,

jakkolwiekby się nazywał, wziął z twoich rąk berło i tobie jednemu winien posłuszeństwo.

Rozumie się, że taka teoria musiała olśnić, odurzyć wszystkich, nie biorących udziału w rządzie, całe niższe mieszczaństwo, chłopów i proletaryat—wszystkich, którzy pragnęli poprawy bytu.

I odurzyła, olśniła.

Autorowie dobrze wychowani gorszyli światowców, Rousseau zaś targnął za serce wielkie masy, rozpalil naiwną, chaotyczną wyobraźnię tłumów, stał się mistrzem, prorokiem, natchnieniem wszystkich późniejszych trybunów ludu i ojcem socjalizmu XIX wieku.

W czasach normalnych przemijają takie doktryny bez skutków praktycznych, nie wychodzą z koła fantastycznych eksperymentów społeczno-politycznych; w chwilach jednak, kiedy wichry przewrotu, rewolucji huczy nad krajem, zmieniają się w hasła płomienie... palą, niszczą, obalają wszystko, co stoi na ich drodze.

Voltaire zburzył powagę dogmatu i tradycyi historycznej, Rousseau obalil istniejący porządek społeczno-polityczny.

Że cały proletaryat oświecony i nieoświecony przyklasnął doktrynie Rousseau'a, nic w tem dziwnego, obiecywała mu ona bowiem władzę, znaczenie, dobrobyt, szczęście, czyli to, na czem mu zbywało, a czego cheiwie pożądał. Ale, że sfery posiadające i rządzące, że „dobrze wychowani“ zasmakowali w jej mocnym, pieprzonym sosie, temu należy się dziwić.

„Dobrze wychowanych“ zwiódł „powrót do natury“ Rousseau'a, głoszony także przez ich autorów. „Dobrze wychowani“, znudzeni czczością, oschłością, jednostajnością życia salonowego, spragnieni nowych, świeżych wrażeń, upodobali sobie sztuczną prostotę, zaczęli bawić się w sielankę i w „naturę“, jak się bawili w rezonerstwo filozoficzne. Wytworni panowie, wykwincentne panie przebierali się za chłopów, pasterzów, rybaków, budowali sobie chatki, powtarzali za Rousseau'em: „Kultura znieprawia człowieka.

A nie tylko bawili się w przyjaciół ludu, lecz byli nimi w istocie. Za przykładem króla, który wrócił wolność chłopom swoich dóbr osobistych, zniesli pańszczyzną księżęta de Charost (już w r. 1770) i de Bauffremont, prezydenci: de Vezet, de Chamolles, de Chaillot i wielkie mnóstwo panów i szlachty w różnych prowincjach Francji. Margrabia de Mirabeau udzielał bez-

płatnej porady prawnej swoim chłopom i rozdawał codziennie ubogim 900 funtów chleba. Biskupi, opaci, szlachta budowali szpitale, śpichlerze, zakładali instytucje kredytowe, rozdawali hojnie jałmużnę; klasztory męskie i żeńskie karmiły krocie głodnych. Magnaci paryscy, w ostatnich latach przed wybuchem rewolucyi, otworzyli na rozciurz swoje szkatuły, uprzejmi, hojni dla ubogich. Duch czasu, duch książek, szlachetnych, dobrych marzeń powiał na posiadających i zniszczył w ich sercach egoizm. Wszyscy uprzywilejowani byli głęboko przekonani o naturalnej dobroci, o wdzięczności ludu, najbliższego typowi pierwotnego człowieka, bo wierzyli książkom.

Ani „dobrze wychowanym“, ani ulubionym ich autorom nie przyszło na myśl, że doktryna Rousseau'a o czystości, dobroci, absolutnej szlachetności i dojrzałym rozumie pierwotnego człowieka, mogła się wyłudz tylko w głowie fantasty, ideologa, poety, nie mającego wyobrażenia o rzeczywistości, bo nie uwzględniali znów historii. Gdyby byli zwrócili uwagę na dzieje ewolucyi pojęć etycznych, byłiby wiedzieli, że Rousseau zbudował swoją doktrynę na lotnym piasku wyobraźni, że człowiek pierwotny był samolubem, drapieżnikiem, bezlitosnym mordercą w walce o byt, ujarzmionym dopiero, okrzesanym przez religię i prawodawstwo, czyli właśnie przez ową oskarżoną cywilizację i kulturę.

Ale nad tym faktem nie zastanawiali się dobrze wychowani i oświeceni XVIII stulecia. Olśnieni nowością doktryny, rozbawieni jej zastosowaniem maskaradowym (sztuczna sielanka) ostrzyli sami na siebie nóż gilotyny.

Bo „szlachetny, dobry, czysty, rozumny człowiek natury“ odsłonił się niebawem, okazał się dziką, oszalałą bestyą, gdy rewolucya zdjęła z niego wędzidło religii i prawa, zdruzgotawszy bicz powagi, władzy. Wszyscy mordercy rewolucyi francuskiej, nie wyjąwszy Marata, Dantona, Saint-Justa i Robespierre'a, byli gorącymi wielbicielami doktryny Rousseau'a, którą, kąpiąc się we krwi niewinnej mieli ciągle na ustach.

Po rozkosznym śnie sielanki, po niewinnej zabawie w naturę nastąpiło straszliwe przebudzenie. Kto nie zdążył przed wybuchem terroryzmu umrzeć lub uciec zagranicę, tego poszarpał „dobry, czysty, szlachetny, rozumny człowiek pierwotny“. Byłby był niewątpliwie zamordował Voltaire'a, encyklopedystów, Mirabeau'a, Lafayette'a, Rousseau'a, dobrodziejów swoich, jako „wsteczników, arystokratów“, jak zabił swoich najgoręt-

szych rzeczników: Bailly'ego, Condorceta, Demoulinsa, panią Roland, Żyrondyków.

Rzecz szczególna, że encyklopedyści, materyaliści i ateści XVIII stulecia, ludzie w nauce bardzo bystrzy, przenikliwi, logiczni, bardzo uzdolnieni i wygimnastykowani w sztuce wnioskowania, grzeszyli taką zdumiewającą naiwnością, kiedy się dotknęli rzeczywistości.

Takiemu ideologowi i dyletanckiemu samouczkowi, jak Rousseau, można wybaczyć jego majaki socyologiczne, ale oni, subtelni rezonerowie, oni, umysły pozytywne, chłodne, uznające tylko fakt i posłuszni tylko rozumowi? Skąd w nich, w bałwochwalcach rozumu, właśnie ten brak rozumu? Bo rozum wskazuje: jeżeli chcesz uszczęśliwić wydziedziczonych, zdjąć z nich klątwę wieków, to postaraj się przedewszystkiem o to, aby im praca była lżejszą, aby ich głód nie poniewierał; stwórz dla nich wygodniejsze warunki bytu, a nakarmiwszy ich, napoiwszy, odziewszy, wypędziwszy z pod ich ubogiej strzechy biedę z nędzą, oświecaj ich, przygotuj stopniowo do wzięcia czynnego udziału w sprawach publicznych; zanim ich nie uświadomisz, nie nauczysz myśleć spokojnie, trzeźwo, ogarniać szerszych spraw, nie dopuszczaj ich do najwyższej rady narodowej, gdzie się rozstrzygają losy milionów; bo ty, subtelny, giętki krytyku i rezoner ze wiesz przecie o tem, powinieś wiedzieć, iż człowiek nie rodzi się z subtelnym, giętkim rozumem; długiego szeregu lat było potrzeba i wskazówek całej armii mędrców wszystkich wieków, aby w tobie w utalentowanym, wyjątkowo uzdolnionym, wyrobić logikę i łatwość wnioskowania; jakże chcesz, żeby natura pierwotna, nieociosana, jak ten kolek w chłopskim płocie, rządząca się więcej instynktami, niż rozumem, więcej namietnością niż rozważą wzbila się odrazu, bez żadnego przygotowania na szczyty myśli ludzkiej i mogła z tych wyżyn rozstrzygać sprawy wielkiego narodu? Przecież to nonsens, o czem ty, przerozumny, tylko w rozum wierzący powinieś wiedzieć.

Tej prostej, jasnej prawdy nie widzieli we Francyi bałwochwalczy rozumu XVIII stulecia. Znali ją inni: Anglicy, Holendrzy, Niemcy, Amerykanie, ale Francuzom była ona obca.

Morris, John Andrews, Stendhal, Hume, lord Chesterfield, Mallet du Pan, Dumont, Arthur Young, Jefferson i in., ambasadrowie, dyplomaci, uczeni, podróżnicy, przebywający we Francyi podczas febrzy rewolucyjnej, patrząc zdumionymi oczyma na

przejawy tej febrzy, widząc jej konwulsje, potrząsają głowami, uśmiechają się ironicznie, oburzają się albo drwią. Amerykański minister Morris, przedstawiciel rzeczypospolitej, która przeżyła dopiero co rewolucję, zdobyła sobie wolność, raportuje do swego rządu, do Waszyngtonu: Francuzi dostali bzika!

Wszyscy obcy widzą przepaść, w którą pędzi na oślep naród, pijany doktrynerską rewolucją; jedni tylko Francuzi nie słyszą, nie widzą nic, okrom swoich doktryn i rozhukanych namietności.

Na encyklopedystów, materyalistów i ateistów paryskich padł czar doktryny o wszechwładztwie i wszechrozumie natury, i do tej doktryny dorobili sobie człowieka. Jak natura, jest i człowiek, według nich, maszyną doskonałą. Nie potrzeba mu ani opieki religii, ani wskazówek tradycyi historycznej, ani nauki, ani doświadczenia, wystarczają mu bowiem jego instynkty i wrodzony mu rozsądek. „Wytłumacz chłopu, robotnikowi, prawa człowieka, a będzie znakomitym politykiem; przeczytaj dziecku katechizm obywatelski, a będzie znało wybornie swoje obowiązki wobec społeczeństwa.“ Gdy do tej teoryi encyklopedystów dorzucił Rousseau swoją „dobroć, szlachetność,“ powstał człowiek-abstrakcja, nie mający nic wspólnego z człowiekiem żywym, istotnym. Człowieka-abstrakcję, matematyczne x , wprowadzone w ruch przez czysty rozum, mianowali mędracy XVIII stulecia, „suwerenem,“ złożyli w jego ręce berło, władzę.

Trudno poprostu pojąć, jak ludzie rozumni mogli być takimi fantastami i optymistami. Bo ci „rozumni, oświeceni“ wierzyli naprawdę w swoje mrzonki. Wszakże nawet taki Turgot, znakomity prawnik i ekonomista, który, jako minister finansów i mąż stanu ocierał się ciągle o życie, podzielał wszystkie złudzenia swojej chwili dziejowej. Opowiada Tocqueville „(L'ancien Régime),“ że przedstawiając Ludwikowi XVI projekt wychowania publicznego, rzekł Turgot do króla: „Najjaśniejszy panie, śmiem być tego przekonania, że za lat dziesięć nie pozna nikt narodu waszej królewskiej mości, że ten naród przewyższy swoją wiernością dla króla i miłością ojczyzny, oświeceniem i dobrymi obyczajami wszystkie inne. Dzieci, liczące obecnie lat dziesięć, będą wówczas dojrzałymi obywatelami, przygotowanymi wybornie do służby państwowej, oddanymi swojemu krajowi, władzy, przyzwyczajonymi szanować sprawiedliwość nie z obawy, lecz z rozumu.“ A minister Necker, kiedy generał de

Bouillé zwracał jego uwagę na niebezpieczeństwo rozpędu reformatorskiego stanu trzeciego, odrzekł: trzeba także liczyć na cnoty moralne człowieka.

Owi „idealni obywatele“ Turgota, którzy mieli szanować władzę nie z obawy, lecz z rozumu, zamordowali króla, królowę, ministrów, generałów, biskupów, urzędników, a „cnotliwi, moralni ludzie“ Neckera opluli go, swojego przyjaciela, i byłiby go zatłukli drągami, jak wściekłego psa, gdyby mu się nie było udało uciec przed ich „dobrocią“ i „szlachetnością.“

Rewolucya francuska, wcielając ideały czystego rozumu, zachowywała się tak, jak gdyby sobie ktoś chciał zadrzeć z czystego rozumu ludzkiego, jak gdyby chciał ukarać człowieka za jego niemądrą pychę.

W drugiej połowie XVIII w. znalazł się jeden oświeceniowiec, który ocenił właściwie mrzonki Rousseau'a i jego uczniów (Nai-geon, Sylwyan Maréchal, Mably Morelly). Tym trzeźwym krytykiem był Mirabeau. Pisał on w broszurze p. t. „Essai sur le despotisme:“ „mówi się, że urządzenia społeczne zepsuły, skoszławiły stan natury, uczyniły człowieka nieszczęśliwym. Zamiast pisać satyry na człowieka i społeczeństwo, byłoby pożyteczniej szukać lekarstw, środków na zmniejszenie naszych cierpień. Bo człowiek nietylko zdaje się być stworzonym do życia uspołecznionego, ale staje się prawdziwym człowiekiem, t. j. istotą myślącą i czującą dopiero wtedy, kiedy się zaczyna uspołeczniać. Dopóki żyje bez stałej organizacyi społecznej, jest dzikim burzycielem i kieruje się tylko krwiożerczymi instynktami.

Pierwszy też Mirabeau ochłonał, niestety, zapóźno z gorączki rewolucyjnej, gdy się przypatrzył własnymi oczami gospodarce tłumu. Z obawy, by lud—ostrzeżał—w pierwszej chwili upojenia nie nadużył wolności, nie zwrócił jej przeciw sobie samemu i nie cisnął jej w końcu, przerażony skutkami swojego nierozważnego rozpędu, mąż stanu, który musi myśleć o całości, o całym narodzie, nie powinien dawać do rąk ludu broni pełnej swobody, zanim go nie nauczy używać tej broni rozumnie.

Ale któż słucha w chwilach rozpętanych namiętności „szlachetnego, dobrego dziecka natury“, głosu ludzi dalekowidzących, ogarniających szybko sytuację? Takich ludzi nazywa się wstecznikami i wlecze się ich na szafot.

I Mirabeau byłby zginął z rąk kata, gdyby nie był umarł

w samą porę, bo już mu motłoch paryski groził na ulicy „latarnią.“

I Marmontel nie tracił głowy w chwili, kiedy ją wszyscy zgubili; ale Marmontel, nie biorący czynnego udziału w rewolucyi, nie miał żadnego wpływu na przebieg wypadków.

Później, kiedy się „dobry, czysty, szlachetny człowiek pierwotny“ zabrał do roboty, kiedy pokazał, co umie, wytrzeźwili doktrynerzy, znajomość jednak natury ludzkiej przyszła po nie-wczasie.

III.

Radykaliści.

Jeszcze przed zgromadzeniem się Stanów Generalnych w Wersalu (w maju 1789 r.), mogła się inteligencja francuska nauczyć, w jaki sposób tłumaczy sobie człowiek pierwotny reformy polityczne i społeczne, w jaki sposób wciela wolność. Bo oto nadchodziły do Paryża z prowincyi wieści szczególne. Tu napadli uzbrojeni chłopci zamek szlachecki, podruzgotali drzwi, okna, potrzaskali meble, sprzęty, a wyrzuciwszy wszystko na dziedzińiec, zabrali broń, pieniądze i poszli do zamku sąsiedniego. Tam wycięli las, powystrzelali zwierzynę, powylawiali ryby ze stawów, z jezior, wypróżnili stodoły. Owdzie wtargnęli do klasztorów, zniszczyli, zrabowali wszystko, co się dało zrabować, zniszczyć. A wszędzie gospodarowali z taką rozkoszą w piwnicach, iż zostawiali zawsze na placu po kilkanaście, po kilkadziesiąt trupów, zabitych nadmiernie użytym winem. Gdzie znaleźli opór, tam mordowali bez miłosierdzia, pastwiąc się nad ofiarami z wyrefinowanym okrucieństwem uczonych katów.

W miastach napadał motłoch sklepy piekarzów, rzeźników, magazyny zbożowe, rozbijał je, zabierał towar. Gdy się właściciel bronił, dostawał drągiem po łbie, nożem pod żebra, a jego graty, pierzyny, garnki, cały dobytek, wylatywały oknami na ulicę. Pieniądze, które były w domu, ginęły zawsze.

W przeciągu czterech pierwszych miesięcy 1789 r. dowiedział się Paryż o trzystu takich pohulankach ludowych. Odby-

wały się one we wszystkich prowincjach: w Poitou i w Bretanii, w Tourraine i w Alzacyi, w Prowancyi, w Burgondyi i t. d. Wszędzie płonąła żagiew buntu.

Dla czego? Skąd ten nagły pożar?

Bo ludzie ubodzy nie mieli naprawdę co jeść. Rozrzutna gospodarka dworu, szereg idących po sobie nieurodzajów, gradów, ostatnie dwie zimy tak ciężkie, iż tak ostrych najstarsi ludzie nie pamiętali, zabrały ubogiemu chleb. Dzieci marły z głodu i zimna, matki żebrały, ojcowie rabowali.

Daremnie asygnował rząd na chleb dla ubogich 40 milionów franków, daremnie rozdzielił arcybiskup paryski 90,000 pomiędzy nędzarzów stolicy, daremnie otworzyli opaci, pałacy, szlachta, bankierzy hojną rękę jak najszerzej, jak najchętniej. Wszystkiego zamało do nakarmienia dwudziestu kilku milionów głodnych.

W tę nędzę okrutną wpadła płomieniem, pobudką bojową niewinna na pozór, idealna doktryna Rousseau'a. Roznosili ją po wsiach i maceczkach głównie adwokaci prowincjonalni, którzy nauczywszy się trochę prawa w szkole, a biegłości języka przed kratkami, mniemali, iż byli stworzeni na prawodawców na odnowicieli królestwa. Wszyscy oni, wyszedłszy z mieszczaństwa, posiadali dużo ambicyi a mało środków do ich wcielenia, wszyscy byli namiętnymi, szczerymi wielbicielami Rousseau'a, którego doktryna otwierała ambitnym na rozcież bramę do władzy. Trzeba sobie przygotować, zjednać lud, jego głosy, albowiem zbliżały się wybory do Stanów Generalnych. Wszedłszy do Stanów nie trudno zwrócić na siebie uwagę całego narodu.

Więc agitowali adwokaci, wykładali ludowi miejskiemu i wiejskiemu „nową ewangelię“, uczyli go równości i wolności, a lud, zwykle podejrzliwy, nieufny, łatwowierny zaś tylko wtedy, gdy idzie o poprawę jego bytu, słuchał chętnie tych nowin, które miały zdjąć z niego odrazu ohydny ciężar nędzy. A gdy jeszcze jakiś przebiegły agitator, który wiedział, że lud kocha swojego króla, bo korona broniła zawsze z urzędu słabych przeciw mocnym, — gdy jakiś prowincjonalny lis polityczny rozpuścił wieść, iż „dobry król“ nie życzy sobie nierówności stanów, przywilejów, własności, iż pozwolił rabować bogatych, wówczas rzucił się głodny nędzarz na sytego szlacheca, księdza, zamożnego mieszczanina i palił, burzył, zabijał, chwycił, co się dało złapać, bo „tak dobry król pozwalał“. Był on zbyt ciemny,

zbyt mało miał wyobrażenia o budowie państwa, o jego podwalinach i wiązaniach, by mógł pojąć nierozum takich wieści. Słyszał coś o przygotowujących się wyborach do Stanów Generalnych, o reformach, jakie mają być przedsięwzięte w celu uzdrowienia chorego królestwa i t. d. i postanowił „ułatwić dobremu królowi robotę“ po swojemu — drągiem, kłonicą, zarzewiałą dzidą, pożarem.

Widział on, słyszał, że uprzywilejowani posiadacze, rozrzucający krocie, miliony dla ubogich, zrzekają się sami swoich przywilejów feudalnych, a że w jego głowie nędzarza, który broni swojej najdrobniejszej własności: kawałka chleba, drzewa, żelaza, rzemienia, z zaciętością atakowanego wilka, nie mogła się pomieścić myśl, iżby ktoś chciał spełniać dla jakiejś idei, albo z dobroci serca tak wielkie ofiary, przeto wierzył, iż taka jest wola, taki rozkaz króla i wykonywał z najlepszą wiarą tę wolę, ten rozkaz „dobrego pana“. A wykonywał go z taką sumiennością, zaciekłością, iż nie oszczędzał nawet swoich dobrodziejów. Na zapytanie: dlaczego krzywdzi przyjaciół, odpowiadał: tak trzeba, tak kazał król.

Ciemny lud zaczyna przewrót polityczny zawsze i wszędzie od burzenia własności posiadających.

Pomagali mu w tem „dziele reformatorskiem,“ oczywiście z wielką radością i skwapliwością, wszyscy naturalni wrogowie własności i prawa w ogóle: złodzieje, wielcy i mali, rabusie, kłusownicy, przemysłowcy, podpalacze, do których przyłączyli się: dezertery wojskowi, włóczęgi, żebracy, mordercy. Ta cała próżniacza lub zbrodnicza banda, która w epokach normalnych, spokojnych chroni się przed światłem dziennym w najciemniejszy kąt, wylazi podczas anarchii z różnych nor i dziur, rozlewa się po kraju i spaceruje zuchwale w biały dzień po ulicy pod okiem bezsilnej władzy. Wersal był codziennie alarmowany wiadomościami z prowincyi o napadach uzbrojonych, zamaskowanych band na zamki, klasztory, probostwa, domy zamożniejsze. Zbrodnia gospodarowała w całej Francyi.

Cóż na to inteligencya francuska XVIII stulecia?

Jedni kiwali głowami, zdziwieni; drudzy uśmiechali się z zadowolaniem, szepcząc: robota się zaczyna! Bo wszyscy: szlachta, duchowieństwo, stan trzeci, z wyjątkiem nielicznej garstki zarzewiałych wsteczników, pleśniejących gdzieś w lasach i górach zapadłych kątów — wszyscy, rząd, nawet sam król, tak sa-

mo „filozof rezonujący“, jak jego epoka, pragnęli zmiany, reformy, wszyscy wierzyli, że przedstawicielstwo narodowe (Stany Generalne) znajdzie lekarstwo na cierpienia państwa.

Zebrały się nareszcie owe upragnione przez wszystkich Stany Generalne. Dnia 4 maja 1789 r. posuwał się ulicami Wersalu do kościoła św. Ludwika wspaniałe korowód. Przodem szedł król, otoczony rodziną i licznym dworem, za władcą postępowało kilkuset przedstawicieli stanu duchownego, za klerem — szlachta, za potomkami rycerstwa — mieszczaństwo. Lśniły, szeleściły barwne, jedwabne suknie kardynałów, biskupów, prałatów i panów, błyszczały złote krzyże, orderzy, głównie szpad, wysadzone brylantami, rubinami, szmaragdami.

Duch nadziei tak jasny, jak przesłiczny dzień majowy, przenikał ten błyszczący, milczący w skupieniu korowód, od króla począwszy, aż do najuboższego przedstawiciela stanu trzeciego. Wszyscy wierzyli, iż rada narodowa uzdrowi bóle narodu, wróci mu spokój, da mu szczęście. Jeden z posłów margrabia de Ferrières, mówił później: „Łzy radości płynęły z ocz moich. Odurzony najłodszy zachwytem, widziałem Francję opartą na religii, wzywającą nas do zgody“.

Duch nadziei, zgody, najlepszych, najszczerzych chęci przenikał, ożywiał w dniu 4 i 5 maja wybrańców narodu francuskiego.

A nad tym świetnym korowodem unosił się krwawy geniusz rewolucyi i spoglądał ponuro na lśniący majestat narodu francuskiego i uśmiechał się drwiąco z jego różowych, dobrych nadziei.

Za kilka tygodni spadną na was moi pomocnicy: doktryna, namiętność, samolubstwo, głupota, rozpetane instynkty człowieka-zwierzęcia ze świstem i wyciem burzy jesiennej, z wściekłością dzumy i zmieniają was w kupę gruzów, w górę cuchnącego, rozkładającego się ścierywa. Zginiecie wszyscy! I ty, zgnuśniała szlachta, coś podkopywała lekkomyślnie, bawiąc się w filozofa, podwaliny władzy; i wy, prałaci, coście się wstydzili z obawy przed drwinami zdawkowych, salonowych ateuszów, służby ołtarza; i wy, przedstawiciele stanu trzeciego, co pragniecie zburzyć cały porządek istniejący, by królować na jego gruzach; i ty, dobry, słaby królu, który nie umiesz być władcą. Wszystkich was zmiecie moja kosa straszliwa, a nietylko was,

lecz także wasze żony, dzieci, albowiem chcieliście być mądrzejszymi od Boga i od doświadczenia długiego szeregu swoich przodków, od tradycyi historycznej. Tak mój bicz karzący Francję osmaga, tak jej obrzydzi doktrynerską wolność czyli swawolę, iż nawet najgłodniejszy nędzarz będzie wyciągał błagające ramiona do żołnierza - despoty, wołając: przyjdź, potężny, wielki i uwolnij mnie od tej okrutnej swawoli, która wysysa z mojego chorego ciała ostatnie krople krwi. Milszy mi spokój, choćby grobów, od tej ciągłej trwogi...

Ale tego głosu ostrzegawczego nie słyszał nikt z pomiedzy posłów, którzy szli w dniu 4 maja do kościoła, a gdyby go nawet który z nich był pochwyił, byłby go uważał za szmer niezdrowego snu.

Było ich 1118 tych wybrańców narodu francuskiego: 291 członków stanu duchownego (pomiedzy tymi 48 biskupów, 35 opatów i kanoników), 250 szlachty (pomiedzy tymi 58 wyższych urzędników i wojskowych) i 577 wybrańców stanu mieszczańskiego (pomiedzy tymi tylko 10 wyższych urzędników).

Stan więc trzeci z łaski króla, który pozwolił zdwoić liczbę posłów mieszczańskich, wszedł do sejmu jako większość, co wpłynęło na szybki rozwój rewolucyi.

Wielkie dzieło miały do spełnienia Stany Generalne. Miały one naprawić, odświeżyć, przerobić skolataną nawę państwa, która okazała się niedostateczną dla nowych potrzeb i pragnień narodu.

Byli-ż wybrani posłowie przygotowani odpowiednio do tak ważnego zdania, znali-ż wszyscy dokładnie położenie kraju, co było ich najprzedniejszym obowiązkiem.

Położenie danego kraju i danej chwili dziejowej znają tylko genialni mężowie stanu, urodzeni wodzowie wielkich mas, którzy orientują się szybko w każdej sytuacji, albo wytrawni, doświadczeni politycy, albo wyżsi, starsi urzędnicy administracyjni, ogarniający z wyżyn swojego stanowiska sprawy całych prowincyj, powiatów. W Stanach Generalnych zasiadał tylko jeden urodzony mąż stanu, hr. Honoryusz de Mirabeau, oślepiony w pierwszej chwili żądzą zemsty osobistej i abstrakcyjną doktryną filozoficznej wolności; doświadczonych zaś administratorów i praktycznych polityków, mężów rozważnych, posłał naród tak niewielu do Wersalu, iż głos ich nie mógł mieć żadnego znaczenia. Prawie całe Stany Generalne (około 1,000 głów) skła-

dały się ze szlachty prowincjonalnej, wrogiej szlachcie dworskiej, z przedstawicieli niższego kleru, niechętnego wyższemu i z liczonej gromady adwokatów, nienawidzących szlachty i kleru. Wszyscy ci margrabiowie, hrabiowie i kawalerowie prowincjonalni, których całym zajęciem w domu było podtrzymywanie w okolicy wytworniejszego życia towarzyskiego, rezonowanie filozoficzne i polowanie—wszyscy ci proboszczowie i plebani, pozbawieni od lat stu wpływu na sprawy publiczne—wszyscy w końcu ci adwokaci z małych miasteczek, których całą mądrość polityczną stanowiła „Umowa społeczna“ („Contrat social“) Jana Jakóba Rousseau'a, byli nowicyuszami w rzeczach politycznych. Nadmiar opętała wszystkich doktryna filozoficzna, wisząca w powietrzu, nie oparta na znajomości natury ludzkiej.

Gdyby ci ludzie, odwykli od roboty politycznej, zmuszeni przez władzę królewską, przez *l'état c'est moi!* do zamknięcia się w ciasnym kole spraw osobistych, byli chcieli słuchać wskazówek i rad, jakich im cudzoziemcy, żyjący już pod rządem konstytucyjnym (Anglicy, Amerykanie) nie skąpili, gdyby chcieli korzystać z cudzego doświadczenia, byłoby jeszcze pół biedy. Ale śmiała doktryna przewrotowa oślepiła do tego stopnia Francuzów, iż spoglądali z pogardą na cały świat. Z dziecinną zarozumiałością nowicyuszów, z niemądrą pychą młokosów, zabierających się do „zbawienia ludzkości,“ wołali: Konstytucya angielska? Śmieszność! Konstytucya amerykańska? Partactwo! My, Francuzi, wychowawcy filozofów, dzieci Voltaire'a, Rousseau'a, pokażemy dopiero światu, jak się tworzy prawa, które dają narodowi spokój, dobrobyt, szczęście. A nie tylko narodowi... My, wyznawcy rozumu, pogromcy wiary, duszy, serca, wyobraźni, my, znający najlepiej potrzeby i pragnienia człowieka, nauczymy całą ludzkość, jak się ma urządzać, aby była szczęśliwą.

Głównie adwokatom z francuskich Pacanowów i Rypinów, prowincjonalnym kauzyperdom zdawało się naprawdę, że są wszyscy bez wyjątku, co najmniej Lykurgami. Dość przejrzeć ich mowy, wygłaszane w Zgromadzeniu Narodowym, te napuszone cytatai historycznymi i frazesami łacińskimi naszpikowane wypracowania studenckie, tę nadętą gadaninę akademicką, by się przekonać, iż każdy z adwokatów miał się za Demostenesa, pomnożonego przez Solona i Lykurga.

A tymczasem zasiadało w Stanach Generalnych tylko trzech mówców w dużym stylu: Mirabeau, Cazalès i ksiądz Maury i je-

den średniej miary, Barnave. Największy zresztą talent krasomówczy i polityczny nie byłby odwiódł większości sejmu z drogi, na którą odrazu wstąpiła — z drogi zupełnego zerwania z przeszłością, przybyła ona bowiem do Wersalu z gotową doktryną. Mogła była tego dokonać tylko siła a ten, który rozporządzał jeszcze tą siłą w maju i czerwcu 1789 r., król nie chciał jej użyć, miał wstręt do gwałtu.

Zaraz na samym wstępie obrad sejmowych odsłonił stan trzeci swoje zamiary. Poszło o drobnostkę, o formalizm, o sprawdzanie pełnomocnictw poselskich. Szlachta i duchowieństwo chcieli dokonać tej czynności po dawnemu, każdy w swoim kole, mieszczaństwo zaś żądało, aby się ta czynność odbyła wspólnie, w połączeniu wszystkich stanów.

Była to prosta formalność, ale zasadnicza, brzemiennea w skutki, gdyby bowiem stan trzeci zwyciężył, upadały tem samem pierwsze wiązania dawnej budowy państwa (*ancien régime*), — podział Francuzów na stany.

I stan trzeci zwyciężył.

Zwyciężył, bo pod jego sztandarem walczył duch czasu, — zwyciężył bo wniósł do sejmu upartą wolę rasy świeżej, młodej, nieużytej jeszcze służbą publiczną wielu wieków.

Ustąpił nasamprzód niższy kler, należący z pochodzenia do stanu trzeciego, a za klerem poszła część szlachty, dobrze wychowani, uprzejmi, bezwolni, słabi potomkowie rycerstwa, niezdolni już do trwałego oporu, do walki zaciętej. Wielu z nich zresztą podzielało przekonania, sympatyje i antypatyje stanu trzeciego, który śmiałym zamachem przewrócił odrazu dawny porządek, zmieniawszy wbrew woli króla i rządu Stany Generalne w Zgromadzenie Narodowe („Assemblée Nationale“) i ogłosiwszy się nietykalnym (17 czerwca).

Od tej chwili nie było trudno przepowiedzieć, kto poprowadzi dalszą robotę sejmu, kto narzuci swoją wolę rządowi i narodowi francuskiemu.

W wstępnej walce mieszczaństwa ze szlachtą i duchowieństwem, nie mieszczanin układał plan, wydawał hasła, prowadził do ataku, jeno szlachcice, wybrani do Stanów Generalnych przez stan trzeci. Hr. Honorjusza Mirabeau'a odepchnęła szlachta na swoje nieszczęście od łona kasty.

Ten „kolosalny, obłocony satyr,“ jak Taine Mirabeau'a nazywa, pochodził z domu, niegdys włoskiego, którego mężcy

członkowie odznaczeni się zawsze niezwyklei zdolnościami i niezwykłą gwałtownością.

„Szpetny, jak dyabeł“ (tak mówi o synu ojciec Mirabeau'a), zeszepecony jeszcze więcej, podziobany przez ospę, zadziwiał przyszły trybun ludu francuskiego już jako dziecko, niepospolitemi zdolnościami i niesfornością natury. „Panem Huraganem“ nazywał go ojciec. Spotęgowały się w nim wady i cnoty jego rasy. Pracowity, ciągle czynny, odważny, zuchwały, rozrzutny, miał Mirabeau młodość bardzo ciężką. Dławił się w żelaznem ręku ojca-tyrana, który chciał tę naturę bujną nagiąć koniecznie do jakiegoś porządku, do prawidłowego rozwoju. Przerzucany (z woli ojca) z więzienia do więzienia, za długi, za awantury, za romanse, szamotał się „kolosalny satyr“ w pętach i znienawidził wszelki despotyzm w ogóle. Porzucony przez żonę, później przez kochankę, odtrącony przez rodzinę, przez całą korporację szlachecką, smagany przez nędzę, ścigany przez wierzycieli, zmysłowy, chciwy użycia, dyszał Mirabeau nienawiścią do istniejącego porządku, w którym widział sprawcę swoich nieszczęść i czekał chciwie na chwilę zemsty.

Ta chwila przyszła — rewolucya — i Mirabeau zemścił się. Poniewieraliście mną wszyscy, pluliście na mnie, jak na wyrzutka, a ja jeden byłem więcej wart od was wszystkich do kupy razem — od was, ciasne głowy, salonowe manekiny, głupcy, niedołęgi. Nie chcecie mnie, szlachcice? Drwię sobie z was! Łyczkowie będą bardzo zaszczytzeni, że się hr. Mirabeau pozwoli wybrać, jako jeden z pomiędzy nich. Mirabeau reprezentanten mieszcuchów! Ha, ha, ha! Okrutnie mnie ta rola bawi. Wszystko jedno, kto mnie wybierze, bylebym miał sposobność pokazać, co umiem.

I pokazał „kolosalny, obłocony satyr“, że miał w istocie w jednym palcu więcej talentu krasomówczego i politycznego, więcej odwagi i rzutkości od całej korporacyi, do której należał krwią. On to pchnął stan trzeci w Stanach Generalnych odrazu na drogę jawnej, odważnej rewolucyi, wprowadził w ruch jej koło prawodawcze, a kiedy zmiarkował, że się zanadto rozpędziło usiłował je zatrzymać. Umarł, nie zdążywszy dokonać reakcyi (w r. 1791 w kwietniu). Na łożu śmierci odezwał się w nim szlachcice, dawny towarzysz króla. „Umieram w żałobie po monarchii“, mówił przed samym zgonem.

Pod rozkazami takiego wodza, którego głos potężny hu-

czał w olbrzymiej sali posiedzeń jak trąba jerychońska, którego argumenty oświecały jaskrawymi błyskawicami każdą najzawilszą sprawę, szedł stan trzeci rączym krokiem naprzód do wcielenia doktryny swojej zmierzając.

Dwa głównie wiązania starej, rozklekotanej nawy państwowej trzeba było usunąć, zastąpić nowymi, aby jej wrócić sprawność polityczno - społeczną. Po pierwsze straciły prastare przywileje feodalne dóbr rycerskich swoją rację z chwilą, kiedy właściciele tych dóbr przestali spełniać obowiązki, których nagrodą były owe przywileje; po drugie rozporządzał rząd królewki dochodami kraju ze szkodą dla ogółu, bez żadnej kontroli, jak swoją osobistą własnością. Te dwa grzechy istniejącego porządku, które razem z żywiołowymi klęskami (nieurodzajem, gradami, morem) sprowadziły na Francję głód, nędzę, trzeba było koniecznie usunąć.

O potrzebie tej reformy byli wszyscy uprzywilejowani przekonani — zarówno król, jak szlachta i duchowieństwo. Nietylko nie opierali się, lecz zrzekli się sami dobrowolnie swoich przywilejów, przewracając w ten sposób cały porządek feodalny. W nocy dnia 4 sierpnia na wniosek wice-hrabiego de Noailles, księcia de Châtelet, biskupa de Chartres, hr. de Virien i in. zniesiono poddaństwo, pańszczyznę i wszystkie prawa feodalne, co król z radością potwierdził.

Na tem powinno było Zgromadzenie narodowe właściwie poprzestać, reforma bowiem była, jak na owe czasy i jak na warunki francuskie, tak ogromna i zasadnicza, iż wystarczała najzupełniej dla jednego pokolenia. Król, ograniczony we władzy swojej, kontrolowany przez sejm, przestał być samowładcą, szlachta i duchowieństwo pozbawione swoich przywilejów, zrównały się prawnie z ludem; lud, uwolniony od ciężarów, zyskał swobodę rozwoju.

Tak rozumowałby praktyczny Anglik, rozważny Niemiec, ale krewki Francuz, przesiąknięty na domiar na wskroś doktryną „Umowy społecznej“ Rousseau'a i sceptycyzmem, nie mający wyobrażenia o żywej polityce, uśmiechał się urągliwie, gdy mu cudzoziemcy tłumaczyli, że dobre, trwałe konstytucje tworzą się wolno, że nie można ludowi nieprzywykłemu do rządów dawać odrazu za wiele, bo nie strawi zbyt naglej wolności i zacznie się miotać w konwulsjach anarchii. Wszakże dowiodły już ciągle nieporządki, niepokojące kraj od roku, jak nie-

korzystnie oddziałują nawet niemądre wieści na fantazję ludu. A cóż dopiero niemądre prawa...

Urażliwie uśmiechali się domorośli politycy francuscy na uwagi i rady cudzoziemskich ambasadorów, dyplomatów i uczonych. Wy, narody ociężałe, leniwe umysłowo, możecie sobie medytować nad swojemi reformami sto lat, jeżeli się wam tak podoba, ale my, naród genialny, żwawy, ruchliwy, załatwimy się z całą stęchłą przeszłością w ciągu kilku miesięcy, tak sobie od ręki. Nam oświeconym dzieciom rozumu, za mało t. zw. reform praktycznych; my wcielimy w życie ideę oderwaną, doktrynę filozofów XVIII stulecia.

I zaczęli ją wcielać wezwawszy do pomocy proletaryat, interesowany w tej sprawie najwięcej. Król, szlachta, duchowieństwo, zamożniejsze ówczesne mieszczaństwo, jako posiadający, nie powinni brać udziału w tej robocie przyszłości, bo mogliby ją zepsuć, gdyby przerosła ich pojęcia. By zaś nie mogli wpływać na lud, trzeba ich znaczenie systematycznie podkopywać, obniżać, a ich samych oczerniać, ośmieszać, usuwać z drogi, szczuć na nich motłoch, jako na „szkodliwych, zdradzieckich arystokratów“.

Tej roboty minującej podjęli się zrazu mówcy kawiarniani i dziennikarze ludowi, a następnie kluby polityczne.

W Paryżu, w *Palais Royal*, w pałacu książąt Orleańskich, znajdował się ogród obszerny, przystępny dla publiczności. W ogrodzie tym urządzono w galeriach różne sklepy kawiarniane, księgarnie, sale balowe. Jeszcze w r. 1786 był ogród *Palais Royal* miejscem przechadzek i schadzek tylko lepszych sfer. Tu używano w dzień słońca i powietrza, a wieczorami szeptały w alejach eleganckie pary, przysłuchując się muzyce i śpiewowi artystów opery.

Kiedy książę Orleański otworzył dla miasta na rozciernie bramy swojego pałacu, założył ogród i jego kawiarnie wszystkie szumowiny Paryża. Artystki opery i teatrów należące wówczas, z małymi wyjątkami do półświatka, dwa tysiące kokot ulicznych z armią swoich sutenerów i kochanków, szulerzy, próżniacy wszystkich stanów, włóczęgi i wszelka inna nieczysta hałastra wybrała sobie ogród i kawiarnie *Palais Royal* za punkt zborny. Do tej wesołej hołotki przyłączyła się młodzież z proletaryatu inteligentnego: studenci, adwokaci bez klientów, lekarze bez pacjentów, literaci bez czytelników, artyści bez talentu, aktorzy

bez oklasków — sami bezdomni, ubodzy, niezadowoleni, zazdrozczący sytym, uznanym, szczęśliwszym powodzenia, więc doskonale przysposobieni do skrajnej rewolucyi. Wszyscy oni mieli dużo czasu do gadaniny politycznej, bo nie robili nic, albo nie wiele, wszyscy czytali gorliwie, umieli na pamięć *Contrat Social* i nasłuchiwali niecierpliwie, czy nie nadchodzi chwila do odegrania na świecie jakiejś roli, do zdobycia sobie jakiejś pozycyi w ogólnym zamęcie.

Nadeszła... Lud po wsiach buntuje się, szlachta i wyższe mieszczaństwo filozofuje, rząd traci głowę, bezradny...

Więc do roboty! Przecież to tak łatwo być politykiem! By napisać dobry dramat, powieść, dzieło naukowe, by namalować dobry obraz, wyrzeźbić rzeźbę, zbudować kościół, zamek, most, by się odzwać w dyplomacyi, wojsku, marynarce, medycynie, prawie, chemii, matematyce i t. d., potrzeba prócz talentu, usilnej, czasem bardzo mozolnej pracy. A w polityce wystarcza stanąć na mównicy, palnąć jaką mowę, sypnąć popularnymi frazesami i wielki mąż stanu gotów. Kto głośniej wrzeszczy, posługuje się jaskrawszymi, błyskotliwszymi frazesami, kto schlebia sprytniej bezkrytycznemu tłumowi, ten większy, popularniejszy.

Przeto garną się do polityki skwapliwie wszystkie miernoty, niezdolne do niczego lepszego, a żadne łatwej sławy.

Cały szereg efemerycznych wielkości rewolucyi francuskiej wyłagł się z hałastry, która uczęszczała do kawiarni *Palais Royal*. Tu rozpoczęły i jej tuzy rzeczywiste kariery polityczną.

Tu wrykiwał potężnym głosem rozjuszonego byka pierwsze podburzające mowy Danton, adwokacina bez klientów, tak ubogi, że byłby z żoną z głodu umarł, gdyby nie luidor, którego mu jego teść, handlarz limoniady, co tydzień dostarczał. Ogromnego wzrostu, z głową warczącego buldoga, z twarzą tatarską, podziobaną śladami ospy, tak samo jak Mirabeau „straszliwie, tragicznie brzydki“, ordynarny, gminny, przeplatający swoje mowy klątwami i dowcipami doróżkarza, typowy „cham“ prawdziwe dziecko motłochu, był urodzonym wodzem tego motłochu. On jeden najzdolniejszy ze wszystkich demagogów rewolucyi, znał doskonale duszę motłochu, z którego wyszedł, na który patrzył okiem bystrego obserwatora. Kiedy się inni bawili w sielanek, apoteozowali „dobry, czysty lud“, uczyli się znajomości ludzi z powieści i z marzeń filozoficznych, on, który czytał niewiele, ale patrzył, obserwował za to dużo, drwił sobie

z fantazyi papierowych demagogów. Kiedy inni „gadali“ bez końca, on rzutki, szybki w pomysle, skory do czynu, wiedzący doskonale, że w rewolucyach ten ginie, kto nie umie w chwili właściwej uderzyć, brał lud na wędzidło i prowadził go silną ręką, używał do swoich celów. Zmysłowy, dyszał do użycia, brał pieniądze na prawo i lewo, od króla nawet, cyniczny cynizmem natury silnej, lekceważący ostrożność, chytre kłamstwo, mówił wszystko, co mu przyszło do głowy, nie obwijał nic w bawełnę. „Z kanalii pochodzimy, z rynsztoka wyszliśmy — uczył swoich kompanów—przeto, jeżeli nie chcecie wrócić do rynsztoka, usuwajcie z drogi wszystkich, którzyby nas mogli strącić z wyżyn, na jakie się wdrapaliśmy“.

Był to jedyny demagog rewolucyi francuskiej w dużym stylu, trybun ludu, jak Mirabeau był właściwie trubunem szlachty filozofującej, liberalnej, mimo maski mieszczańskiej, jaką na siebie z konieczności włożył.

Tu, w galeryach *Palais Royal*, dał Francyi po raz pierwszy wiadomość o sobie Kamil Desmoulin, także młodziuchny adwokacik bez klientów, jak Danton, taki mizerak, że w 28 roku życia, już po rozpoczęciu adwokatury i agitacyi rewolucyjnej, błaga ojca, żeby mu kupił łóżko („Listy Desmoulin's'a do ojca“), bo niema na czem spać. Brzydki, jąkała, bez głosu, ale bardzo zdolny, złośliwy jako pisarz—pamflecista, jako paszkwiliści odegrał w pierwszym akcie dramatu rewolucyjnego rolę pierwszorzędną. On to rozrzucił szyderską mądrość Voltaire'a okruciami, strzępami, skrawkami, opieprzonemi werwą paszkwiliści, pomiędzy ludzi; on rozkrzewił, spopularyzował tę zatrutą mądrość, zaklętą przez jej twórcę w wytworną formę dla salonów, on przygotował systematycznym oszczerstwem, kłamliwemi insynuacyami, ciągłą denuncyą, dzwonieniem na alarm, nienawisć ludu paryskiego do króla, szlachty, duchowieństwa, do żyrondyistów w końcu. Jego zjadliwe, cięte artykuły, odezwy, nawoływania do buntu, drukowane na świstkach („Les discours de la lanterne aux Parisiens“; „Les révolutions de France et de Brabant“) rozlatywały się po Paryżu, jak ptactwo krzykliwe, budząc motłoch do krwawej roboty. Uczciwszy od Dantona, wierzący szczerze w posłannictwo teroryzmu, fanatyk rewolucyi, był w życiu prywatem „dobrym chłopcem“. Wszysey lubili go, nazywali „Kamilkiem“, bawili się jego zapalem; Mirabeau i Danton zapraszali go do siebie na obiady i posługiwali się jego

talentem pamflecisty do swoich celów, traktując go lekceważąco, jak się traktuje „dobre dziecko“, z którym się nie liczy. Straszliwie ukarała go Opatrzność za jego krwawą lekkomyślność, bo wyrwała go z objęć ubóstwianej, młodej żony i maleńkiego synka i posłała w kwiecie młodości na szafot, który on wrzawą swoją, oszczerstwami i denuncyacjami zrosił potokiem krwi niewinnej.

I Marat, lekarz bez pacjentów, konował w stajniach hr d'Artois, literat bez talentu, nędzny uczony, któremu fizyk Charles dowiódł rozmyślnego fałszerstwa naukowego, gwoli zdobycia prędkiej sławy, największy megaloman rewolucyjnej, trawiony żądzą sławy od piątego roku życia, do czego się sam przyznawał, rozżalony, wściekły na los, na ludzi, na cały świat za to, że jego mierne zdolności nie odpowiadały jego nadmiernym ambicyjom, podobny do „zgniłej ropuchy“, obrzydliwie brzydki, zawsze brudny, opluty, obdarty, pokryty wrzodami, ubierający się, jak furman, mieszkający w suterrenach, wyłażący ze swojej nory tylko nocą na miasto, jak puszczyk, trawiony chorobliwą namiętnością wybicia się na wierzch, maniak wielkości aż do obłędu, zaczął swoją karierę polityczną w kawiarniach *Palais Royal*.

I margrabia de Saint-Huruge, zrujnowany przez marnotrawstwo i przez rozpustę szlacheic, człowiek bez czci i wiary, złodziej i dzieciobójca, którego jego korporacja wypłuła ze swojego łona, królował tu wśród kokot, szulerów i „szekaczów partyotycznych“.

Kto miał coś do powiedzenia lub chciał zwrócić na siebie uwagę, wchodził na stół i mówił, krzyczał, miotał się. Trzeba było koniecznie drzeć się na całe gardło, huczeć, jak tuba, bo tłum kilkotysięczny chciał słyszeć. Tryumfowały zawsze najmocniejsze płuca i najgłośniejsze krwiożercze frazesy.

Ponieważ zwierzę (ma być: rząd, szlachta, duchowieństwo, bogatsze mieszczaństwo), wpadło do wilczego dołu — wrzeszczał, jękając się Desmoulins — przeto trzeba je zabić. Nigdy nie ofiarowano zwycięzcom bogatszego łupu. Czterdzieści tysięcy pałaców, hotelów, zamków, dwie piąte dóbr Francji, staną się nagrodą odważnych. Ci, którzy się nazywają zdobywcami kraju (rycerstwo), będą teraz sami zdobywcy, a naród będzie oczyszczony.

Cały majątek króla, szlachty, duchowieństwa i zamożnego mieszczaństwa oddawał Desmoulins hojną ręką „narodowi“. Weźcie, bo to wasze... Później, gdy sobie sprawił nie tylko własne

łóżko, ale ożeniwszy się z panną z zamożnej burżuazji, stał się sam posiadającym „arystokratą“, złagodniał w radykalizmie, nauczył się szanować własność, ale wówczas uciegli mu gorliwi słuchacze jego odezwo, pilni czytelnicy jego pamfletów wystudzona główkę.

Z kipiącego ciągle kotła rewolucyjnego w kawiarniach *Palais Royal* wylęgły się nowe pojęcia: „arystokraty“, „patryoty“ i „narodu“. Arystokratą był przedewszystkiem każdy szlachcic, potem każdy ksiądz i mieszczanin, który żył od dwóch, trzech pokoleń w dobrobycie; „patryotą“ każdy, kto nienawidził „arystokratów“ i chwycił ich bez namysłu za gardło; „narodem“ zaś tylko proletaryat inteligentny i nieinteligentny. Do „narodu“ nie należał król, który przez lat 800 budował jednolitą Francję; ani szlachcic, który przez lat 1,000 przelewał krew na wszystkich polach bitew w obronie Francji; ani ksiądz, który przez lat 1,300 ociosywał z ewangelią w rękę brutalną naturę gwałtownego Franka, łagodził, uszlachetniał, trzymał na wodzy jego zwierzęce instynkty, stając zawsze po stronie słabszego, krzywdzonego; ani w końcu starszy mieszczanin, który od 200—300 lat pracował pożytecznie dla kraju w rzemiośle, handlu, przemyśle, w sztuce i nauce. To sami „zdrajcy“, „uzurpatorzy“ — na latarnie z nimi! Bo tytuł członka narodu należy się tylko proletaryatowi, który nie zrobił dotąd jeszcze nic dla wspólnej ojczyzny, którego jedyną siłą stanowi tak żarłoczny apetyt, iż pochłonałby z przyjemnością cały majątek Francji.

Głównym kozłem ofiarnym frazesowiczów kawiarnianych był szlachcic i ksiądz. Zniszczyć tych „zdrajców“, wytepić z korzeniem, aby się „naród oczyścił“. Nic nie pomogło, że „zdrajcy“ rzekli się sami swoich przywilejów, że podzielali w znacznej części przewrotowe pojęcia „narodu“, że duchowieństwo chciało wziąć na siebie spłatę długów państwowych. Ich dobra wola i wiara nie przekonywały „narodu“, bo są fałszem, kłamstwem, hipokryzją, bo tylko „naród“, posiada cnoty ludzkie i obywatelskie. Nie wierzeie obłudnikom, *écrasez les infâmes!* Gdy się jaki szlachcic albo ksiądz ośmielił pokazać w *Palais Royal*, sypały się na nich krzesła, ławki, wrzucano ich do basenów z wodą. Jakąś rozumniejszą kobietę z ludu, jakiegoś spokojniejszego rzemieślnika, którzy zdziwieni dzikiemi denuncyacjami wyrazili swoje oburzenie, zdeptał „naród“ na śmierć, bo „naród“ jest

„suwerenem“, jak go nauczył Rousseau, suweren zaś nie znosi oporu, krytyki.

Zkąd to niespodziewane zjawisko?

Tłumaczą je pamiętniki i tu i owdzie, w artykułach, rozrzucone uwagi przywódców „narodu“.

Pani Roland, która odegrała w rewolucyi rolę pośrednią, ale ważną, przyjechawszy do Paryża, pobiegła natychmiast do Zgromadzenia Narodowego, by ucieszyć oczy tryumfem „narodu“. W swojej gorliwości republikańskiej, w szczerem uwielbieniu dla narodu była przekonana, że znajdzie po jego stronie wszystkie talenty krasomówcze, polityczne i towarzyskie. Tymczasem nie adwokaci z prowincyi, jak przyznaje sama (*je remarquai avec dépit*) w swoich „Pamiętnikach“, pisanych w więzieniu, wzbudzili jej podziw wymową, formami, zachowaniem się, lecz przeciwnie: „potężny hr. Mirabeau, zdumiewający kawaler de Cazalès, odważny prałat Maury, podstępni hr. hr. Lamethowie i chłodny Barnave,“ należący do starego mieszczaństwa. Gniewało to, upokarzało zagorzałą demokratkę. Upokarzało ją przedewszystkiem, że przywódcy narodu, czyli demagogowie, „doskonali rezonerowie, dobrzy filozofowie, uczeni politycy w dyskusyi, nie mieli wyobrażenia o sztuce rządzenia ludźmi“. Zrobiła ona z tego powodu bardzo dobrą uwagę: „Jak mało ludzi posiada zdolność do zajmowania się sprawami publicznymi, a jeszcze mniej do rządzenia! Nie dziwię się teraz wcale, że mężowie wybitni, stojący na czele państw, mają zwykle dużo pogardy dla rodzaju ludzkiego, bo znają go lepiej od tych, co patrzą z dołu na sprawę narodu.“ Smutne doświadczenie nauczyło utalentowaną i ambitną kobietę, którą pożerała zazdrość względem owych wybitnych, tej wielkiej prawdy, ale dopiero wówczas kiedy ją „naród-suweren“ włókł pod gilotynę. Dopóki korzystała sama z wszechwładzwa ludu, robiła wszystko, aby zniszczyć znaczenie warstw historycznych, które doświadczenie wielu wieków nauczyło godności i umiarkowania. Tak samo, jak wszystkim jej współwyznawcom, zdawało się i jej, że wystarczy nauczyć się kilkunastu frazesów z *Contrat Social* i posiadać bardzo dużo ambicyi, aby budować państwa i rządzić narodem i za tę omyłkę poszła na szafot, jak poszli żyrondyści, jak poszli Danton, Desmoulin, Robespierre i in. Jak oni, nie wiedziała i ona, że trzeba się urodzić człowiekiem publicznym, albo przygotować się do rządzenia ludźmi, do tej najtrudniejszej ze wszystkich sztuk, w szko-

le kilkuwiekowego doświadczenia historycznego. Niechęć do warstw historycznych, do ich stanowiska towarzyskiego, do ich form wytwornych, do ich mowy gładkiej i umiarkowania w sprawach publicznych, bucha wszędzie z jej pamiętników, odsłaniając jedną z przyczyn nienawiści „narodu“ do szlachty i duchowieństwa, do „zdrajców.“

Drugą wskazał Danton. Mówił on w r. 1793: *L'ancien régime* popełnił wielki błąd. Wychował mnie w jednej z burs kolegium du Plessis. Chowałem się tam z wielkimi panami, którzy byli mymi kolegami i z którymi żyłem w przyjaźni. Po skończonych studiach nie posiadałem nic, znalazłem się w nędzy, byłem bez stanowiska i dopiero po długich latach udało mi się kupić adwokaturę. Przyszła rewolucya, a wtedy ja i wszyscy do mnie podobni rzuciliśmy się w jej objęcia. *L'ancien régime* popełnił błąd, wychowawszy nas dobrze, a nie stworzywszy upustu dla naszych talentów.

Znaczy to: kiedy nas chowaliście za swoje pieniądze w bursach, wy, szlachta i prałaci, kiedy pozwoliliście nam, „kanalii“ ocierać się o siebie, żyć z waszemi dziećmi i krewniakami w przyjaźni, powinniście nam byli po wyjściu ze szkół dostarczyć natychmiast odpowiednich środków, abyśmy mogli używać tak samo, jak oni.

Któżby chciał wierzyć?—przyznaje się Chamfort. — A jednak tak było. Nie podatki, *lettres de cachet* i wszystkie inne nadużycia władzy, nie zdzierstwa intendentów i rujnująca przewlekłość sprawiedliwości gniewały najwięcej naród. Więcej od tego wszystkiego nienawidził on przesądów szlachty, czego dowodem, że właśnie ci, którzy zazdrościli szlachcie jej tradycyi i stanowiska, burżuazya, literaci i finansisci, podburzyli przeciw niej lud miejski i wiejski.

Do tej kategorii inteligentnych proletaryuszów, którzy wyszli z burs, fundowanych przez szlachtę i księży, z żalem do swoich dobrodziejów za to, że ich nie zrobili odrazu „panami“, że im nie dali stanowisk, odpowiadających ich ambicyom, potrzebom i apetytom, należeli prócz setek adwokatów prowincjonalnych i Dantona: Desmoulin, Robespierre, Chamfort, Brissot, Vergniaud i wielu innych mniejszego rzędu przewrotowców. Wnieśli oni wszyscy do rewolucyi krom entuzjazmu dla nowych idei, krom mądrości „Umowy Społecznej“ i nadziei wydostania się na wierzch społeczeństwa w ogólnym zamęcie, krom niena-

wiści do sfer wyższych, egoistyczne pojęcie o służbie publicznej, co Desmoulins zdradził, kiedy mówił: „nasza rewolucya czysto polityczna, ma swoje korzenie w egoizmie i w miłości własnej każdego z nas, zastosowanie zaś, kontynuacja egoizmu i miłości własnej składają się na sprawę powszechną (*l'intérêt générale*).

Pobudki osobiste, ambicje, próżności i namiętności odgrywają w życiu w ogóle bardzo znaczną rolę, głównie zaś w chwilach gwałtownych przewrotów politycznych, kiedy człowiek zrzuca z siebie maskę obłudy i nie zadaje sobie trudu kłamania. Można ten pewnik zasłonić na pewien czas frazeologią abstrakcyjną, można drapować się w togę „cnotliwego Rzymianina“, jak to czynili demagogowie francuscy XVIII stulecia, fakty jednak, wypadki zrywają wkrótce zasłonę, togę z „cnotliwego republikanina“ i pokazują nagiego człowieka. Sama zresztą doktryna filozoficzna XVIII wieku była zanadto materyalistyczna, by mogła udawać długo bezinteresownego ideologa. Człowiek, według jej pojęcia jest „kreaturą rezonującą i pożądaną szczęścia na ziemi“, czyli chciwą życia i użycia. Z takim pojęciem o człowieku można stworzyć jedynie rewolucję z tendencjami samolubnymi. Rewolucya francuska wprowadziła w istocie do historii rewolucyi narodu francuskiego, znającego dotąd tylko rewolucye polityczne i religijne, pospolitą walkę o byt i dlatego wysunął się w niej proletaryat na pierwszy plan. Jest ona pierwszym aktem tragedyi kapitalistyczno - socjalistycznej, której ciąg dalszy rozgrywa się w chwili obecnej.

Więc z nienawiści do dobrobytu warstw posiadających z zazdrości, że te warstwy posiadające wyrażają się, ruszają, zachowują się przyzwoiciej, że są potomkami starszej kultury, ze wstrętu do wszelkiej wyższości w ogóle — wykwitła nienawiść do szlachty i księży.

Ci biedacy, którzy około trzydziestego roku życia nie posiadali jeszcze własnego łóżka i gratów niezbędnych, którzy żyli, niewiedomo z czego, wiecznie głodni, zadłużeni, nie rozumieli, że przeciętny szlachcic i ksiądz XVIII stulecia był nie wiele bogatszy od nich, a teraz, kiedy się zrzekli przywilejów feudalnych, zejda na bankrutów, jeżeli ich państwo nie wynagrodzi posadami. A jeśli z nich który znał położenie byłych uprzywilejowanych, to zamykał rozmyślnie oczy i uszy, bo ten był uprzywilejowany, chociaż ubogi, posiadał jeszcze tradycyę historyczną, nosił nazwisko, zapisane na kartach dziejów Francyi,

odcinał się od „narodu“ herbem, tytułem rodowym, był lepiej wychowany od „suwerena“ bez butów, czego naturalnie miłość własna, ambicja, pycha „suwerena“ znieść nie mogła. Przeto trzeba usunąć tego upiora przeszłości, zdeptać go zupełnie, zabrać mu wszystko, co jeszcze posiada, aby nie obrażał lśniącymi łachmanami świetnej przeszłości nowego „suwerena“.

Rozumie się, że się tego wszystkiego nie mówiło głośno, wyraźnie w *Palais Royal*, w kawiarni *Foy*, bo nasamprzód nie rozumiałby takiej mowy lud, a następnie nie wolno „cnotliwym Rzymianom“ odsłaniać swojej nagości. Na improwizowanych trybunach improwizowanego parlamentu krzyczało się: król jest niedołężnym głupcem, królowa ładacznicą, podłą Austryaczką, która knuje zdradę narodu, bracia królewscy są łotrami, panowie dworscy zbrodniarzami, medytującymi nad tem, jak wytepić głodem dobry, szlachetny, czysty lud, szlachta i duchowieństwo ukradli naturalnemu „suwerenowi“ jego majątek, jego przywileje, — całą tę hałastrę trzeba zniszczyć, rzucić pod stopy pierwotnego pana, aby mu służyła w pokorze. Tak mówili, uczyli „cnotliwi Rzymianie“, potomkowie Scewolów, Brutusów. Taką mowę, naukę pojął najgłupszy z motłochu i umiłował ją, albowiem wyrzucała go ona odrazu na sam wierzch drabiny społecznej.

Tę nową ewangelię wynosił cały legion t. zw. szczekaczów politycznych (*aboyeurs*) z *Palais Royal* i rozlewał ją po przedmieściach Paryża i po okolicy, pisma zaś i pisemka Desmoulins'a, Loustalota, Marata, Brissota rozrzucali ją szeroko po kraju, przygotowując dla terroryzmu olbrzymią armię, uzbrojoną w piki, kosy, kłonicy, strzelby i w rozpetane instynkty zwierzęce człowieka. W każdym mieście i miasteczku prowincyonelnem tworzyły się kluby rewolucyjne, a wszystkie potrzęsały groźnie rusznicami.

Nie dość jednak „szczekaczom“ *Palais Royal* roboty przygotowawczej. Oni „jedyni prawdziwi przedstawiciele narodu“, jak o sobie sami głosili, pragnęli oddziaływać wprost, bezpośrednio na przebieg wypadków, chcieli pochwycić w zdenerwowane ręce cugle władzy. Lecz ich niewiele; — dwudziestu, trzydziestu najwyżej... Im potrzeba tłumy, siły, by mogli rządzić. Zkąd wziąć tę siłę? „Arystokraci“ nie pójdą z nimi, bo, jakkolwiek i ci „zdrajcy“ domagają się reform, to żądają ich tylko na drodze spokojnej roboty prawodawczej, bez odwoływania się do

gwałtu. Cóż to zresztą za reformy! Drobne poprawki nawy państwowej, które nie myślą wcale o przywróceniu „narodowi“ należnej mu władzy królewskiej. Nieby na takiej reformie nie sko rzystali: Danton'owie, Desmoulin's'owie, Robespierre'owie, Marat'owie, Brissot'owie i przyjaciele ich. Zostaliby tem, czem są, nieznanymi pionkami. A oni chcą rządzić, rozkazywać, używać.

Nie pójdą z nimi także spokojni obywatele Paryża: urzędnicy, kupcy, przemysłowcy, rzemieślnicy, wszyscy w ogóle, którzy zajmują jakąś żywiącą ich i rodziny posadę, jakiś majątek, dom, warsztat. I tym „sytych samolubom“ wystarczają połowiczne reformy, jakich pragną „zdrajcy-arystokraci.“

Trzeba sięgnąć głębiej, w dół, do warstw najniższych, tam, gdzie roi się w brudzie, w nędzy, głodny motłoch stolicy, który odważy się na wszystko, bo niema nic do stracenia. To naturalna, urodzona gwardya demagogów.

Oto tam, na przedmieściu św. Antoniego, czeka dziesięć tysięcy żyłastych ramion „na robotę.“ Wystarczy tych nędzarzów podniecić, nakarmić, dać im gorzalki, trochę grosza w garść, a wezmą pikę i ruszą, choćby do Wersalu, na samego króla. Do nich przyłączy się wkrótce reszta drapichrustów, których Paryż liczy około 40,000. To już pokaźna armia.

„Szczekacze“ rozbiegli się po przedmieściach, perorowali na mostach, na schodach kościołów, włązili na latarnie, na piedestały pomników i urabiali „suwerena“ do swoich celów. Obdarty, brudny, ponury „suweren“ bez butów, bez spodni (*sans culotte*), ocierający się codziennie o zbrodnie, słuchał uważnie, a gdy go „jedyni, prawdziwi przedstawiciele narodu“ fetowali hojnie w kawiarniach *Palais Royal*, nie szczędząc ognistego poczęstunku, oddawał chętnie ramię swoje na usługi tych, którzy mu obiecywali raj na ziemi.

Na pomoc tej armii „bezportkowców“ przybył z kraju zuchwały legion wyrzutków społecznych. Już z początkiem roku 1789 wchodziły przez wszystkie rogatki Paryża takie osobliwe postacie, że przerażały samym wyglądem straż miejską. Nigdy jeszcze nie widziała stolica takich gości. Ogromne, obrosłe, w łachmany i skóry odziane, w drągi i pałki uzbrojone draby spoglądały z podełba ponurym, żarłocznym wzrokiem, żeru, łupu szukając. Widać, że szli z lasów, z jaskiń skalnych, z kryjówek górskich i nadmorskich. To złodzieje, przemytnicy, kłusownicy, rabusie, zbóje! Ciągnęli zewsząd do stolicy, zwabieni wrzawą

rewolucyi. Gdzie się wielkie mnóstwo ludzi z sobą kłóci, tam powstaje większy zamęt, w większym zaś rozgardyaszu zawsze łatwiej o znaczniejszy łup i o bezkarność.

Z radością witali „enotliwi Rzymianie“ z *Palais Royal* tych niespodziewanych sprzymierzeńców, bo to zuchy, przywkle do odważnych, zuchwałych czynów i do mordu. Oni poprowadzą motłoch paryski, nauczą go, jak się zabiera do kieszeni i do gardeł „arystokratów.“

Ale takie zuchy nie robią nic darmo; trzeba ich dobrze zapłacić, żeby się raczyli fatygować. Zkąd jednak wziąć pieniądze? Wszyscy „jedyni, prawdziwi przyjaciele narodu,“ razem wzięci, nie posiadali 1,000 franków majątku. Oni sami rozglądali się ciągle dokoła, czatując, gdzieby złapać trochę grosza, bo im bieda okrutnie dokuczała. A taka agitacya kosztuje miliony.

Dostarczyła ich nienawiść.

Z po za zasłon okien „pałacu królewskiego“ spoglądał na wrzawę kawiarni z uśmiechem zadowolonym czterdziesto-dwuletni, przystojny, wytworny pan. Był nim Ludwik Filip Józef książę Orleański, pierwszy książę krwi, najbogatszy magnat Francyi, bogatszy od króla i najmożniejszych biskupów. Zdolny, odważny, wymowny, hojny, oświecony, hulaszczy, gorszył i bawił w młodości swojej całą Francję życiem rozpustnem i awanturami, filozofował, jak wszyscy, a teraz politykował, jak wszyscy. Politykował więcej nerwami, obrażoną miłością własną, niż rozumem, przekonaniem. Należał on do młodszej linii domu panującego i, jak wszystkie młodsze linie, zazdrościł starszej korony, tem więcej, że czuł się zdolniejszym, energiczniejszym od Ludwika XVI. Ta zazdrość pchała go w młodości w objęcia wszystkich rezonerów, niezadowolonych z istniejącego porządku. W pałacu swoim przyjmował i ugaszczwał chętnie filozofów i demagogów. Voltaire i Rousseau, Franklin i Gibbon, Grimm, Diderot, Siyès, Sillery, Laclous, Suard, Laharpe, Raynal, Danton w końcu i Barrère rozprawiali, błyszczeli, perorowali w jego salonach, które były niejako pierwszym klubem rewolucyjnym Francyi. Z jego pałacu wybiegały na Paryż pierwsze błyskawice, w jego kawiarniach dojrzewały pierwsze rozruchy uliczne i zabójstwa. Za to uwielbiał go „naród“ i nazywał Filipem Egalité, dwór zaś królewski nienawidził go, odsuwał rozmyslnie od

zaszczytów, od władzy, co go oczywiście jeszcze więcej rozdrażniało. Więc na złość dworowi sypał pieniędzmi, jak plewą, rzucał miliony na agitację przeciw rządową. Tak chciwą garścią czerpali „patryoci“ z jego szkatuły, iż wypróżnili ją do dna. W dniu śmierci miał hojny magnat 74 miliony długów, chociaż jego dochody wynosiły rocznie 114 milionów. Później, kiedy już burza huczała nad całym krajem, z obawy, by i jego nie zmiotła, oddał się ks. Orleański cały rewolucyi, ubierał się we frygijską czapkę jakobina, mniemając, że ocali siebie w ten sposób. Nie ocalił! I jego dumna głowa spadła pod nożem gilotyny, bo był „arystokratą“ z rodu, czego mu „cnotliwi republikanie“ nie mogli przebaczyć, chociaż bez jego milionów nie byłiby nigdy zawładnęli Francją, bo zdradził haniebnie swojego króla i krewnego, bo przyczynił się do mordów, do zbrodni, a taki ciężki grzech trzeba zawsze na tej ziemi odpokutować. Tak chce nemezys dziejowa: krew za krew! Wiedział o tem dobrze w chwili, kiedy go prowadzono na szafot, odezwał się bowiem do jednego z członków trybunału rewolucyjnego: Nie mam żalu ani do trybunału, ani do konwentu, ani do patryotów, nie oni bowiem chcą mojej śmierci; przychodzi ona na mnie z innych, daleko wyższych szczytów, aniżeli ich władza.

Za pieniądze Filipa-Egalité fetowali, werbowali „patryoci“ z *Palais Royal* swoją armię, a kiedy ją sformowali, wypuścili ją na miasto, na ulicę. Po raz pierwszy debiutowała ta „gwardya narodowa“ w kwietniu 1789 r.

Rozpoczęły się właśnie w Paryżu wybory do Stanów Generalnych. Improvizowany rząd ludu, zasiadający w kawiarni Foy, postanowił czuwać nad tym ważnym wypadkiem. Szło jedynie w tej chwili o to, by dowieść „arystokratom“ siły stanu trzeciego (*Tiers Etat*). W tym celu przebiegały miasto bandy drapichrustów, wrzeszcząc: *Vive le Tiers-Etat!* Zuchwalsi zatrzymywali po drodze dostatnio odzianych przechodniów, kazali elegantom i elegantkom wysiadać z powozów i wołać: niech żyje stan trzeci! Opierać się trudno, bo „suweryn“ ulicy grozi pałkami.

Po tej niewinnej przegrywce nastąpił pierwszy czynny „manifest narodu.“

Właśnie składało duchowieństwo paryskie pierwszy dowód dobrej woli, prawdziwego patryotyzmu: zrzekło się dnia 26 kwietnia swoich przywilejów w sprawach podatkowych; będzie odtąd

placiło podatki, jak wszyscy. Ta wspaniałomyślność kleru nie podobała się agitatorom z *Palais Royal*, mogłaby bowiem stargać przedzę ich roboty antimonarchicznej. Mieszkał w Paryżu jakiś Réveillon, fabrykant papieru kolorowego, w którego domu przebywali księża. Ten Réveillon, dawny robotnik, człowiek bardzo zdolny, rzutki, pracowity, pomysłowy, premiiowany za różne wynalazki, ozdobiony przez rząd orderem św. Michała, dorobił się ładnej fortunki. W fabryce swojej zatrudniał kilkuset robotników, z których najmniejszemu płacił 25 *sous* dziennie. Był on dobrym pracodawcą, życzliwym dla swoich pracowników, bo kiedy zeszłego roku fabryka stała przez całą zimę z powodu braku obstalunków, nie oddalił nikogo, płacił wszystkim tak samo, jak gdyby pracowali; ale nie podobał się patryotom, bo obcował z tymi „zdrajcami“, z księżmi i powiedział na wyborach, jako wyborca, coś takiego, co rozgniewało patryotów. Co? Cóż to gwardyę improvizowanego rządu obchodzi? Dosyć, że „mówił źle o narodzie.“ Fantazyja tłumy, wrażliwa, jak chore nerwy, ponura, jak ciemności czarnej nocy, lekkomyślna, jak głupota, skomponowała sobie szybko ową „złą mowę“ Réveillona. Oto powiedział — obiegało po mieście — że robotnik może z żoną i dziećmi żyć za 15 *sous* dziennie. Więc za gardło go, zdrajcę, pijawkę, podłego przyjaciela arystokratów! Naród nie sprawdził, czy wieści są kłamliwe albo prawdziwe, bo on, zbyt wrażliwy, zbyt niespokojny, nie sprawdza nigdy. Tak go ktoś objął; to wystarcza. Hurra na Réveillona! Niech poczuje, co to znaczy obrazić „narod!“

Już w sobotę, dnia 25 kwietnia przeciągały ulicami Paryża bandy, składające się z mężczyzn, kobiet i dzieci, niosących manekina, przedstawiającego Réveillona z orderem św. Michała na szyi. Na placu *Grève* improvizowany trybunał osądził owego manekina i spalił go wśród oklasków tłumy. Potem ruszył tłum przed dom winowajcy, opluwając, obrzucając błotem każdego po drodze spotkanego księdza, bo to oni, „ci zdrajcy księża“ zbuntowali Réveillona. Ale domu fabrykanta strzegła straż królewska — nie można się było do niego dostać. Tłum odszedł. Ktoś krzyknął: na tej a tej ulicy mieszka kupiec saletry, najlepszy przyjaciel tego łotra Réveillona. Ktoś drugi zawołał: na pohybel saletrzarzowi! I rzucili się patryoci na dom Bogu ducha winnego kupca: druzgocą mu sklep, pałą składy, wyrzucają meble, pościel, graty na ulicę.

Zdawało się Réveillonowi, że uszedł pogromu. Łudził się daremnie. W poniedziałek powtórzył się atak. Ale teraz ciągnęły już nie bandy, lecz tysiące, prowadzone przez owych zbójów z prowincyi, przed dom fabrykanta kolorowego papieru. W ulicach, któremi ciągnęły, pozamykano z przestachu wszystkie sklepy. Straż królewska, składająca się tylko z 30-tu żołnierzy, nie mogła się oprzeć fali ryczącej, która spadła na fabrykę z niszczącą siłą powodzi. Niczego nie oszczędziła wściekłość ludu. W ogniu, które zapalono na dziedzińcu, rzucono towary, powozy, meble, pościel, książki kasowe, nawet drób i zwierzęta domowe. W domu i w zabudowaniach fabrycznych zburzono wszystko; srebro i pieniądze rozkradziono. Pewna część „patryotów,” rzuciła się na piwnice, na wino i piła aż do utraty przytomności. Pomiedzy beczkami wina znajdowały się gąsiorzy z różnymi pokostami i farbami. I tych nie pominął „nowy suweren;“ wlewał w siebie truciznę i umierał w konwulsjach.

Lecz jeszcze rząd królewski istniał. Nadbiegło wojsko, usiłowało rozpedzić pijany motłoch, ale zbóje, kłusownicy, przemysłnicy, obyci z bronią, przywykli do oporu, stawili czoło. Zawiązała się bitwa, zagrały armaty; padło 500 wicherzycielów (200 zabitych, 300 rannych); o północy nastął spokój. Było to ostatnie zwycięstwo władzy królewskiej.

Tak wyglądał pierwszy publiczny debiut rządu w *Palais Royal*.

Debiut nie powiódł się; jeszcze była władza królewska silna, bo wojsko słuchało jego rozkazów. Więc trzeba zdemoralizować wojsko i steroryzować Zgromadzenie Narodowe.

Od pierwszego dnia posiedzeń Stanów Generalnych zapełniły się trybuny sali wysłańcami z *Palais Royal*. Obowiązkiem tych „przedstawicieli narodu“ było nadzorować mowy i postanowienia posłów, by nie takiego nie mówili, nie postanawiali, coby było przeciwne „interesom narodu.“

W każdym większym zgromadzeniu ludzkim potrzeba jakiejś władzy, któraby posiadała moc nałożenia hamulca na niesforność indywidualistyczną, niepodobna bowiem obradować bez porządku. Tą władzą jest regulamin, wykonywany przez prezesa.

Na prośbę Mirabeau'a przysłał do Wersalu sir Samuel Romilly regulamin parlamentu angielskiego, zaprowadzający ład w obradach. Ale adwokaci prowincjonalni, tak mądrzy, tak genialni, iż oni „dopiero pokażą ludzkości, jak się budują konstytu-

tucye,“ tak rozumni i postępowi, iż stworzą zgola coś nowego, nie chcieli się uczyć niczego od zacofanych cudzoziemców. Będą sobie obradowali tak, jak im się podoba, bez jakichś tam głupich regulaminów, krepujących swobodę. Żadnych ograniczeń, żadnych pęt dla wolnego człowieka.

Zdarzało się tedy, że mówiło odrazu w Wersalu, później w Paryżu, po stu, po dwustu posłów i że tylko tak potężne głosy, jak Mirabeau'a, Cazalès'a i księdza Maury'ego, były w stanie przekrzyknąć tę wrzawę. Daremnie lamentował Bailly, pierwszy prezes Zgromadzenia Narodowego, upadający ze znużenia: panowie, zabijacie mnie! Nowicyusze polityczni wrzeszczeli, bo każdy z nich miał się za najrozumniejszego. Amerykański minister Morris raportował do Waszyngtonu: „Ci ludzie nie dyskutują wcale na posiedzeniach; więcej, niż połowę czasu marnują na wykrzykniki i szczekanie. Każdy członek Zgromadzenia popisuje się swojemi elukubracyami wśród wrzawy nieopisanej, nie troszcząc się o to, co mówił poprzednik. Nikt nie odpowiada na sprawę, będącą w toku, nikt nie atakuje argumentem następującym argumentu poprzedzającego; pociski padają w próżnię.“ Bo każdy z posłów, z wyjątkiem kilkunastu zdolniejszych, przychodził na posiedzenie z mową gotową w kieszeni, którą musiał koniecznie wygłosić, bez względu na to, czy ona się wiązała ze sprawą, znajdującą się na porządku dziennym, lub też roztrząsała zupełnie coś innego.

Ci wszyscy nowicyusze, mężowie publiczni od kilku tygodni, pijani wielkim zadaniem, jakie im przypadło w udziale, a do którego nie dorosli, przesiąkli doktryną, wiszącą w powietrzu, czuli potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego, co w nich fermentowało, co ich unosiło. Więc mówili, upajając się własnymi słowami. Każdy pragnął mówić jaknajwięcej, jaknajgłośniej, zwrócić na siebie uwagę, a wszyscy, z wyjątkiem kilku, mówili źle, nieudolnie, pustymi frazesami, deklamowali, jak studenci. „Małpami z gardłami papug“ nazywał ich mistrz Mirabeau i wzruszał pogardliwie ramionami.

Ludwik XVI, który posiadał bardzo dużo zdrowego rozsądku, przeczytawszy spis nazwisk posłów, wybranych do Stanów Generalnych, pokiwał głową i rzekł: „Gdyby mnie było przyszło na myśl złożyć radę koronną z takich ludzi, bardzoby mi to naród wziął za złe.“

Wrzawę sali posiedzeń pomnożyła wrzawa trybun.

Każdy parlament pozwala publiczności przysłuchiwać się obradom z trybun, ale żaden z nich nie znosi jej uwag, śmiechów, objawów zgody lub niezadowolenia. W parlamencie angielskim opróżniono natychmiast trybuny, gdy się księżna Gordon z jakiejś uwagi któregoś z mówców rozśmiała.

Inaczej Zgromadzenie Narodowe. Ono zносиło cierpliwie nie tylko uwagi, śmiechy, oklaski, gwizdania, lecz nawet obelgi trybun. Bo publiczność w trybunach, to naród, naród zaś, wedle recepty Rousseau'a, to suweren, któremu wszystko wolno.

Któż to był ten „naród,” który hałasował na trybunach sali Zgromadzenia Narodowego? To kilkaset kokotek z *Palais Royal*, gromada przekupek i kilkuset drapichrustów najętych za pieniądze księcia Orleańskiego przez „jedynych, prawdziwych patriotów.” Kobiety prowadziła słynna awanturka Théroigne de Méricourt, mężczyźni zaś przebrani cywilnie dezertjer wojskowy, a później (w r. 1790) jakiś Saule, gruby, krótki, brudny pijaczyna, niegdyś tapicer i sprzedawca pigułek z tłuszczu wisielców, a z chwilą, kiedy *Palais Royal* i kluby zaczęły płacić za patryotyzm, pięć franków dziennie — zagorzały patryota.

Z taką to hałasą liczyło się Zgromadzenie Narodowe, zносиło spokojnie jej uwagi i obelgi. Kiedy jeden z posłów poważniejszych, Mounier, żądał aby prezes ukrócił zuchwałstwo trybun, odezwał się drugi poseł, radykalny Boucher: „Zapomina pan, że stoimy przed naszymi panami, przed naszym suwerenem, któremu przysługuje prawo kontrolowania naszych mów i czynności.”

„Suweren” zaś wykonywał w ten sposób przysługujące mu prawo kontroli, że klaskał, gwizdał, ryczał, łomotał kijami o baryerę, lżył posłów, którzy nie umieli sobie zasłużyć na jego względy, a nawet nakazywał im milczenie. „Milcz, głupi gaduło, głądziarzu, baranie! — wołano nieraz w trybunach. — Niech nam lepiej papa Mirabeau coś powie; ten umie przynajmniej pysskować.”

„Suweren” bywał czasami w dobrym humorze i wówczas dowcipkował. Zwykle jednak marszczył czoło, wymyślał, groził, niezadowolony ze swoich poddanych. Gdy się znalazł jaki odważniejszy poseł, który osmielił się bronić szlachty, duchowieństwa, króla, wówczas pienił się ze złości podług wskazówek „pa-

tryotów” z *Palais Royal*, na komendę Théroigne'y albo Saule'a i huczał, jak potwór oszalały: „na latarnię z nim, powiesić go!” Nawet parlament Hotentotów rozpedziłby takie trybuny na wszystkie wiatry, ale Zgromadzenie Narodowe nie zrobiło nic aby usunąć tę hałasę. Nietylko nie usmierzyło jej, lecz schlebowało zuchwałej bandzie, głaskało ją, większość bowiem prawodawca (owi politycy na modłę Rousseau'a) widzieli, szukali w niej swojego sprzymierzeńca w walce z *l'ancien régime*. Właśnowolnie, z zamkniętymi oczami, mniemając, że ogranicza, osłabia za pomocą ulicy, motłochu potęgę monarchii, oddawało się Zgromadzenie Narodowe samo na łaskę i niełaskę tłumu, stało się jego bezwonnym narzędziem, brnęło coraz dalej, a kiedy się opatrzyło, że odbiegło zanadto od mety, którą sobie wytknęło, było już za późno do odwrotu. Już właściwie od dnia 15 lipca 1789 r., od wzięcia Bastylii, przeszedł rząd kraju w ręce terorystów.

Panowie posłowie deklamowali, a lud działał.

Panowie posłowie rozprawiali całymi tygodniami, miesiącami o *droits de l'homme* i t. p. ładnych marzeniach, roztkliwiali się nad dobrocią, szlachetnością pierwotnego człowieka, budowali państwo z frazesów, a lud palił dalej zamki, klasztory, wycinał lasy, odmawiał płacenia podatków i zaległych długów, rozgrabiał zboże na targach miasta, niszczył wszelką cudzą własność. Zamiast ukarać wichrzycielów, Zgromadzenie Narodowe usiłowało ich przekonywać dziecinnymi manifestami: zachowujcie się spokojnie aż do ukończenia naszej roboty: uprawiajcie arystokratów w zdumienie swojemi cnotami, nie martwcie nas i dobrego króla. A lud, który już polizał cudzej własności i zasmakował w bezkarnej kradzieży, „wprawiał w zdumienie świat swojemi cnotami” — palił, rabował dalej, drwiąc sobie z moralnego obrocza panów posłów.

A król? Władza królewska?

Król powinien był już w czerwcu 1789 r. aresztować wszystkich „szczekaczów” z *Palais Royal* i zamknąć ich pod dobrym kluczem, zawiesiwszy ich pisma i pisemka — powinien był karać surowo wszelkie zbrodnie przeciw własności i życiu swoich poddanych, on, najwyższy stróż własności i bezpieczeństwa obywateli — powinien był zabronić publiczności trybunowej w sali zgromadzenia narodowego wpływania na przebieg

rozpraw, zasłaniając posłów nawet wbrew ich woli przeciw terroryzmowi motłochu; powinien był zachowaniem swoim dowieść narodowi, że pragnie sam jego szczęścia, naprawy, odnowienia, zastosowania do nowych pojęć i potrzeb przestarzałego gmachu państwa, ale zarazem, że chce i potrafi przeprowadzić koniecznie reformy bez udziału frazeologów, fantastów, polityków kawiarnianych i bez pomocy suwerenów z przedmieść paryskich i drapichrustów, złodziejów, rabusiów całej Francji.

Tak byłby był uczynił rozumny, światły król - żołnierz i nikt nie byłby się ośmielił stawić mu oporu, na jego bowiem skinienie, na rozkaz podwójnego wodza, bo urodzonego i rzeczywistego, który dzieli z nim trud i ból wojny, pójdzie żołnierz wszędzie, wykona wszystko.

Ale Ludwik XVI nie był żołnierzem.

Skromny, bojaźliwy już w latach chłopięcych, nie lubiący się nikomu narażać, ustępujący każdemu dla miłej zgody, grzeszny, uprzejmy, dobrego serca, czysty w obyczajach i wierny, pobożny katolik, pod tym względem rzadki okaz wśród szlachty XVIII wieku, posiadał wszystkie warunki na prawego człowieka, ale żadnego na monarchę w czasach burzliwych. Nie był on wcale głupi. Obdarzony zdrowym rozsądkiem i dużą pamięcią, znał doskonale geografję, historję i nauki matematyczne, oryentował się w najtrudniejszym położeniu. Dziecko swojej epoki, przerezenowany, przefilozofowany, przeświatowy jak wszyscy potomkowie starej kultury owego czasu, namyślał się, medytował (*j'examinerai* — mawiał zawsze, gdy mu coś przedstawiano), zamiast czynić, uderzyć w chwili właściwej. Namyślił się zwykle bardzo dobrze, lecz zawsze niestety, o kilka godzin, o kilka dni za późno.

Kiedy się posłowie stanu trzeciego za namową Mirabeau'a i księdza Sièyès'a zbuntowali odrazu przeciw starodawnemu, tradycją uświęconemu porządkowi, trzeba było rozwiązać Stany Generalne i rozpisać nowe wybory. Ludwik XVI obraził się słusznie, ale namyślał się za długo i ustąpił w końcu. *Tiers Etat* ośmielony słabością króla, pochwycił szybko cugle sejmu, ogłosił się Zgromadzeniem Narodowym (*L'Assemblée nationale*) i zaczął obradować, nie troszcząc się o króla, rząd, szlachtę i duchowieństwo. Był to zamach stanu. Trzeba było natychmiast rozpedzić Zgromadzenie siłą, nie zwlekając ani chwil, a Ludwik XVI znów się namyślał. Paryż przerażony ściąganiem wojska do

Wersalu, zaczął się burzyć, uzbrajać. Należało wojsko ściągnąć piorunem, spaść na Paryż, poskromić ulicę — Ludwik XVI znów medytował... Dnia 11 lipca oddalił ministra Neckera. Na to odpowiedział Paryż (właściwie politycy z *Palais Royal* pod wodzą „Kamilka“ Desmoulins'a) demonstracją uliczną. Tłumy obnosiły po mieście uwieńczone biusty Neckera i księcia Orleańskiego, wykrzykując przeciw dworowi. W cztery dni potem, 15 lipca, wziął lud Bastylię, zamordował jej komendanta, margrabiego de Launay, Foulona, Berthiera, pana de Flesselles. Połała się pierwsza krew; rewolucya zaczęła się na dobre. Teraz powinien był Ludwik ruszyć z całą siłą zbrojną, jaką miał pod ręką i zrobić w stolicy porządek.

Nie był żołnierzem... nie ruszył... namyślał się znów.

Paryż obawiając się ręki karzącej króla, sformował na gwałt gwardyę narodową, na której czele postawił margrabiego de la Fayette, generała wojsk amerykańskich, znanego entuzjastę wolności, nowych idei apostoła.

Lękał się niepotrzebnie, bo król życzliwy reformom, namyślniejszy się, nie miał wcale zamiaru karać Paryża. Neckera przywołał z powrotem, a sam przybył do stolicy pokłonić się w ratuszu narodowi. Ktoś podał mu trójkolorową kokardę, symbol rewolucyi; Ludwik przypiął ją do kapelusza.

Z tą chwilą skończyły się jego rządy.

Był w otoczeniu najbliższem króla ktoś, co wiedział doskonale, jak trzeba postępować w chwilach groźnych, któremu nie zbywało na stanowczości i odwadze. To królowa Maryja Antonina, córka słynnej Maryi Teresy, energiczna, dumna, umiejąca rozkazywać, prawdziwa lwica z rasy władców. Ona podbudzała króla do oporu, do obrony, o czem wiedział lud i za co Austriaczki śmiertelnie nienawidził, obsypując ją paszkwilami, oszczerstwami, groźbami — ona, poparta przez Polignac'ów, stworzyła stronnictwo reakcyjne, dobry jednak król, który nie chciał aby się dla niego przelała „choćby jedna kropla krwi francuskiej“, wahał się wprawdzie, czuł, że powinien stanąć sztorcem, w końcu jednak ustępował zawsze.

Stan trzeci tryumfował, upajał się łatwym zwycięstwem. Właściwie nie on zwyciężył, bo prowadzili go: Mirabeau, Lafayette, Lamethowie, książę Orleański i ksiądz Sièyès, stara szlachta i duchowny. Bez geniuszu Mirabeau'a, bez sławy, po-

pularności Laffayette'a, bez zręczności Lamethów, pieniędzy księcia Orleańskiego i zaciętości księdza Siyès'a nie byłby niczego dokonał. Nie on zwyciężył króla i dwór, lecz duch czasu, konieczność historyczna, nemezys dziejowa. Tak być miało. On był tylko narzędziem w rękę karzącej Opatrzności.

Tryumfował stan trzeci, tryumfowali przede wszystkim politycy z *Palais Royal*, prawdziwi władcy Paryża po 15 lipca. Nie ufali jednak królowi dopóty, dopóki wojsko przy nim stało. Trzeba wojsko koniecznie zdemoralizować.

Jest na to sposób bardzo prosty: kobiety, wino i pieniądze. Francuz zmysłowy, kochliwy, zrobi dla kobiety każde głupstwo, zrujnuje się, zhańbi, zabije. Wszakżeż nawet posłowie oddawali swoje mowy sądowi kobiet. Przed każdą bitwą parlamentarną brzęczały salony paryskie, jako ule na wiosnę. Posłowie odczytywali swoje elaboraty, zanim je wygłosili w sejmie, przed areopagiem strojnych, eleganckich dam, cheiwi ich uznania, ich oklasków, co ogromnie bawiło cudzoziemców. Amerykanin Borys podrwiwał sobie ciągle z bawidamstwa Francuzów.

Na kobietach nie zbywało cnotliwym Rzymianom z *Palais Royal*. Smiało się ich, chichotało, bawiło, upijało w kawiarniach przeszło 2,000. W razie potrzeby znajdzie się ich więcej. To dobre patryotki, zagorzałe zwolenniczki nowej ewangelii politycznej, czego dają dowody w trybunach Zgromadzenia Narodowego. Ładne, wesołe, przystępne, wcale nie wybredne w wyborze kochanków, dadzą sobie radę z żołnierzami.

Grupami, po sto, po dwieście wysyłał *Palais Royal* swoje emisjaryuszki, miłe kokotki do Wersalu i do obozu. Zawiały one tam stosunki miłosne z żołnierzami francuskimi, których zapraszały do Paryża, do *Palais Royal*. Żołnierzowi biedakowi, który cierpiał głód w koszarach i musiał znać mores przed oficerem arystokratą, podobało się ogromnie w gościnie u „patryotów“, gdzie go całowały ładne dziewczęta, fetowali adwokaci i różni inni panowie, gdzie mu w końcu na pożegnanie sypano do kieszeni nowiuteńkie talary i zapraszano serdecznie, by rządził pamiętać o swoich przyjaciółkach. Więc wracał, naturalnie, przyprowadzając ze sobą znajomych. Psie życie w tych koszarach: głód, subordynacja, a gdy się coś przeskrobie—areszt i bizuny. Gdyby to jeszcze król był żołnierzem i wodzem? Ale cóż to za

król! Cały dzień ubiera się i przebiera, prezyduje na bankietach, przyjmuje gości, poluje, a w chwilach wolnych od tych wszystkich próżniaczych zajęć, zabawia się słusarką. Lepiej trzymać z narodem. Można się zabawić i coś zarobić.

W ten sposób przeciągali cnotliwi Rzymianie żołnierzy francuskich na swoją stronę.

Przy królu zostały tylko pułki cudzoziemskie.

IV.

J a k o b i n i .

Król przybył z Wersalu do Paryża.
Poszło po niego śmieszne wojsko.

Dnia 5 października 1789 r. opróżniły się kawiarnie *Palais Royal* ze wszystkich wesołych panienek, a hale ze wszystkich przekupek. Kilka tysięcy „patryotek“ wyroiło się na ulice i ruszyło drogą ku Wersalowi. Była pomiędzy nimi, oczywiście „wielka Théroigne“ w czerwonej amazonce, z naga szpada w prawicy.

— Do Wersalu! Niech nam piekarz, piekarczowa i piekarczyk (król, królowa i delfin) dadzą chleba, albo przyprowadzimy ich do Paryża!

Ubodzy w stolicy cierpieli rzeczywiście głód. Skąd jednak weźmie król chleba, kiedy go niema we Francji? Co mógł zrobić, zrobić. Czterdzieści milionów franków kazał wypłacić z kasy państwa na chleb dla ubogich; wszystkie swoje lasy dokoła Paryża i Wersalu kazał wyciąć na opał dla marznących, srebra swoje i królowej posłał bo mennicy, by je przetopiono na zapomogi dla nędzarów. On już nic nie może, zwłaszcza od chwili, kiedy rewolucya odjęła moc jego rozkazom. Transporty zboża idące do Paryża, żyto, jęczmień, dowożone na targi miast, napadają chłopi i rabusie i rozgrabiają. Skąd król weźmie chleba?

Wiedzą o tem panowie politycy z *Palais Royal* i z klubów, ale nie o to im chodzi. Im idzie przede wszystkim o to, aby

mącić ciągle wodę, wywoływać rozruchy uliczne, podburzać lud, podniecać jego namiętności, albowiem anarchia wzmacnia ich siłę, a osłabia władzę rządu.

Tym razem idzie im także o ich własną skórę, bo krążą wiadomości, że król knuje zamach na patryotów. Przeto ubiegą go, jak zwykle, sprowadzą do Paryża, by go mieć ciągle na oczach.

I w tej nowej awanturze, jedynej w swoim rodzaju, pracują emisaryusze z *Palais Royal*. Mężczyźni przebrani za kobiety pełnią służbę oficerów i widać w tłumie krzątających się Saint-Huruge'a i Laclos'a, sekretarza, totumfackiego księcia Orleańskiego, który potrześa kiesę, zagrzewając leniwych do marszu.

Tego szubrawca (Laclos'a), rozpustnika, intryganta, łotra bez czci i wiary widać wszędzie. Był on przy napadzie na fabrykę Réveillona, przy paleniu rogatek paryskich, przy ataku na Bastylię. Jest i dziś. Burzenie — to jego rozkosz najwyższa. Wiernie służył swojemu panu. Pod jego wodzą ciągnie z babskiem wojskiem do Wersalu tłum drapichrustów — gwardya „cnotliwych Rzymian“ z *Palais Royal*, prowadzona przez znanego zbója, rzeźnika Jourdana.

Padł strach na dwór wersalski.

Jakże tu strzelać do głodnych kobiet?

Ale oprócz głodnych kobiet zaglądną przez sztachety okropne twarze zbrojów, gotowych na wszystko. „Gwardya“ anarchistów czeka tylko na sposobność, by się rzucić na wspaniały zamek królewski.

A Ludwik XVI?

Ostatni nędzarz, gdy ktoś nieproszony nachodzi jego norę z pałą w garści, chwytą, co ma pod ręką kij, drąg, siekiere i broni się w swoim własnym domu. Ma do tego prawo, wolno mu.

A Ludwik XVI, potomek Henryka IV, potem szeregu wielkich bojowników, nie wie jak się zachować. Krzyknąć na straż szlachecką, która się da za niego porąbać, na pułki szwajcarskie, które uczynią wszystko, co każe: rozpędzić mi tę kałastre! Wziąć samemu szpadę w garść i bronić siebie, rodziny, powagi korony, zginać raczej z honorem, aniżeli się poddać z hańbą. Oto, co powinien był zrobić! W rewolucjach nie wolno medytować. Siłę brutalną odpiera tylko siła brutalna.

Jeszcze czas... Jeszcze król może śmiałym czynem pochwyci-

cię rozjuszonego byka anarchii za rogi, wprzódz go w jarzmo i zmusić do powolności, aby nie psuł szaleństwem swoim spokojnej i porządnej roboty reformatorskiej. Milcz krwawy warhole i czekaj cierpliwie, co uradzą i postanowią mądrzejsi od ciebie. Jest od tego Zgromadzenie Narodowe, które sam wybrałeś, aby za ciebie myślało.

Duch jednak dawnych Bourbonów nie mieszkał już w ocieżałem ciebie Ludwika XVI. Zamiast się bronić po mężku, kokietował ten nieszczęśliwy król osobiście wojsko, które byłoby go niewątpliwie poszarpało na strzępy, gdyby go Laffayette, naddziagnawszy ze swoją gwardyą w samą porę, nie był ocalił.

Nazajutrz jechał król do Paryża z rodziną, eskortowany przez kokoty, przekupki i różnych oberwańców, którzy niesli przed nim na pikach ucięte głowy jego zamordowanych gwardzistów.

Straszliwy pochód! *Sunt lacrimae rerum...*

Po 15 lipca, po wzięciu Bastylji, stracił król władzę, po 6 października — wolność osobistą. Zamknięty w Tuileryach, pod strażą gwardji narodowej Laffayett'a, był odtąd więźniem.

Teraz rządzi we Francji Zgromadzenie Narodowe.

Nie, nie ono...

Co to są za jedni ci osławieni Jakobini, o których się tyle mówi?

Rządzą politycy z *Palais Royal* i klub Jakobinów.

Są to wszyscy fanatycy teoretycznego postępu, nie liczącego się z rzeczywistością, doktrynerzy bez znajomości życia i ludzi, są to wszyscy ambitni, żądni władzy i środków do używania, zapoznani i wykołejeni.

Posiada ich każdy naród, każda epoka, każde pokolenie.

Będą na tym świecie zawsze posiadający i ubodzy, syci i głodni, rządzący i rządzeni, a nie wszyscy mają chęć i cierpliwość do znoszenia niedostatku i cudzej woli. I będą zawsze starzy i młodzi, młodym zaś zdaje się po wszystkie czasy, że przewyższają starych rozumem, że im tylko przysługuje prawo naprawienia starego pudła „padołu płaczu“, bo oni tylko sięgają, gdzie rozum nie sięga.

Oto młodzieuchny student. Niema on jeszcze wyobrażenia o życiu rzeczywistym, o psychologii człowieka, bo w szkole tej wiedzy nie nabywa, a on żyje zakrótko, by go jej doświadczenie nauczyło. Czuje tylko, że na tej ziemi nie dzieje się wszystko tak, jak się dzieć powinno, że mocny uciska, wyzyskuje słabego, przebiegły nadużywa zaufania uczciwego, samolubny drwi

z dobrego. Zjawia się jakiś utopista, który buduje jakąś teorię, co ma dać ludzkości szczęście. Wrażliwy, gorący, bezkrytyczny chłopczyzna czepia się tej teorii, rzucającej mirażu raj na gruzy przeszłości (zawsze naturalnie na gruzy), wierzy w nią z całą uczciwą, naiwną i płomienną zapalczewością lat młodych.

To pierwszy, najszlachetniejszy materyał na Jakobina. Jesteśmy w młodości wszyscy mniej lub więcej rewolucjonistami, radykałami.

Albo młody inżynier, lekarz, adwokat.

Chodzi lat dwadzieścia do szkoły, pracował w pocie czoła, w ciągłej trwodze o dobry stopień, o promocję, harował, jak wół na zagonie o głodzie i chłodzie. Ubodzy rodzice wydobywali z pod duszy ostatni grosz, padali na twarz ze znużenia, by wyposażyć dziecko na życie w środki lepszego, wygodniejszego bytu, pomagali mu możni dobrodzieje (stypendya, bursy, zapomogi), on sam latał swoją biedę jak mógł lekcjami. Wyzwolo go nareszcie, dano mu patent. Teraz chyba skończy się ta upokarzająca, demoralizująca nędza. Nie, nie skończyła się ohydna walka o byt, o chleb powszedni, męczy go ona, nuży teraz jeszcze więcej, bo odczuwa ją dotkliwiej z chwilą, kiedy posiadał świadomość swojej niemocy wobec potęgi i tyranii kapitału.

To drugi materyał na Jakobina.

Mierny, bez talentu literat, rzeźbiarz, malarz, aktor szarpie się na podwójnym łańcuchu biedy i zawiedzionych nadziei. Kiedy brał do ręki pióro, dłuto, pędzel, kiedy debiutował na scenie — zdawało mu się, wierzył, że zadziwi świat swoim geniuszem i będzie zbierał całemi furami wieńce i złoto. A sława i złoto omijają go, nie idą ku niemu. Więc gorycz zniechęcenia, niepowodzenia zatruwa jego wiarę w siebie, żal do ludzi, którzy go nie chcą uznać i ozłocić, zmienia się w nienawiść do istniejącego porządku. Trzeba zburzyć, zniszczyć ten porządek istniejący, albowiem niema w nim miejsca dla niego, dla zapoznanego, dla wykołejonego.

To trzeci materyał na Jakobina.

Nauczyciel wiejski, kancelista, kupeczyk, golibroda, lokaj, rzemieślnik przeczytał jakąś książkę filozoficzną, socjologiczną, której nie rozumiał, słyszał na wiecu politycznym jakąś mowę, w której treść nie wniknął. Z książki, z mowy pochwyił kilka jaskrawych frazesów, wpadających łatwo w mózg, w ucho i ukuł sobie z nich wyznanie wiary, ogromnie dumny, że wie teraz, jak

się robi politykę, jak się buduje konstytucję i rządzi narodem. W szynku, w kawiarni, na ulicy popisuje się swoją mądrością — wyrasta na męża stanu.

To czwarty, najpodlejszy, najliczniejszy materiał na Jakobina, czyli wywrotowce.

Jakobini nazywają się rozmiacie: rewolucjonistami, demagogami, socyalistami, anarchistami, pesymistami, dekadentami i t. d., co zależy od danej chwili i rekrutują się ze wszystkich stanów bez względu na pochodzenie. W epokach normalnych przygniecieni potęgą silnego rządu, zachowują się spokojnie, bo nie mogą inaczej, gdy jednak wichura społeczna starga, porwie wiązania władzy, wówczas wyłazą ze wszystkich kątów na światło dzienne i starają się zdobyć dla siebie miejsce, które się im, według ich mniemania należy.

W gromadzie Jakobinów francuskich z czasów wielkiej rewolucji spotyka się wszystkie stany: szlachtę (książę orleański, hr. Barras, Châteauneuf-Randon, margrabia d'Antonelle, margrabia de Condorcet, Saint-Just, marg. de Saint-Huruge); wyższe duchowieństwo (ks. Gobel, biskup sufragan dyecezyi Bâle), niższe duchowieństwo i mnichów (Fouché, Chabot, Grégoire, Lebon, Chasles, Lakanal), wysokich urzędników (Hérault de Séchelles, adwokat generalny parlamentu paryskiego; prezydent Le Peletier de Saint-Fargeau), wysokich wojskowych (Karol de Hesse, marszałek polny, pochodzący z krwi królewskiej), lekarzów małomiasteczkowych (Bô, Levasseur, Baudot), profesorów, nauczycieli (Louchet, Rome, Bourdon, Buchot), trzeciorzędnych literatów (Barère, Louvet, Garat, Manuel, Ronsin), dziennikarzy (Desmoulins, Fréron, Marat, Brissot), komedyantów (Collot d'Herbois), artystów (Sergent), studentów (Saint Just, Monet de Strasburg, Rousselin, Julien de la Drôme), drobnych urzędników (Hébert, Henriot), kupczyków (Vincent, Chaumette), rzeźników (Legendre), urzędników poczty (Drouet), stolarzów (Duplay), kokoty i przekupki (Théroigne, Róża Lacombe), waga-bundów i morderców (Jourdain z Awinionu, Fournier, zwany Amerykaninem) a wreszcie cały legion adwokatów.

Stany jednak wyższe dostarczyły Jakobinom tylko nielicznej garstki wykojęzonych lub zawiedzionych w swoich ambicyjach w rodzaju księcia Orleańskiego. Właściwych Jakobinów-fanatyków-doktrynerów, tych, którzy prowadzą ruch anarchistyczny, trzeba szukać na dole, tam, gdzie się kończy lud, a zaczy-

na burżuazya wśród ludzi, którzy przestali być ludem, a jeszcze nie są dostatniem mieszczaństwem — w świeżym proletaryacie inteligentnym, w pierwszym pokoleniu oświeconem. Warstwa ta posiada już naukę, wiedzę, znajomość życia w dobrobycie, świadomość swego upośledzenia, a nie należy jeszcze, z powodu braku wychowania domowego i stosunków rodzinnych, do t. zw. sfer lepszych. Niezadowolona z sytuacji towarzyskiej i społecznej, jaką zajmuje, z sytuacji przejściowej, rozgoryczona ubóstwem, zazdroszcząca warstwom wyższym wszystkiego: nazwiska, majątku, urzędów, jest ona naturalnem ogniskiem rewolucyi, fermentem, w który nowe doktryny wpadają materiałem wybuchowym. Do tej kategorii należeli: pani Roland, Danton, Desmoulins, Brissot, Marat, Pétion, wszyscy słowem, którzy odegrali w rewolucyi francuskiej rolę naczelną. Oni jedni, fanatycy doktryny zasługują na uwagę psychologa, reszta bowiem to zwykła hałastra pospolitych wojowników o byt, pnących się na plecach rewolucyi do pełnej miski.

Wszyscy ci fanatycy wnieśli do rewolucyi francuskiej absolutną wiarę w doktrynę Rousseau'a, wiarę we wszechwładztwo ludu, wszyscy byli z urodzenia demagogami, chociaż nie zdawali sobie odrazu sprawy z mety, do której zmierzali, chwając się między monarchią konstytucyjną a rzecząpospolitą. Wszyscy wierzyli szczerze w prawdę, w nieomylność swojej doktryny i mieli się za reformatorów, powołanych nietylko przez Francję, ale także przez całą ludzkość. „Jeżeli przegramy, mówił Roland, jeden z najuczciwszych Jakobinów, wolność świata przepadnie na zawsze, wszystkie nadzieje filozofów zginą; najsroższa niewola zapanuje na ziemi.“

Nietylko wierzyli w nieomylność swojej doktryny, lecz także w swoje posłannictwo, bo mieli się za wyjątkowo cnotliwych i inteligentnych. Wyraz „cnota“ nie schodzi z ich ust. Pani Roland, doskonały typ Jakobinki, chwali się z naiwną szczerością kobiety: „Jestem piękna, mam serce, zmysły, oddycham miłością, odczuwam ją, a mimo to zostałam cnotliwą; moja inteligencja jest nadzwyczajna, moja odwaga niezwykła; jestem filozofem, politykiem, pisarzem, godną najwyższego szczęścia. Nie widzę na tym świecie innej roli, któraby odpowiadała moim zdolnościom i cnotom, oprócz roli Opatrzności.“ Trudno mieć o sobie lepsze wyobrażenie. Jakiś obskurny poseł jakobiński, Rouyer,

pisze do Ludwika XVI: „Porównałem, zgłębiłem, przewidziałem, obmyśliłem wszystko. Do wykonania moich szlachetnych zamiarów potrzeba mi tylko sił, jakie prawo w ręce pańskie złożyło. Znam niebezpieczeństwo i drwię sobie z niego, bo słabość oblicza, namyśla się, geniusz zaś niszczy, burzy.“ Kabotyn teatralny, Collot d'Herbois, wygwizdany na scenie, ma się „za ambasadora ludzkości, któremu królowie zazdroszcza.“

Fanatycy Jakobini byli tak przekonani o swoim posłannictwie, iż uważali się nawet za silniejszych od kul. Châlier wołał na jakimś zebraniu w Lyonie: „Skarżą się na nas, że mordujemy za wiele ludzi na wojnie. Tak skarżyć mogą się tylko arystokraci, bo tylko dla nich są kule śmiertelne. Cnotliwych sans-culottes'ów nie czepiają się kule.“

Tak samo wierzył Saint-Just.

Jakobini-fanatycy byli w swoim mniemaniu pod każdym względem doskonali: najzdolniejsi, najodważniejsi, najcnotliwsi. Nawet ich wdziękom fizycznym musi każdy uledeć. Adwokat Pétion, taki uczony, iż nie znał nawet ortografii francuskiej, człowiek przystojny, ale wcale nie wychowany, wysłany z Barnave'm przez Zgromadzenie Narodowe po uciekającego króla, aresztowanego w Varennes, zachowujący się w powozie królewskim, jak cham, jak parobek, przechwalał się po powrocie, że „królowa Elżbieta rozmówiała się w nim w drodze do tego stopnia, iż byłaby się niewątpliwie rzuciła sama w jego objęcia, gdyby jej świadkowie nie przeszkadzali.“ A królowa Elżbieta była tylko uprzejma, jak całe „towarzystwo“ owego czasu.

Oprócz niezachwianej wiary fanatyków w doktrynę „Umowy Społecznej“, braku wyrobienia politycznego, znajomości ludzi i śmiesznej arogancji parweniuszów, która przerodziła się w końcu w chorobliwą megalomanię, wnieśli Jakobini francuscy do rewolucyi siłę świeżej rasy, nie zużytej jeszcze dłuższą kulturą i drapieżną bezwzględność proletaryatu, wyciągającego chciwe ręce do pełnej miski i do władzy. Kamil Desmoulins, którego Lamartine nazywa *enfant cruel de la Révolution*, odziera z nieopatrznością gadatliwość dziecką swoich towarzyszy z purpury posłanników, kiedy przyznaje się w swoich listach: „Do moich zasad przyłącza się radość postawienia się na przynależnym mi miejscu, pokazania mojej siły tym, którzy mnie lekceważyli, zepchnięcia do mojego poziomu wszystkich, których los postawił nademnie. Moją dewizą jest: nie ma wyższych! — Za-

zdrość proletaryusza, nienawidzącego wszelkiej wyższości, wszelkiego powodzenia, jakiegokolwiek ono było, nie może przemawiać wyraźniej. Bardzo to przyjemnie załatwiać swoje osobiste interesy, ambicje i próżnoki pod pozorem zbawienia ludzkości.

Te znamienne rysy Jakobina-doktrynera (fantazja, nieznamomość istotnych potrzeb narodu, arogancja, megalomania i bezwzględność), stanowiły jego siłę w walce z ówczesnymi „dobrze wychowanymi“ Francyi, którzy, jako dobrze wychowani, grzeczni, uprzejmi, precywilizowani i prze-filozofowani nie umieli stawiać czoła gwałtownemu atakowi gromady fanatyków, nie mających nic do stracenia, a wszystko do wygrania.

Była to jednak siła tylko niszcząca, bo ślepa, nie kierowana rozumem, zwłaszcza, gdy jej wykonawcami stał się motłoch Zrazu burzliwa, niespokojna, domagająca się z całym narodem koniecznych reform, stawała się coraz gwałtowniejszą, dzikszą w miarę rosnącego powodzenia, aż rozwinęła się w końcu we furję, kąpiącą się we krwi.

Nie mogło się stać inaczej. Ponieważ wszyscy ludzie, oprócz Jakobinów (ich rezonowanie), są łotrami, szubrawcami, przywłaszczycielami, złodziejami, zbrodniarzami; ponieważ oni tylko jedni, jako jedynie cnotliwi, zdolni, szlachetni, mają prawo rządzić narodem, przeto trzeba usunąć wszystkich opornych.

W ten sposób wytworzyła się doktryna zabójstwa politycznego, a w dalszym ciągu mordującego despotyzmu, czyli terroryzmu. Komediant Collot d'Herbois mówił: Jakobini posiadają wszystkie cnoty: współczucie, ludzkość, wspaniałomyślność — ale tylko względem swoich, względem braci, arystokraci zaś nie będą nigdy ich braćmi. Carrier groził: „Jeżeli się Francya nie pozwoli przekształcić według naszych pojęć o szczęściu narodu, zmienimy ją w cementarz.“ Jakobin, margrabia d'Antonelle, żądał „wyrznięcia trzeciej części Francuzów, aby się reszta mogła swobodniej poruszać, czyli żyć dostatnio, wygodnie.“ Jeanbon-Saint-André posunął się jeszcze dalej: „Jeżeli nie wytniemy połowy, nie będziemy mieli spokoju.“ Za mało to Gouffroy'emu, posłowi z Calais: Chce-li Francya być szczęśliwą, to powinno mieszkać w jej granicach nie więcej nad pięć milionów obywateli (piąta część ówczesnej ludności).

Kiedy się jakiś „arystokrata“ oburzał na takie teorie, drwili sobie Jakobini z niego. Leclerc odpowiedział: „Nazywacie

nas brygantami? Zapominacie, że posiadamy doskonały środek na wszystkich oszczerców: zabijamy ich.“

Do takich krwawych absurdów dochodzi rewolucya polityczna, gdy ją prowadzą fanatycy i niepowołani doktrynerzy.

Patrzac dziś zdaleka na lata 1792, 1793 i 1794, zdawałoby się, że cała Francya była zjakobinizowana. Tymczasem miała się rzecz wręcz przeciwnie. Jakobini stanowili w narodzie francuskim zaledwie dwudziestą część. W Paryżu było ich niewiele więcej nad 5,000. Tak samo na prowincyi. Ale w rewolucyach nie ilość zwycięża, jeno rzutkość, odwaga, drapieżność i bezwzględność. Kto umie, chce zabijać, przed tym drżą wszyscy. Większość Francuzów była przeciwną teroryzmowi, nie umiała się jednak bronić, więc uległa. Zawiniła przedewszystkiem szlachta swoją biernością i dlatego ucierpiała najwięcej. Taine dziwi się słusznie, iż żadnemu szlachcicowi aresztowanemu podczas teroryzmu, nie przyszło na myśl roztrzaskać czerepu aresztującego zbira, że pozwalali się wszyscy brać na powróż, jak barany. Mieli przecież broń i znali się na sztuce szermierskiej lepiej od sansculotte'ów.

Że Jakobini nie tykali odważnych, bojąc się ich, dowodem jakiś szlachcic z Marsylii. Kiedy trybunał rewolucyjny wyciągnął po niego krwawą łapę, oświadczył: „Spróbuje mnie wziąć! Każdy, kto się do mnie zbliży na pięć kroków, dostanie kulą w łeb.“ Uzbrowiwszy się w dwa pistolety, szpadę i karabin, chodził najspokojniej po ulicach i nikt nie śmiał ująć tego zucha.

Większość szła luzem, jak stado owiec bez psa i pastorza, Jakobini zaś byli doskonale zorganizowani.

Nie oni to sprawili, nie było bowiem między nimi talentów organizatorskich, ani w ogóle zdolności niepospolitych, chociaż mieli się wszyscy za geniuszów. Jedyne Danton przerósł szary tłum pretensjonalnych miernot, legion gadających adwokatów i rezonujących polityków kawiarnianych o całą głowę, ale nie jako twórca, lecz tylko jako odważny, ruchliwy agitator rewolucyjny. Gdy trzeba było podniecić tłum do rozruchów, okazywał się nadzwyczaj zdolnym i czynnym. Piorunował na mównicy klubu, biegał po przedmieściach, brał sam udział w demonstracyach ulicznych, podzegał do mordów, prowadził zamachy stanu. Zburzywszy jednak władzę królewską, nie umiał utrwalić nowego rządu.

Twórcami organizacji Jakobinów byli Duport, radca par-

lamentu, jeden z pierwszych uczciwych fanatyków rewolucyi i hrabiowie Lamethowie, wytworni dworacy, obsypani przez króla zaszczytami i pensjami, ludzie bardzo ambitni, których trawiła żądza odegrania roli pierwszorzędnej. Laury Mirabeau'a ploszyły sen z ich powiek.

Towarzystwem przyjaciół konstytucyi (*Amis de la Constitution*) nazywał się pierwotnie późniejszy klub Jakobinów. Założyli go posłowie bretońscy jeszcze przed otwarciem Stanów Generalnych (w kwietniu 1789 r.) w celu wzajemnego porozumiewania się w sprawach politycznych. W pierwszych miesiącach, aż do sprowadzenia króla z Wersalu do Paryża (6 października 1789 r.), dopuszczano do niego tylko posłów i wybitnych literatów i artystów, jak: Condorceta, Laharpe'a, M. I. Chéniera, Chamforta, Dawida, Talmę. Właściwi Jakobini wtargnęli do niego, rekrutując się przeważnie z polityków z *Palais Royal*, dopiero po 6-tym października, po pierwszym udanym zamachu demagogów, kiedy się klub przeniósł z Wersalu do Paryża, gdzie się umieszczył w byłym klasztorze Dominikanów św. Jakóba (stąd nazwa „Jakobinów“).

Tu zaczęli Duport i Lamethowie swoją „politykę jaskiniową“, jak robotę ich Siéyés nazywał. Duport obmyślił plan, Lamethowie wykonywali jego pomysły.

Pomysły Duporta były bardzo zręczne, budowały bowiem zwartą, silną organizację, rodzaj kontr-rządu. Na posiedzeniach klubu rozbiegano wszystkie sprawy, które obchodziły w danej chwili naród i które miały być rozstrzygane w Zgromadzeniu Narodowym. Oprócz tego stworzył klub własną policję i własne wojsko, werbując pieniędzmi księcia Orleańskiego robotników przedmieść, których płacił hojnie za współudział we wszystkich demonstracyach. Każdy, kto wychodził na ulicę i przyprowadził ze sobą dziesięciu demonstrantów z dobrymi płucami i tęgimi kijami, pobierał 12 franków dziennie.

Duport to wynalazł t. zw. *Comité des recherches*, czyli instytucję szpiegów i donosicieli, którzy odegrali później w czasach teroryzmu, tak straszną rolę.

Nie długo jednak cieszył się powodzeniem swojego dzieła. Kiedy Jakobini weszli wielką gromadą do klubu i zaczęli posługiwac się po swojemu stworzoną przez niego organizacją, przeraził się sam skutkami swojej „polityki jaskiniowej“. Wystąpił z klubu z Lamethami, ze wszystkimi posłami i notablami.

W klasztorze św. Jakóba zostało tylko siedmiu posłów z Robespierre'em i Pétionem na czele, przy których stanęła zwarta armia czystych Jakobinów. Oprzędli oni całą Francję filiami głównego, paryskiego klubu.

Teraz działają oni, bo oni jedni posiadają doskonałą organizację, energię i wiedzę, czego chcą — władzy.

A działają odrazu terrorystycznie.

Noc 4 sierpnia dokonała przewrotu, jakiego Francja potrzebowała w r. 1789. Po dobrowolnem zrzeczeniu się przez szlachtę i duchowieństwo przywilejów feodalnych (poddania chłopów, sądownictwa patrymonialnego, prawa polowania na obcych gruntach, przywilejów podatkowych) a przez miasta przymusu cechowego i po ograniczeniu władzy królewskiej, przestał istnieć *ancien régime*, przeciw któremu rewolucja była skierowana. Należało teraz ująć konstytucję w ramy paragrafów, urządzić według niej kraj i czekać spokojnie na jej skutki.

Tej reformy było jednak za mało doktrynerom Zgromadzenia Narodowego. Parli oni dalej, usiłując wcielić „Umowę społeczną“ Rousseau'a, samowładztwo ludu.

Utworzyły się teraz stronnictwa, których dotąd nie było, wszyscy bowiem posłowie zgadzali się na reformę zasadniczą. Zgromadzenie rozpadło się na trzy wielkie odłamy, na zachowawców konstytucyjnych (prawica), którzy chcieli konstytucyi na wzór angielskiej, na demokratów konstytucyjnych, żądających wszechwładztwa ludu z dopuszczeniem udziału korony w prawodawstwie (centrum) i na demokratów, odmawiających koronie wszelkiego wpływu na prawodawstwo (lewica). Oprócz tego znalazła się jeszcze gromadka radykałów, zajmująca najwyższe miejsca po lewej stronie prezesa, t. zw. Góra, *La Montagne* (stąd ich nazwa *Montagnards*, Górale). Było ich zrazu tak niewielu (dwudziestu kilku), iż nikt się z nimi nie liczył. Na pierwsze stronnictwo, które prowadzili ksiądz Maury, Cazalès, Mounier, Lally-Tolendal i Clermont-Tonnerre, złożyła się: szlachta, wyższe duchowieństwo, urzędnicy; drugie, którego mówcą był Mirabeau, żołnierzem Laffayette, doradcą — ksiądz Siéyès, składało się przeważnie z mieszczaństwa i niższego duchowieństwa; trzeciemu, bardzo nielicznemu, przewodzili Lamethowie i Barnave.

Po zburzeniu dawnego porządku przyszło na stół mnóstwo spraw (prawo sankcyi i veta królewskiego, dwie izby, konfiska-

ta dóbr duchownych, sprzedaż dóbr narodowych, zniesienie szlachectwa, herbów, tytułów, orderów, nazwisk historycznych, zmuszenie księży do przysięgi świeckiej i t. d.), które się nie wszystkim podobały. Wszczęły się spory stronnice...

Tu zaczynają Jakobini działać.

Wyznawcy i głosiciele powszechnej wolności i równości, enotliwi Rzymianie, najszlachetniejsi, najczystszy zachowują się jak kacyki puszczy afrykańskich. Symbolem ich wolności: — pałka, pika, strzelba; środkiem do wcielenia owej wolności i równości: gwałt i zabójstwo.

Posłom nie wolno tak postanawiać, jak im przekonanie lub sumienie nakazują. Ich rzeczą słuchać suwerena — naród, *recte* przedstawiciela tego suwerena, Jakobina. Na opornych jest sposób. Wylewa się na nich z trybun sali cały kubel obelg, gróźb, co damy z kawiarni *Palais Royal* i przekupki z hal, wymustrowane przez patriotów, doskonale potrafią, a jeżeli to nie pomaga, napada się ich na ulicy, w domu, bije się ich, kaleczy, a gdy i ta metoda objawiania woli ludu nie skutkuje, pisze się do filii jakobińskiej w miejscowości, którą odważny poseł reprezentuje: spalcie temu zdrajcy zamek, plebanię, zniszczcie jego dobytek, zarznijcie mu żonę, dzieci! co filia skwapliwie wykonywa.

Przed salą obrad koczowało zawsze kilkuset obdartuśków, najętych, zapłaconych przez Jakobinów. Obowiązkiem tej bandy „uczyć moresu“ posłów z prawicy i umiarkowańszych z centrum. „Na latarnię wszystkich, którzy się opierają żądaniom Jakobinów!“ Dupont de Nemours, hr. Stanisław de Clermont-Tonnerre, kawaler de Cazalès, ksiądz Maury, Malouet, Mounier, wicehrabia de Mirabeau (brat trybuna) nie byli ani chwili pewni życia. Żaden z nich nie udawał się na posiedzenie sejmu bez broni. Posłom umiarkowanym nie wolno się było nigdzie zebrać w celu porozumienia się, Jakobini bowiem wpadali do ich mieszkań i rozpędzali siłą obradujących.

Hr. de Clermont-Tonnere i Malouet najęli salę, w której mieli się zbierać „przyjaciele króla, pokoju, religii, konstytucyi, obrońcy życia i własności obywateli“. Natychmiast zjawilo się u właściciela domu kilku Jakobinów i oświadczyli: „patrioci“ zburzą dom, jeżeli nie wymówisz lokalu „podłym arystokratom“. Przerażony właściciel wymówił „natychmiast“.

„Przyjaciele konstytucyi“ najęli drugą salę, w której roz-

poczęli za pozwoleniem władzy posiedzenia. Cztery tysiące strasznych postaci, których nikt nie znał, których nikt nie widział nigdy w tej dzielnicy miasta, otoczyło dom, wdarło się do sali, biło posłów pałkami, wlokło ich za włosy po ziemi, kilkunastu z nich raniło ciężko.

To samo działo się na prowincyi. Wszędzie, gdzie się gromadziły żywioły umiarkowane, rozpędzali je siłą „przedstawiciele wolności i równości“.

Nietylko posłowie, ale także pisarze zachowawczy byli ciągle narażani na gwałty Jakobinów. Ich dziennikarze (Desmou-lins, Fréron, Marat, Loustolat, Brissot) podburzali ludność takie-mi warcholskimi artykułami i proklamacyami, iż każdy rząd, nawet najwolniejszy, byłby im odjął prawo głosów.

Szwajcar Mallet du Pan, urodzony i wychowany w kraju wolnym, znakomity publicysta, ośmielił się poddać krytyce metodę wolności Jakobinów. Jego artykuły sprowadziły do jego mieszkania deputację „patryotów“ z *Palais Royal*, którzy żądali stanowczo, aby zmienił przekonania i zaprzestał występować przeciwko „narodowi“. Nie uznają mandatów panów — odpowiada Mallet du Pan — uznają tylko prawo i legalne trybunały; zdaniem mojem grzeszą panowie przeciw konstytucyi, gwałcąc wolność słowa i pióra. Na to „patryoci“: Konstytucyą jest wola powszechna, prawem zaś jest wola mocniejszego. Jeśli pan nie zmieni swoich przekonań, zmusimy pana do tego siłą.

W ten sposób rozumieli Jakobini wolność i równość.

Zgoła niepotrzebnie teroryzowali Jakobini Zgromadzenie Narodowe, większość bowiem posłów robiła i bez tego przymusu wszystko, aby pozyskać zaufanie „patryotów“. Wszakże trzy czwarte z pomiędzy nich wyznawali zasady „Umowy społecznej“ i chcieli je wcielić. Sejm, popełniwszy odrazu fatalny błąd polityczny, oparłszy się od samego początku z obawy przed zamachami króla, na motłochu, nie mógł ganić swojej armii, musiał znosić cierpliwie jej wybryki. Od rana do wieczara słychać było w Zgromadzeniu: Ty, ludzie, jesteś suwerenem, wszechpotężnym, ty jeden posiadasz prawo rządzenia. Król jest tylko od tego, by wykonywał twoje rozkazy; wszelki stan, wszelka korporacya, stowarzyszenie duchowne albo świeckie przestają istnieć z chwilą, gdy taka jest twoja wola; tobie wolno nawet religię zmienić; ty jesteś ojcem ojczyzny; ty zbawiłeś Francję i przyczyniłeś się do odrodzenia ludzkości; cały świat cię podziwia;

dokończ chwalebne, sławne dzieła; postępuj naprzód, ciągle naprzód!

Tak dziecinnie wierząc i deklamując pozbawiło się Zgromadzenie Narodowe samo możności oddziaływania przeciw gwałtom Jakobinów. Jakżeż karać pana? Ciało prawodawcze nie posiada do tego prawa — jest ono razem z królem tylko pokornym sługą narodu. Trzeba znosić bez szemrania nawet neronowskie zachcianki „suwerena“.

Popychani wyciem trybun, gwałtami ulicznymi i swoją własną doktryną, brnęli posłowie coraz dalej w dzieło zniszczenia, druzgocąc całą przeszłość, rwąc gwałtownie nic ciągłości historycznej. Cudzoziemcy, którzy patrzyli ze spokojnem, krytycznem okiem na tę robotę destruktywną, nie mogli wyjść z podziwu.

Minister Morris pisał do Waszyngtonu: „ja, republikanin, który wyszedłem dopiero wczoraj z takiego samego Zgromadzenia i pomagałem budować najwięcej republikańską konstytucyę ze wszystkich konstytucyj republikańskich, napominam bezustannie Francuzów, by szanowali króla i szlachtę, by się miarkowali w rozpędzie. Ponieważ odczuwali dotąd dotkliwie władzę swoich książąt, zniszczenie tej władzy wydaje im się pożądanem. Nie znając dotąd despotyzmu swawoli, krzewiącej się zawsze tam, gdzie władza wykonawcza słabnie, nie wierzą w anarchię. Zachciewa się im konstytucyi amerykańskiej z królem zamiast prezydenta, nie zastanawiając się nad tem, że Francya, która rozwiła się w innych warunkach, nie posiada materiału na republikanów. Jeśli będą mieli dość rozumu, by dopuścić szlachtę do rządów, to wolna konstytucyca utrzyma się prawdopodobnie. W razie przeciwnym przeobrazi się ona albo w monarchię czystą (absolutną), albo w republikę demokratyczną. Czy republika demokratyczna może być we Francyi trwałą? Nie wierzę w to, jestem nawet pewny, że się nie ostoi, chyba, żeby się cały naród z gruntu odmienił. Ale francuza nie można przekonać. Jego robota polityczna, to lot spłoszonych, zbłąkanych ptaków. Ten nieszczęśliwy kraj, obalamucony chimerami metafizycznymi, przedstawia ogromną ruinę“.

Tak samo mniej więcej zapatrywali się na rewolucyę francuską: radykalny demokrat amerykański, Jefferson, tak samo podróżnik angielski, Artur-Young. Słynny Pit, najznakomitszy mąż stanu owego czasu, oświadczył, że „Francuzi przekroczyli

granicę wolności“, a Burke przepowiadał im wkrótce dyktaturę wojskową.

Wszyscy widzieli obłąd Francuzów, oni tylko jedni, z wyjątkiem nielicznej gromadki umiarkowanych, wierzyli, iż otwierają dla siebie i dla ludzkości bramy rajy wiecznej szczęśliwości. Nawet genialny Mirabeau łudził się aż do zamachu króla.

Brutalność jednak ludu, dzikość motłochu i zuchwalstwo Jakobinów uderzały zbyt gwałtownie w złudzenia fantastów politycznych, by ich nie miały rozbić w puch. Powietrze stało się we Francji tak ciężkie, iż posłom brakło tchu.

Naród wybrał ich, by wymyślił i ustanowił konstytucję, a oni nie mogli spokojnie obradować. Zrobili wszystko, czego tylko chcieli „patryoci“; ze strachu przed wyciem trybun, przed groźbą motłochu, przed gwałtami zbrojnej demonstracji poszli dalej, aniżeli pierwotnie zamierzali, a szczekacze z *Palais Royal* i Jakobini domagali się ciągle i więcej.

Złamawszy władzę króla, stawali się sami władzą najwyższą, prawodawczą i wykonawczą, rządzącami kraju, a nikt ich nie słuchał. Pierwszy lepszy najęty, zapłacony wichrzyciel wymyślał im od złodziejów, morderców, zbrodniarzy, bił ich pałkami, nachodził ich w domu, strzelał do nich.

Doktrynerzy, marzyciele Zgromadzenia Narodowego, ucząc się przez dwa lata praktycznie polityki na własnej skórze, ocierając się ciągle o nierozum, brutalność, wrażliwość, zmienność i dzikość tłumów, stygli powoli w zapale. Wiedzieli teraz, że wielkiego narodu, składającego się z różnorodnych żywiół, nie można prowadzić bez powagi władzy wykonawczej, bez silnego rządu. A tym rządem mogła być we Francji XVIII stulecia, nieprzygotowanej do rzeczypospolitej, tylko monarchia konstytucyjna. Przeto pozbyło się Zgromadzenie Narodowe mrzonek teoretycznych i przechyliło się gromadnie na stronę króla. Nasamprzód zrozumieli księża, że bez podpory tronu zginie wolność Kościoła. Potem ochłonęli demokraci konstytucyjni. Wódz ich Mirabeau, wołał: „Jeżeli nie udzielimy królowi prawa sankcyi i veta, wolę żyć w Stambule, niż we Francji“. Do tego samego przekonania doszła w końcu nawet lewica demokratyczna. Przywódcy jej: Duport, Barnave, Lamenthowie, twórcy organizacji jakobińskiej stali się monarchistami, umiarkowanymi.

Najlepszą szkołą człowieka jest życie. Nauczyło ono Zgromadzenie Narodowe, że ustrój państwa trzeba dostosowywać do

żyjącego człowieka, do rzeczywistości, nie zaś żyjącego w pewnych warunkach człowieka — do oderwanych teoryj, do abstrakcyj. Ci, co szli dnia 4 maja 1789 r. do kościoła św. Ludwika w Wersalu doktrynerami, fantastami, byli już w pierwszej połowie 1791 r. praktycznymi politykami, chcieli przedewszystkiem porządku.

Tego porządku, tej królewskiej władzy wykonawczej obawiali się oczywiście Jakobini. Bo cóż się z nimi, z ludźmi bez przeszłości, bez zasług, bez kwalifikacyi do zajęcia naczelných stanowisk, stanie? Będą klepali nadal biedę na posadach podrzędnych, a oni [tej biedy nienawidzą; będą gryźli, niemocni, wściekli wędzidło silnej władzy, a oni odwykli już od posłuszeństwa. Od lat dwóch rządzą we Francji, jak szare gęsi, tyraniżują Zgromadzenie Narodowe, zmuszają króla zbrojnemi demonstracyami do ustępstw, rozkazują tłumom. Zasmakowali we władzy.

I te rządy ich miałyby się skończyć? Nie dopuszczą do tego, urządką zamach stanu, rozpędzą Zgromadzenie Narodowe, zdetronizują króla.

Dnia 17 lipca 1791 r. zebrały się tłumy na Polu Marso-wem, by podpisać na ołtarzu Ojczyzny petycję, żądającą detronizacyi króla. Perorowali, zagrzewali lud do buntu: Brissot, Pétion, Danton, Desmoulin. Marat huczał, jak „wszystkie trąby sądu ostatecznego“: „rozpędźcie Burbonów, rozpędźcie sejm!“

Tego już zawiele Zgromadzeniu Narodowemu. Zdobyło się ono nareszcie na czyn mężki, ogłosiło prawo wojenne (*la loi martiale*), kazało ludowi się rozejść, a gdy się tłum opierał, rozpędził go Laffayette siłą. Rozległy się strzały gwardyi narodowej, padły trupy.

Tłum uciekał w popłochu, bo tłum jest tchórzem, ulega zawsze sile wojskowej. I tchórzami byli jego przewodnicy. Robespierre, Marat, Pétion, Brissot, Desmoulin, drżeli przez kilka dni, jako liście osiki, ukrywali się po piwnicach, stracili przytomność ze strachu. Najodważniejszy z nich Danton, schronił się u swego teścia w Fontenay. Wszyscy byli przekonani, że ich teraz władza legalna weźmie za kołnierz; uczyni ich nieszkodliwymi. Takby przecież oni postąpili ze swymi przeciwnikami, gdyby zwyciężyli, tak postąpią, gdy zwyciężą.

Ale władza legalna, król, Zgromadzenie, nie umieli, nie chcieli wyzyskać zwycięstwa. Wszakżeż to ludzie zbyt dobrze

wychowani, przeciwni gwałtom. Trzy czwarte posłów należało do „towarzystwa“. Nawet adwokaci z prowincyi, teoretycy polityczni, pochodzili przeważnie ze starszego mieszczaństwa; cywilizowani od dwóch, trzech pokoleń, wyzbyli się drapieźnych instynktów „kanalii“, byli już „arystokratami“. Nie było między nimi jeszcze czystych Jakobinów, świeżych, bezwzględnych parweniuszów.

Zgromadzenie Narodowe powinno było natychmiast zamknąć kluby Jakobinów, jak to uczynił później Konwent (w roku 1794).

Nie wyzyskawszy zwycięstwa, Zgromadzenie Narodowe popełniło drugi błąd polityczny, którego naturalnym skutkiem był teroryzm. Nie stało już Mirabeau'a, który byłby posłów nauczył, jak się w takich razach trzeba zachować. „Kolosalny, obłożony satyr“ runął przed trzema miesiącami, strawił nadmierną pracą i nadmierną rozpustą. Nabrawszy od króla dużo pieniędzy, używał życia więcej, aniżeli to jego nadwątlone zdrowie mogło znieść.

Zgromadzenie Narodowe rozjechało się do domu, nie ustaliwszy władzy wykonawczej i nie zdoławszy zmusić wicherzycielów do uszanowania konstytucyi, zaprzysiężonej przez króla naród.

V.

Żyromdyści. — Zamach Dantona.

Przyszły nowe wybory.

Teraz wyteją Jakobini wszystkie siły, aby wprowadzić swoich ludzi do sejmu.

Pomogły im: nierozwaga Zgromadzenia Narodowego, gromadna emigracya szlachty i niezaradność, tchórzostwo żywiołów umiarkowanych.

Zgromadzenie Narodowe, znużone wyczerpującą robotą dwóch lat, zniechęcone do pracy politycznej zuchwalstwem wicherzycielów, postanowiło, iż żaden z jego członków nie może być ponownie wybrany. Tem nierozważnem postanowieniem pozbawiło nowy sejm wszystkich pierwszorzędných zdolności Francyi i wszystkich już rutynowanych, doświadczonych polityków. Gdyby członkowie Zgromadzenia Narodowego, mający za sobą straszliwą praktykę polityczną, która nauczyła ich umiarkowania i poszanowania władzy, byli zasiedli w Zgromadzeniu Prawodawczem (*Assemblée législative*), byliby może uspokoiłi wzburzony kraj i skierowali ruch polityczny w łożysko właściwe. Wykluczywszy się własnowolnie, oddali Francję na pastwę Jakobinów. Był to ich trzeci ciężki grzech polityczny.

Nie dość na tem.

Chcąc zmusić duchowieństwo do przysięgi cywilnej i czyniwszy zdolność wyborczą zależną od tej przysięgi, odsunęli od

urny wyborczej 40,000 księży, którzy posłuszni Stolicy Apostolskiej nie chcieli uznać nad sobą władzy świeckiej.

Uszczuploną w ten sposób liczbę wyborców umiarkowanych, zmniejszyła jeszcze gromadna emigracja zamożniejszej szlachty i bogatego mieszczaństwa. Zaraz po wzięciu Bastylii opuścili Paryż znakomitsi dworacy; reszta uciekła po szturmie babskiego wojska na Wersal. Przeszło 100,000 paszportów zagranicznych wydał ratusz paryski w ciągu pół roku, nie licząc prowincyi.

Ale została jeszcze w kraju szlachta uboższa, zostali urzędnicy i przemysłowcy. Tych podłych „arystokratów - zdrajców“ (bo teraz, kiedy stan trzeci, przypatrzwszy się zblizka rządowi nowego „suwerena“, ochłodnął, ostygł w zapale do „Umowy Społecznej“ Rousseau'a, był i on w obliczu „patryotów“ szkodliwym „arystokratą“) nie trzeba dopuścić do Zgromadzenia Prawodawczego. Ci syci egoiści mogliby powstrzymać rozpęd rewolucyi...

Jakobini wiedzą już, jak się straszy ludzi spokojnych. Napada się ich domy, niszczy się ich dobytek, w ostatecznym razie nadzieja się ich na pikę. Przez cały czas wyborów do Zgromadzenia Prawodawczego, latem i na jesień 1791 r., drga Francya, trzeszczy, jak wałca się w gruzy stara rudera. Burza gwałtów przenosi się z miasta do miasta, ze wsi do wsi. Nie wybierają szlachty, księży i zarystokratyzowanych mieszczan! — idzie komenda z Paryża. Kto z tych „łotrów, zbrodniarzy“ ośmieli się stanąć do urny, tego pałką w łeb, a jeżeli pałka nie pomoże, piką pod piątę żebro.

I tak się działo wszędzie. Przedstawiciele wolności i równości nie żartowali, zwłaszcza wtedy, gdy nie czuli nad sobą silnej ręki. Wtedy byli oni ogromnie odważni.

A tej ręki nie czuli.

Żywioty umiarkowane, zadowolone z rezultatów reform, były tak liczne, iż gdyby się były połączyły, zarzuciłyby krzykaczów czapkami. Ale nie złączyły się, nie zorganizowały.

Bo na cóż zresztą? Cóż człowieka spokojnego, posiadającego jakiś majątek, jakiś warsztat, jakiś urząd, może obchodzić ten cały harmider polityczny? Zajmował go, dopóki szło o prawa zasadnicze, o wolność obywatelską. Teraz jednak te prawa już istnieją, wolność obywatelska jest faktem dokonany, więc na cóż tracić czas na czezą gadanie? Nawet zamożniejszy rze-

mieślnik, nawet obdarowany chłop ma dosyć polityki. Warsztat rzemieślnika potrzebuje spokoju, aby zarabiał, chłop, złapawszy przez rewolucję, przez sprzedaż dóbr narodowych, kawał gruntu, pragnie uprawiać świętą ziemię bez przeszkody. Cóż tych ludzi obchodzą republiki greckie i rzymskie, co teorye filozotów, co spory panów polityków? Nic się na tem wszystkim nie rozumieją. Ich polityką był chleb. Teraz posiadają warsztat do wyrabiania chleba, przeto niech się różne próżniaki, nygusy, goley zajmują polityką, bo mają czas do mielenia językiem. Przede wszystkim adwokaci, co to wszystko wiedzą, co zjedli wszystkie rozumy. Oni są od gadania. Z „pyskowania“ żyją..

Tak rezonując, nie stawali wcale lepsi rzemieślnicy, zamożniejsi chłopci do urny wyborczej, nie przypuszczając, że kiedy się rewolucya dobrze rozmacha, będą i oni „arystokratami“ i pójdą pod gilotyne.

Miejsce ich przy urnie zajęli ci, którzy się sami nazwali „narodem“, a którzy byli właściwie szumowinami narodu. „Kilka tysięcy próżniaków — pisze w owym czasie poeta Andrzej Chénier, za co w dwa lata później, gdy „cnotliwi przedstawiciele wolności“ doszli do władzy, głową przyplacił — rezonujących w kawiarniach, nazywa się beczelnie narodem. Na zebraniach swoich wrzeszczą tak głośno, iż robią wrażenie bardzo wielkiej liczby. Ludzie pracowici i wykształceni, wycofawszy się jeden po drugim z klubów, oddali je na pastwę zadłużonym intrygantom, kreaturom spodlonym, hipokrytom patryotyzmu, amatorom hałasu, talentom poronionym, głowom bezmózgim, wykolejonym wszystkich stanów i wszelkiego rodzaju, którzy nie umiejąc sobie radzić ze swojemi sprawami prywatnemi, chcą zrobić karierę na sprawach publicznych.“

W takie to ręce złożyła Francya pracująca losy państwa.

W lenistwie swoim i w nierozumie poddały się żywioty umiarkowane 1791 r. własnowolnie Jakobinom. Wykazał Taine, że do urny wyborczej stanęła zaledwie dziesiąta część uprawnionych wyborców. Ale Jakobini stawili się wszyscy i — zwyciężyli.

W końcu października 1791 r. przybyło do Paryża 750 nowych posłów, pomiędzy którymi było 400 nieznanym nikomu adwokatów z różnych miasteczek i osad Francyi, 20 księży „zaprzysiężonych“, około 20 literatów bez sławy, kilku uczonych, trzech wyższych wojskowych, reszta kupcy i chłopci.

Kiedy się ci panowie zebrali po raz pierwszy, uderzył dyplomatów cudzoziemskich, przypatrujących się z trybuny otwarciu sejmu, nowy zupełnie wygląd sali. Nie było już w ławach wytwornych członków Zgromadzenia Narodowego, owych posłów dobrze wychowanych, którzy nie umieli sobie poradzić z „patriotami,” nie było głów rasowych starej Francji. Ludzie źle ubrani, hałaśliwi, ruszający się niezgrabnie, zachowujący się z bezceremonialnością szynku, kawiarni, grubi, nieociosani, trącający z daleka małym miasteczkiem, przybyli do Paryża rządzić Francją.

I nie było między nimi genialnych mówców, jak Mirabeau, Maury, Cazalès, genialnych organizatorów, jak Duport i Lamethowie i mężów wielkiego rozumu, jak Mounier, Malouet. Najzdolniejsi z pomiędzy nich, ich gwiazdy, ich pochodnie, Vergniaud, Guadet, Isnard, nie dorosli ani do połowy Mirabeau'a. Były to zdolności średnie.

Poziom kulturalny i umysłowy sejmu obniżył się z chwilą, gdy Jakobini do niego weszli.

Trzy czwarte nowych posłów, chociaż się później, stosownie do rozwijających się wypadków, różnie poprzezywali, wyszły z łona Jakobinów.

Ci ludzie nieociosani, po których było widać, że noszą na sobie dopiero w pierwszym pokoleniu ubranie stanu trzeciego, że wyszli prosto z ludu, w nieśli do sejmu wszystkie cnoty i wady Jakobinów.

Wnieśli siłę świeżej rasy, rzutkość ludzi zdeterminowanych, wiedzących, czego chcą, dokąd dążą i gorącą wiarę fanatyków. To ich cnoty.

Ale wnieśli także ciasne doktrynerstwo dyletantów politycznych, nie mających wyobrażenia o sztuce rządzenia ludźmi i arogancję, megalomanię parweniuszów. To ich wady.

Pani de Staël, utalentowana córka Neckera, która spotykała nowych prawodawców w salonach i obserwowała ich z ciekawością rozumnej kobiety, szkicuje ich psychologię („*Considérations sur la Révolution française*”) bardzo dobrze: Na uwagi rozumne odpowiadali uśmiechem ironicznym i drwiącym, który jest zawsze świadectwem bezpłodności, wynikającej z wygórowanej miłości własnej. Gdy zwracano ich uwagę na fakta i ich przyczyny, gdy teorii przeciwstawiano praktykę, doświadczenie oni fakty najprawdziwsze, obserwacje najoczywistsze albo po-

mijali milczeniem, albo zwalczali ogólnikami, wyrażonymi zwykle bardzo dobrze. Spoglądali zawsze na siebie takim zwrokiem, jak gdyby oni tylko jedni wszystko rozumieli i jak gdyby wszystko, co inni myśleli, było niedołęstwem w porównaniu z ich poglądami.

Członkowie Zgromadzenia Prawodawczego byli już bogatsi o dwuletnie doświadczenie członków Zgromadzenia Narodowego i mogli, powinni byli z jego rezultatów korzystać. Oni jednak, wszyscy „genialni,” nie uważali za potrzebne radzić się bezpośrednio przeszłości, która według nich nie rozumiała, nie odczuwała ducha czasu, jego głosu, jego potrzeb. „Ci panowie, mówi o nich kanclerz Pasquier w swoich pamiętnikach (*Souvenirs inédits*), spoglądali z pogardą na świat poprzedników ze Zgromadzenia Narodowego; nazywali ich ludźmi przesądów i ciasnych widnokręgów, którzy nie umieli korzystać z okoliczności.

Każdy z nich, najmniejszy adwokacik, najpodrzedniejszy literacina, najpospolitszy kupeczyk, uważał się za urodzonego prawodawcę, zdolnego do objęcia każdej teki ministryalnej, każdej ambasady dlatego, że umiał na pamięć *Contrat Social* Rousseau'a i że czytał, jak pani Roland, Plutarcha.

Przypatruwszy się Zgromadzeniu Prawodawczemu z trybuny, można było zaraz pierwszego dnia przepowiedzieć jego przyszłą działalność. Gdyż pominąwszy, że ci posłowie wyszedłszy prosto z ludu, nieociosani staranniejszym wychowaniem domowym, nie wytrawieni dłuższą kulturą, nie umiejący rozkazywać (bo dotąd przez szereg wieków tylko słuchali), nie mogli posiadać umiarkowania, które daje geniusz polityczny, albo wytwarza dłuższa kultura, byli oni nadto wszyscy ludźmi bardzo młodymi. Nie wielu z nich przekroczyło trzydziesty rok życia, a sześćdziesięciu z pomiędzy nich nie liczyło nawet lat dwudziestu sześciu.

Oprócz więc megalomanii jakobińskiej, wnieśli do Zgromadzenia Prawodawczego niepohamowaną tężyznę młodości, bardzo pożyteczną w klubach rewolucyjnych, bardzo waleczną na wojnie, ale wprost szkodliwą w radzie narodowej, gdzie potrzeba przedewszystkiem znajomości ludzi, położenia kraju i rozważli.

Kraju swojego, jego potrzeb nie znali nowi posłowie nasamprzód dlatego, że wychował ich tak samo, jak członków Zgromadzenia Narodowego, klasycyzm, nie mający nic wspólne-

go z warunkami, w jakich się społeczeństwa nowożytnie rozwijają.

Nadziani klasycyzmem, naczytawszy się Demostenesów, Ciceronów, Plutarchów, przybyli oni do Paryża z pojęciami Greków i Rzymian. W mowach swoich, zawsze uroczystych, namaszczonych, przypominających *Forum romanum*, będą się powoływali ciągle na Manliusów, Fabricyuszów, Brutusów, Scewolów, Katilinów, będą cytowali historyków rzymskich i greckich. Podobał im się najwięcej Brutus i Katon. Pani Roland, żegnając się w więzieniu w Brissotem, pisała do niego: żona Katona żegna Brutusa.

W Zgromadzeniu Narodowym nie mówiono jeszcze o rzezypospolitej. Grożono nią królowi w *Palais Royal* i w klubach Jakobinów, posłowie jednak stali na gruncie monarchii konstytucyjnej.

Ale rewolucye jadą tak samo prędko jak umarli. Co wczoraj było skrajnem postępem, będzie jutro umiarkowaniem, a pojutrze wsteczniectwem. Apetyty wyzwoleńców politycznych rosną z dniem każdym. Pcha je naprzód, ciągle naprzód miłość własna człowieka i naturalna wszelkiej kreaturze chęć używania i władzy. We wszystkich rewolucyach, jak inaczej być nie może, odgrywa walka o byt, o rozkosz, władzę i rolę naczelną. Człowiek nie jest z natury idealistą, nie chce się za darmo fatygować, narażać. Bywają czasami fantaści, którzy poświęcają się dla szerokich mas, o sobie nie myśląc, „takich jednak głupców“ kanienują, wieszają właśnie owe wielkie masy, dla których oni pracowali. Bliźni nie lubi, nie znosi w bliźnim prawdziwej wyższości. A najwięcej nie lubią, nie znoszą tej boskiej wyższości rewolucye demokratyczne. Nie uznają wszelkiej wyższości — powtarzał ciągle Desmoulin, „dzwon rewolucyi francuskiej, prokurator latarni, Voltaire ulicy“.

Niezmiernie ruchliwa agitacya Jakobinów przygotowała grunt dla idei republikańskich. Rezonerom z klasztoru św. Jakóba pomagał gorliwie klub drugi t. zw. Kordylierzy, wyższy stopień Jakobinów, gdzie rządzi: Danton, Marat, Desmoulin, piwowar Santerre, rzeźnik Legendre, znany zbój Jourdan („uci-nacz głowy“) *coupe tête*, krwawy Maillard, były woźny Bastylli. Panom tym szła robota Jakobinów za wolno. Popychali oni demokratów do kroku stanowczego.

Kiedy Zgromadzenie Prawodawcze rozpoczęło swoją dzia-

łalność, mówiono już głośno o rzezypospolitej. Z wyjątkiem stu mniej więcej posłów, prowadzonych przez ludzi starszych (Macieja Dumasa, Dumolarda, Vaublanc, Reugnota, Girardina, Jaucourta), przedstawicieli zamożniejszego mieszczaństwa, którzy wyznawali zasady demokratów konstytucyjnych z królem na czele państwa i utworzyli w sejmie prawicę, byli wszyscy inni republikanami z tą tylko różnicą, że jedni chcieli rzezypospolitej mieszczańskiej (centrum, żyrondyści), drudzy zaś (lewica) wszechwładztwa ludu.

To wrogie dla monarchii usposobienie nowego sejmu wybuchło zaraz pierwszego dnia. Poszło o drobnostkę, o formalizm, o tytuł królewski. Tytułem króla Francyi był „*Sire*“. Nie podobalo się to Jakobinom, bo *sire* jest skróceniem *seigneur*, czyli „pana“, jedynym zaś panem w narodzie jest naród. Więc trzeba zmienić tytuły *Sire* i *Majesté*; niech się król zadowolni tytułem „króla Francuzów“. I niepotrzebnie postawiono dla niego obok krzesła prezydenta krzesło o złożonych poręczach. Niech siada na zwykłym krzesle, jak każdy obywatel francuski.

Drobiazg to, ale drobiazg znamieny, dowodzi on bowiem, że nowi posłowie przybyli do Paryża nie jako monarchiści konstytucyjni, lecz jako republikanie, lekceważący w osobie króla monarchię. Stosunki zaogniły się odrazu między dworem a Zgromadzeniem Prawodawczem. Teraz posuną się wypadki w szybkim tempie, zmierzając bez wytchnienia do rozwiązania pierwszego aktu tragedyi rewolucyjnej, do detronizacji króla i jego zabójstwa. Daremnie przemawiał Ludwik XVI w sejmie bardzo rozumnie i bardzo uczciwie: „By nasza praca wydała dobre owoce, czego się naród ma prawo po nas spodziewać, trzeba koniecznie zgody i zaufania pomiędzy królem a ciałem prawodawczem. Nieprzyjaciele naszego spokoju robią wszystko, by nas powaśnić. Niech nas miłość ojczyzny połączy i dobro powszechne uczyni nierozdzielny. Tylko wtedy sprawa publiczna będzie się rozwijała bez przeszkody, administracya nie będzie straszona terorem, własność i sumienie jednostki nie będą zagrożone“.

Posłowie klaskali, lud zmienny, wrażliwy, dziś żałujący, jutro mordujący, krzychał: *vive notre bon roi!* a geniusz rewolucyi uśmiechał się urągliwie. On znał duszę tłumów lepiej od filozofów, przeto lekcewał ten entuzjazm chwili, co gaśnie szybko, jak rakiety. On rozpuścił już swoją sforę: ambicyę, miłość własną, głodne, żarłoczne apetyty i drapieżną bezwzględ-

ność. Już tych furyj nic nie powstrzyma. Tyle ambicyi, w części uprawnionych, tyle próżności, chciwości wicherzyło w duszy proletaryatu inteligentnego... Miałyby wrócić pod jarzmo nędzy? Jedyna tylko brutalna siła mogłaby je uśmierzyć, ale „dobry król“ nie umie się posługiwać siłą brutalną.

Było przednim obowiązkiem Zgromadzenia Prawodawczego wprowadzić w życie zaprzysiężoną przez cały naród konstytucję, uspokoić kraj, który rzucał się w konwulsjach anarchii i pomyśleć o poprawieniu losu miejskiego robotnika, nękanego głodem. Wszakże ten robotnik, ten „motłoch“ pomagał stanowi trzeciemu do wywalczenia swobody i zasłużył na nagrodę.

Ludowi miejskiemu groziła naprawdę ostatnia nędza, ci bowiem, z których żył (bogata szlachta, bogate mieszczaństwo i bogaci cudzoziemcy) uciekli z palącego się domu Francji. Dziesiątki tysięcy: szwaców, krawców, fryzjerów, perukarzy, pasmanterzów, kucharzy, lokajów, szwaczek i t. d., pozostały bez chleba, gromadziły się na placach stolicy, wicowały, hałasowały. Gdzież ci ludzie pójdą? Do klubów oczywiście, jako płatni słuchacze, na ulicę, jako płatni wicherzyciele, wszędzie, gdzie można zarobić kilka susów na chleb.

O tych biedakach trzeba było pomyśleć. Myślał o nich w owym czasie jedyny Marat, zaskarbiając sobie ich łaski, które mu będą potrzebne, gdy się rzeź rozpocznie.

Zapomniała o nich większość Zgromadzenia Prawodawczego, z innymi bowiem zamiarami przybyła do Paryża.

Cóż republikanów tajnych lub skrytych mogła obchodzić konstytucya monarchiczna? Przeciwnie; oni ją chcieli obalić. I nie przerażały ich wcale rozruchy wiejskie i miejskie. Oni pragnęli właśnie tych nieporządków, byli im radzi, jako straszdyłu przeciw monarchistom. Robotnik niech czeka, aż się oni nie załatwią z królem.

Jak w Zgromadzeniu Narodowym prowadziło akcyę przewrotową głównie centrum z Mirabeau'em i Laffayett'em na czele, tak wzięło i w Zgromadzeniu Prawodawczem nowe centrum ster w rękę. Przewodzili mu posłowie, wybrani w departamencie Żyromdy (*Gironde*), dlaczego ich Żyromdytami nazwano. Był to kwiat Zgromadzenia Prawodawczego, ognisko wszystkich zdolności oratorskich i najuczciwszych fanatyków doktryny.

Tylko naczelnik Żyromdy, Brissot, nie mógł się pochwalić czystością rąk, co mu później Desmoulinś w pamflecie p. t. *Bris-*

sot dévoilé nieszlachetnie przypomniał. Wszzechstronny publicysta, jeden z tych, którzy dla chleba piszą o wszystkim, nie umiał przejść Brissot przez ubogą a użycia spragnioną młodość bez rąk splamionych. W chwilach potrzeby brał pieniądze, gdzie i za co się dało, nie zważając na źródło, z którego czerpał. Za tę nierozwagę lekkomyślnej młodości ukarali go jego przeciwnicy polityczni bez miłosierdzia, bo gilotyną.

On to rzucił pierwsze słowo: „rzeczpospolita“, co go postawiło na czele Żyromdy. Obok niego stał, jako teoretyk stronnictwa, jako redaktor jego odezw i manifestów, słynny matematyk, margrabia de Condorcet, jedyny, który wniósł do Żyromdy głosne już przedtem nazwisko. Wielbiciel Voltaire'a, materyalista, fanatyk czystego rozumu, wierzył szczerze w odrodzenie ludzkości przez rozum.

Mówcami stronnictwa byli: Vergniaud, Isnard, Guadet, Genoué.

Trzy główne sprawy zajmowały Jakobinów z końca 1791 r.: ukaranie księży, którzy nie chcieli złożyć przysięgi cywilnej, ukaranie emigrantów, którzy zdążyli się schronić za granicę przed ich „sprawiedliwością“ i wojna. Wiedząc, że król stanie w obu pierwszych sprawach po stronie prześladowanych, jako wierny katolik i jako naturalny obrońca szlachty, wnieśli je Żyromdyści właśnie dlatego zaraz na samym wstępie obrad nowego sejmku na porządek dzienny, licząc na to, że *veto* królewskie przyspieszy upadek tronu.

Na mównicy stanął Fauchet, ksiądz „zaprzysiężony“, filozof, libertyn w sutannie, wynagrodzony za posłuszeństwo przez Zgromadzenie Narodowe biskupstwem w Calvados. Niech sobie „buntownicy“ wierzą, w co im się podoba — mówił — ale niech nie żądają, by ich naród utrzymywał. Odejmiście im pensye!

Znaczyło to: ogłódźcie 40,000 księży i zakonników, zmuszcie ich głodem do posłuszeństwa!

„Duchowienstwo — wołał po nim żyromdyśta Ducos — jest pokonaną tyranią, która trzyma jeszcze sumienia wiernych na źle przeciętym powrozie. Jest to stronnictwo rozgniewane i jeszcze nie rozbrojone. Księża są najniebezpieczniejszymi z pomiędzy sekciarzów. Trzeba ich rozbroić“.

Z nieznaną w Zgromadzeniu Narodowym gwałtownością wystąpił Isnard, jeden z gwiazd Żyromdy. „Czas nareszcie — mówił — by się wszystko poddało woli narodu, by dyademy, tya-

ry, kadzielnice uległy prawu. Duchowni są uprzywilejowanymi wicherzycielami, których trzeba karać surowiej, niż zwykłych przestępców. Trzeba ich wypędzić z kraju, odciąć od narodu, by go nie gorszyli, nie bałamucili, trzeba odesłać tych zapowietrzonych do lazaretów Rzymu. Powiecie mi, że żądam kary zbyt surowej? Ślepi-ż jesteście i głusi, iż nie widzicie, co się dzieje? Czy nie rozumiecie, że ksiądz jest najszkodliwszym ze wszystkich naszych wrogów? Powiecie mi jeszcze: nie godzi się prześladować. Alboż słuszna kara jest prześladowaniem? Ksiądz jest mściwym tchórzem. Nie zmęczycie się on zbrodniami przeciw wolności, jeżeli mu pozwolimy broić swobodnie. Trzeba go koniecznie zwyciężyć, jeżeli nie chcemy być przez niego zwyciężonymi. Rewolucya żąda pełnego oddania się patriotów. Nie wolno zwlekać. Trzeba iść śmiało do celu. Im dłużej będziecie się namyślali, tem późniejszym będzie wasz tryumf, obryzganym krwią. Przyprzycie nieprzyjaciół rewolucyi do muru, doprowadzicie ich do ostateczności, zmusicie ich do posłuszeństwa postrachem i mieczem. W wielkich chwilach jest rozważa słabością. Wicherzycielów trzeba zdeptać, zanim się podniosą, zanim zdążą sobie zjednać zwolenników, nabrać siły. Gdyby Ludwik XVI był umiał korzystać z potężnych środków, jakimi rozporządzał przed rewolucyą, nie bylibyśmy w tej sali. Prawodawcy, którzy się cofają przed środkami ostatecznymi, są tchórzami i winowajcami; zbrodniarzem staje się ten, kto w rewolucyi przebacza zbrodnie. Pobłażliwość jest pułapką; naród opuszcza tych i zabija, którzy nie umieją bronić jego praw odważnie. Bogiem moim jest prawo — nie uznaję innego. Buntowników trzeba albo wypędzić, albo zabić.“

Burzą oklasków wynagrodziła większość posłów podburzającą, krwawą mowę Isnarda i zażądała jej wydrukowania i rozszlania po całym kraju ku „nauce narodu.“ Daremnie wołał „zaprzysiężony“ ksiądz Lecoz: „żądać drukowania takiej mowy, znaczy to samo, co żądać drukowania kodeksu ateistycznego. Żadne społeczeństwo nie może istnieć bez moralności, pochodzącej z wiary w Boga.“ Śmiech domorosłych filozofów małomiasteczkowych wydrwił oponenta i przyjęto prawo przeciw „zbuntowanym księżom.“ „Każdy ksiądz, niezaprzysiężony dotąd — postanowiono — ma się stawić w przeciągu ośmiu dni przed swoim merem i złożyć przysięgę obywatelską (*serment civique*). Którzy nie poddadzą się temu rozkazowi, nie będą odtąd pobierali

pensyi ze skarbu państwa. Oprócz tego będą oporni uważani jako podejrzani, jako buntownicy i będą poddani nadzorowi władz świeckich. Władzom tym będzie wolno wydalić ich z miejsca zamieszkania. Gdyby się opierali, mają być uwięzieni.“

Po duchowieństwie przysłała kolej na emigrantów. Pierwszy odezwał się w tej sprawie Vergniaud, adwokat z Bordeaux, druga gwiazda Żyryndystów. „Mówią nam, że emigranci nie mają złych zamiarów względem ojczyzny, że emigracya ich jest tylko zwykłą podróżą. Niech wystąpią ze złymi zamiarami, a wówczas będzie czas ukarać winnych. O, wy, co tak mówicie, czy, znajdując się w senacie rzymskim, kiedy Cyceron denuncyował Katilinę, bylibyście od niego żądali także dowodów legalnych? Zanimby je był znalazł, Rzym byłby zburzony, Katilina zaś i wy panowalibyście na ruinach. Dowody legalne? Nie, nie, — trzeba uprzedzić nieprzyjaciół, trzeba przedsięwziąć środki surowe. Trzeba nasamprzód zabrać emigrantom ich własność, a potem traktować wszystkich oficerów, którzy opuścili kraj, jak dezertorów, ukarać ich infamią i śmiercią. Niech emigranci drżą przed nami! Opowiadają o boleści głębokiej, jaką dotknijemy serce króla. Brutus poświęcił ojczyźnie dzieci zbrodnicze“.

Bez względu na Isnarda dołał oliwy do ognia. „Nie przestanę powtarzać, iż naród powinien ciągle czuwać. Gdyby ogień niebios był na usługach ludzi, trzeba by nim porazić wszystkich, którzy zagrażają wolności ludów. Gdy się Gallowie zakradli na Kapitol, obudził się Manliusz, stanął na wyłomie i ocalił rzecpospolitą rzymską. Ten sam Manliusz, oskarżony później o spiskowanie przeciw wolności publicznej, stanął przed trybunami Rzymu, pokazał ludowi swoje oznaki zaszczytne, naramienniki, dwanaście wieńców, trzydzieści trofeów wojennych, piersi, pokryte bliznami ran, przypominał, że ocalił Rzym, a mimo to, strącono go ze skały tarpejskiej, z której on zepchnął kiedyś w przepaść Gallów. Oto, panowie, jak postępuje wolny naród! A my od chwili, kiedy zdobyliśmy wolność, przebaczamy ciągle swoim patrycyuszom ich występki.“

I znów rozbrzmiały oklaski w centrum, na lewicy i w trybunach. „Na latarnię arystokratów i księży!“ „Wszystcy Francuzi — postanowiono — znajdujący się zagranicą, będą odtąd uważani za spiskowców, wszyscy, którzy nie wrócą do kraju do 1 stycznia 1792 r., będą ukarani śmiercią, nie wyjąwszy braci

królewskich, a majątki ich będą skonfiskowane; to samo odnosi się do oficerów wojsk lądowych i morskich.“

Taki był debiut Żyrodystów. Wnieśli oni do Zgromadzenia Prawodawczego gwałtowną, bezwzględną mowę wicherzycielów z kawiarni *Palais Royal* i z klubów jakobińskich, ich krwawe groźby i napuszoną jaskrawą frazeologię, naszpikowaną cytatami ze szkolnych podręczników historii starożytnej, ich ton arogancki i rozmyślne kłamstwo, oszczerstwo polityczne. Przemawiali głównie dla galeryi, dla trybun i ulicy, żądni szerokiej popularności.

Ich „Bogiem było prawo,“ jak zapewniali uroczyście, a łamali na samym wstępie podstępnie to prawo, dążąc do obalenia zaprzysiężonej konstytucyi. Podzęgali naród do krwawych rozruchów, do mordów, do zbrodni, a dziwili się potem bardzo, że ich ten naród nie wziął w obronę, kiedy ich zuchwalsi od nich przeciwnicy rzucili pod nóż gilotyny. Oburzeni, zrozpaczeni, niepojmujący, co się stało, oskarżeni niesłusznie, nazywali wówczas swoich zwycięzców, wykonawców ich wskazówek — zbrodniarzami.

Żyrodysty nie chcieli się niczego nauczyć od bezpośredniej przeszłości, zaczęli robotę od początku. Jak centrum i lewica Zgromadzenia Narodowego, tak zblądzi i oni niemądrą pogonią za popularnością. Zdawało im się, że ośwładną Francją, gdy oprą się na bezkrytycznym, wrażliwym, zmiennym tłumie. Ale łaska tłumu jest jeszcze kapryśniejszą od łaski pańskiej. Bo cóż ubogi tłum obchodzi taki lub inny władca? Czy w rządzie zasiadać będzie król, szlachta, czy starsze lub młodsze, inteligentne mieszczaństwo, roboczy wół zostanie zawsze wołem roboczym, niewolnikiem ubóstwa, bezwonną szrubką w wielkiej maszynie walki o byt. I cóż go obchodzi takie lub inne formy rządu? Monarchia, czy rzeczpospolita, on będzie zawsze pionkiem, któremu się tylko wtedy schlebia, gdy jest potrzebny. Nawet w demagogii będą rządili, rozkazywali Kleony, Dantony, Robespierre'y, a on musi słuchać. Przeto patrzy obojętnie na upadek swojego wczorajszego wodza, gdy przyjdzie nowy, który mu obieca więcej. A nietylko patrzy obojętnie na klęskę pokonanego władcy, lecz urąga brutalnie jego nieszczęściu, opluje, ubrzuci błotem na szafocie tego, którego przyjmował wczoraj oklaskami, okrzykami radosnemi. Bo miło patrzeć nędzarzowi na upadek mocarzów.

Oparłszy się na niewdzięcznym tłumie, płynąc z opinią ulicy, przegrali Żyrodysty z góry partyę, jak ją przegrało centrum Zgromadzenia Narodowego, jak ją przegrali później Danton i Robespierre. Ambicje ich byłyby daleko więcej skorzystały, gdyby się byli połączyli z królem i ze wszystkimi ludźmi porządku, gdyby byli podtrzymywali konstytucję. Ale o tem nie mogli wiedzieć ludzie młodzi, niedoświadczeni, nie mający wyobrażenia o psychologii człowieka i o polityce praktycznej, zapatrzeni we wzory klasyczne, nazwani dowcipnie przez dowcipnego generała Dumouriez'a „lichymi przekładami z łaciny“. Zamiast zbudować nową, trwałą Francję, zbudowali dla siebie szafot.

Zgromadzenie Prawodawcze, prowadzone przez Żyrodystów, ogłodziło 40,000 duchownych za to, że nie chcieli złamać wiary Stolicy Apostolskiej, swojej władzy legalnej, rzuciło infamją i groźbę śmierci na 100,000 szlachty za to, że uciekli z kraju, który stał się dla nich wprost niemożliwym.

Brak szlachty w kraju, swojej naturalnej podpory, odczuwał najwięcej król, był bowiem w Paryżu wśród wrogich sobie żywiołów zupełnie osamotniony. Kazał on Delessartowi, ministrowi spraw zagranicznych, napisać do emigrantów: Wracajcie do domu, skupcie się dokoła mnie i pomóżcie mi w wykonywaniu praw i przywróceniu pokoju w królestwie. Nieporządki, zagrożające waszemu mieniu i życiu, wypędziły was z Francji. Ale nie trzebaż przebaczyć okolicznościom? Nie mamże ja swoich trosk i zmartwień? A skoro ja te troski i zmartwienia przebaczam i zapominam, dlaczegoż wy nie macie ich przebaczyć i zapomnieć? Jakże ma porządek być przywrócony, kiedy ci, którzy są interesowani w jego przywróceniu, opuszczają kraj, narażając się na gniew ludu? Przeto wracajcie na łono ojczyzny, przynieście prawom poparcie dobrych obywateli!

Rozumnie i serdecznie przemówił Ludwik XVI do emigrantów, oni jednak nie usłuchali. Bo znali bardzo dobrze swoją niemoc. Jakież poparcie prawom mogli dać oni, zwyrodniali potomkowie walecznych przodków? Ich ojców, przywykłych do boju i rozkazywania, do trudów i bezwzględności wojennej, nie byłby przeraził ryczący, krwawy potwór rewolucyi. Znali się oni dobrze z bólem i śmiercią. Jeden byłby poszedł na stu. Ale oni, wytworni, wzorowo wychowani, przegrzeczni, dotykający się wszystkiego przez batystową chusteczkę, cóż oni zrobią z roz-

juszonym mółłochem? Nawet ci z pomiędzy nich, którzy służyli wojskowo, zajmowali stanowiska oficerskie, byli za uprzejmi dla żołnierza, nie umieli go utrzymać w kleszczach karności. Wszędzie się przeciwko nim żołnierz buntował, a oni znosili cierpliwie jego niesforność. Zresztą choćby się i w pośród nich znalazło kilkanaście tysięcy sere po dawnemu odważnych, umiejących bić i rozkazywać, to pomoc ich byłaby bezpożyteczna, rozumny bowiem, ale słaby, miękki król zepsułby zawsze ich robotę. On, biedny, nie rozumie, że w rewolucjach, tak samo, jak i na wojnie, trzeba atakować, szarżować ostro, by nie być atakowanym, zdeptanym; on ciągle ustępuje, licząc na to, że naród, uzyskawszy wszystko, co chciał, ochłonie nareszcie, uspokoi się. Zapewne, że ochłonie, uspokoi się, ale po przebyciu morza krwi, albowiem eksperymenty polityczne wielkich mas są zawsze wielkimi katastrofami, tragediami.

Nie chcąc być bohaterami tej okrutnej tragedii, nie usłuchali emigranci króla — nie wrócili.

Widzieli przecież w kraju, jak wygląda „dobry, łagodny lud.“ Nietylko palił ich zamki, rabował dobytek, ciął lasy, kosił zboże, ale zabijał ich krewnych, starców, kobiety, dzieci, obnosząc po wsiach na pikach i dragach ich ucięte głowy, ich wyrwane z piersi serca, ich krwawe wnętrzości, znęcając się nad konającymi. Nawet panów dobrych, przyjaciół swoich, nie oszczędzał.

Mają dosyć tego wcielenia filozofii, którą się sami zabawiali. Wolą czekać w bezpiecznym schronisku zagranicą, aż się burza uspokoi.

Żyromdyści wiedzieli bardzo dobrze, z której strony zejść króla, by go zapędzić w pułapkę. Ludwik XVI, który robił dotychczas wszystko, czego od niego żądano, ustępował, układał się, przekonywał, prosił, znosił cierpliwie obelgi, zniewagi, zdobył się nareszcie na odwagę. On, katolik i pierwszy szlachcic Francji, nie pozwolił ogłodzić księży i szlachty. Wszakże mu konstytucya przyznała prawo *veta*. Z tego prawa skorzysta.

Skorzystał, odmówił postanowieniom Zgromadzenia sankeyi.

Ci, którzy mieli ciągle na ustach prawo, cnotę, uczciwość, powinni się byli uchylić przed tem prawem. Lecz w polityce jest prawem jedynem siła. Kto nie posiada siły, ten nie posiada prawa. Stan trzeci Zgromadzenia Narodowego, usiłując zabrać dla siebie całą władzę, pozbawił króla siły (wojska), nie rozu-

miejąc, że obezwładniając przedstawiciela władzy wykonawczej, obezwładnił równocześnie siebie — zbudował swoją konstytucyę na lotnym piasku. Pierwszy lepszy wichur przewróci tę kruchą lepiankę.

Żyromdyści zatarli ręce z radości, kiedy się król posłużył *vetem*. Teraz go mają! Ich przyjaciele, Jakobini, postarają się o to, aby zohydzić króla. Desmoulin, Marat, Fréron, Robespierre, Danton, różni szczekacze z *Palais Royal*, z klubów św. Jakóba i z Kordylyerów, cała ta kanalia polityczna, nie omieszka skorzystać z doskonałej sposobności. Jakobini przygotowują pogrom monarchii, a oni, Żyromdyści, rozsiądą się na tych ruinach władzami.

I posypały się w istocie na Paryż, na kraj proklamacye, manifesty, kłamstwa, oszczerstwa, denuncyjujące Ludwika XVI: tygrysa, wilka, hyenę, Kaligulę, Nerona, Domicjana jako zdrajcę, za to, że posłużył się przysługującym mu według konstytucyi prawem. Codziennie zgromadził się pijany mółłoch przed Tuileryami i zasypywał króla, królową takimi obelgami, za któreby ostatni szewc pogruchotał zuchwalcowi kości. A Jakobini na prowincyi, głównie w departamentach południowych, drwiąc sobie z *veta* królewskiego, wykonywali postanowienia sejmu na własną rękę: palili istniejące jeszcze zamki szlachty, pałace prałatów i plebanie niższego kleru, wieszali, wypędzali, zabijali kanoników, proboszczów, zakonników. W Sarrians ucięto proboszczowi uszy, przyczepiono mu je do czoła w formie kokardy, a potem uduszono go razem z prosięciem; wyrwawszy z piersi serce księdza i prosięcia, związano je razem i tańczono dokoła tej trofei. Osiemdziesięcioletnią staruszkę wrzucono w płomień, dziecko pięcioletnie przecięto na dwie połowy.

Skargi na okrucieństwa „patryotów“ napływały codziennie z prowincyi do Paryża, ale Żyromdyści nie chcieli wierzyć, zatykali sobie uszy. Czas będzie poskromić dzikość ludu, gdy oni pochwycają w ręce cugle władzy, o czem teraz tylko myślą.

Myślą, projektują napróżno, zapomnieli bowiem, że nietylko im smakuje władza. Im się zdaje, że nauczywszy się trochę prawa i łaciny, że uwierzywszy, w swoją cnotę republikańską, są arystokracją inteligencyi, kwiatem narodu i jako tacy powinni oni jedni rządzić, bo oni jedni uszczęśliwią Francyę.

To samo jednak zdaje się także innym. Przedewszystkiem Dantonowi. Ten nie przeczytał tyle książek, ile oni, bo, próz-

niakiem będąc, nie lubił czytać; on nie mówił ciągle o encocie, jak oni, bo jego znajomość ludzi, jego cynizm drwił sobie z enoty. Ale on jeden z nich wszystkich wniknął instynktem urodzonego demagoga w psychologię tłumów i rewolucyj i wiedział, jak się wykonywa przewroty polityczne. Zwycięża ten, kto umie w chwili właściwej atakować, zabić, — mówił bez ogródki; w rewolucyj stawia odważny gracz głowę swoją na kartę; wygrawszy, zarzyna pokonanego, przegrawszy, oddaje własne gardło. Niech sobie uczeni i cnotliwi panowie Żyrodnyści rozprawiają w sejmie o Manliusach, Brutusach i Scwolach, a on huknie po swojemu, ordynarnie, gminnie na motłoch: za mną, do roboty, niedołęgi, głupcy! i będzie działał.

Pomogły mu wypadki. Astronom Bailly, pierwszy prezes Zgromadzenia Narodowego i pierwszy mer Paryża, przedstawiciel stanu trzeciego z r. 1789, obrzydziwszy sobie ciągle spory z krwiożerczym ludem, zrzekł się przewodnictwa w radzie miejskiej; Laffayette, pierwszy naczelnik gwardyi narodowej, znudzony się ciężką służbą, ustąpił ze stanowiska. Miejsce Bailly'ego zwolennika konstytucyj, zajął Pétion (w listopadzie 1791 r.), Laffayette'a zaś zastąpił Mandat, b. kapitan gwardyi francuskiej. Pétiona, obłudną, tchórzliwą arogancką miernotę i Mandat'a, którego władza zależy od Pétiona, można pchnąć tam, gdzie się silnej woli będzie podobało.

Danton wszedł do zarządu gminy paryskiej, jako pomocnik prokuratora, a gdzie taki „ryczący cyklop,“ jak on, wchodzi, tam rządzi, bo zakrzyczy, przerazi krwawą groźbą każdego. Od razu wziął gminę „za łeb“ i zmusił ją do odegrania roli drugiego rządu, podniecającego Zgromadzenie Prawodawcze do pośpiechu. On to stworzył ową straszliwą komunę paryską, która zniesławiła rewolucję.

Kiedy Żyrodnyści dysputowali w sejmie Danton przygotowywał zamach zbrojny. Na wojsku mu nie zbywało. Kilkanaście tysięcy dezertarów, przemytników, kłusowników, złodziejów, zbójców, nudzi się w Paryżu, czekając „na robotę;“ reszty dostarczą przedmieścia. I dowódców ma doskonałych. Nasamprzód piwowar Santerre, taki olbrzym, jak on, wyroczenia przedmieścia św. Antoniego, będzie bardzo rad wślawić się; potem dziki, zawsze klnący rzeźnik Legendre pójdzie wszędzie, gdzie mu Danton każe. Nie odmówią mu także pomocy: Włoch Rotondo, złodziej i morderca, zbiegły z Piemontu przed szubienicą; Fournier, by-

ły plantator na wyspie Sant-Domingo, zaprawiony na chłoscie murzynów do gwałtów; margrabia Saint-Huruge, zwany ojcem Adamem (*Père Adam*) przez kokoty *Palais Royal*: „wielki patryota“ Brière, handlarz wina; garbaty adwokat Cuivete Verrières, mający się za generała, bo lubi jeździć konno; w końcu Polak Łazowski, który przybył do Francyj, jako ładny, gładki, elegancki chłopiec, protegowany przez księcia de Liancourt. Utraciwszy po emigracji protektora środki do życia, przystał do Jakobinów. Mianowany kapitanem gwardyi narodowej, brał udział w rzezi więźniów, rozpił się, zdziczał, ubierał się w dziurawe, brudne suknie, zasługiwał się nowym „panom okrucieństwem“. Był tak ceniony przez Jakobinów, że kiedy umarł nagle, sam Robespierre pożegnał jego zwłoki — zwłoki „wielkiego nieznanego męża“ mową żałobną, a „patryoci“ pochowali go pod „drzewem wolności“ na placu *Carrousel*.

Z takim wojskiem i z takimi dowódcami ubiegnie Danton Żyrodnyści, wyprzedzi ich kłamliwą, podstępłą politykę — zmusi króla do posłuszeństwa. Urządziwszy wszystko, nie jest sam potrzebny „przy robocie“. Usunie się na stronę i będzie czekał na rezultat, by w razie udanego zamachu korzystać ze zwycięstwa.

Dnia 20 czerwca 1792 r., o godzinie 5 rano uderzyły wszystkie dzwony Paryża na trwogę. Na przedmieściach szkuje się wojsko Jakobinów, robiąc wrażenie, jak gdyby wszystkie więzienia i wszystkie zbójce nory Francyj wypuły swoje śmiecie na ulice stolicy. Twarze straszliwe, ohydne... Pijaństwo, rozpusta i zbrodnia napiętnowały je piętnem zwyrodnienia, podłości. Umundurowanie, uzbrojenie śmieszne... Łachmany wiszą na grzbietach „suwerenów“, w rękach ich widać odwieczne rusznice, piki, drągi, zaopatrzone nożami, pilami, kosami, widły, grabie, młoty, siekiery. Sztandary humorystyczne... Jakiś drab niesie na pice stare, podarte spodnie z napisem: *vivent les Sans-Culottes!* Drugi przywiązał do widel serce cielęcą i nazwał ten symbol *coeur d'aristocrate*. Francuz lubi humor nawet w tragedji rewolucyjnej.

To śmieszne wojsko, powiększone tłumem kobiet, wrzeszcząc: *à bas le veto!* i śpiewając „Marsylianę“ i *Ça ira*, maszeruje nasamprzód do ratusza, potem do sejmku, w końcu do pałacu królewskiego. Przodem idą Santerre i Saint Huruge. Ale przed bramą Tuileryów cofają się przezornie, toną w tłumie,

pozwalają się jakoby pechać naprzód, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za gwałt niesłychany. Bo te zuchy, bardzo odważne na przedmieściach i w kawiarniach, błedną przed niebezpieczeństwem. Niepewni wyniku awantury, wołają się trzymać na uboczu. Robespierre'a, Marata, Desmoulinsa niema także w tłumie. Nawet Danton czeka w ukryciu na skutek swojego dzieła.

Lękają się niepotrzebnie. Bo król pozwala wejść tej szczególnej „deputacyi“ do pałacu. Przez trzy godziny otoczony taką hałastrą, jakiej nigdy w życiu nie widział, brudną, pijaną, cuchnącą, ryczącą: *à bas le veto, au diable le veto!* grożącą mu nożami, zachowuje spokój władcy, pana, który nie przywykł ulegać motłochowi. Ani jeden muszkuł nie drga na jego twarzy, ani na chwilę nie traci przytomności. Więc ten potomek wielkich Burbonów nie był tchórzem, nie lękał się śmierci, stawał odważnie czoło niebezpieczeństwu. Dobre tylko jego serce nie pragnęło krwi francuskiej, nie chciało zabijać.

Rzeźnik Legendre, zuchwalszy od piwowara Santerre'a, mówi do króla w imieniu narodu: Panie (powtarza po raz drugi „panie“ *monsieur* zamiast *sire*, widząc w oczach króla zdumienie), tak, panie, słuchaj, bo jesteś od tego, żebyś nas słuchał. Jesteś obłudnikiem, zawsze nas oszukiwałeś, oszukujesz nas jeszcze; ale miej się na baczności, miarka się przebrała, narodowi sprzykrzyło się być zabawką w twojem ręku.

Na tę bezczelną admonicję zuchwałego rzeźnika, odpowiada król spokojnie: Nie oszukuję konstytucyi. Czynię, co mi konstytucya i dekrety nakazały. To wy gwałcicie konstytucję.

Jego spokój uśmierza burzę namiętności. Lud, przypatrzywszy się z blizka królowi, nie spostrzega na jego twarzy „tygrysa, wilka, hyeny, Kaliguli, Nerona“. Widzi, czuje w jego łagodnem spojrzeniu, w jego smutnym uśmiechu dobre serce, uczciwość, życzliwość. Jakiś oberwaniec podaje „tyranowi“ na końcu piki czerwoną czapkę frygijską. „Tyran“ bierze symbol wolności i kładzie go rozbawiony na głowę, wołając: „niech żyje naród“. A zmienny, wrażliwy tłum, który nie wie nigdy, czego chce, rozbawiony tak samo, jak „tyran“, odpowiada: „niech żyje król“!

Burza zażegnana, zamach nie udał się tym razem. Zrozumieli to Jakobini, przeto starają się czem prędzej umyć brudne ręce. Łaska motłochu mogłaby się od nich odwrócić i wówczas

zawiśliby na latarni. Teraz wysuwa się na pierwszy plan piwowar Santerre i udaje przyjaciela króla; teraz zjawia się także mer Pétion i wzywa lud do opuszczenia pałacu.

Kiedy armia Jakobinów ciągnęła do Tuileryów, siedzieli w jednej z restauracyi przy ulicy Saint-Honoré dwóch młodych ludzi. „Idźmy za tą kanalią“, rzekł jeden z nich, dwudziesto-trzyletni oficer. Po wtargnięciu „kanalii“ do pałacu królewskiego, trząsł się z oburzenia. „Jacy głupcy, zawołał głośno, jak można było wpuścić taką kanalię! Trzeba było wymieść kilka setek kulami armatniami; reszta uciekłaby sama“.

Tym oficerem był Napoleon Bonaparte. Ten wiedział, jak się wyprasza z domu nieproszonych, burzliwych intruzów i jak się robi porządek.

Przez kilka tygodni zachowywali się Żyrodnyści i Jakobini wyczekująco, wszystkie bowiem żywioły umiarkowane Francyi oburzyły się na gwałt, zadany królowi. A te żywioły umiarkowane były tak liczne, iż gdyby się były połączyły, zrozumiawszy swoją siłę, byłyby zdusiły niewątpliwie hydrę anarchii.

Żywioły jednak umiarkowane wszystkich narodów i wszystkich czasów mają to do siebie, iż wierzą zanadto w potęgę prawa. iż odwołują się do uczciwości i lojalności wiczrycielów, zamiast ich zmusić do posłuszeństwa, iż, słowem, mówią za wiele, a czynią za mało. Naturalny w żywiołach umiarkowanych (składających się z właścicieli ziemskich, kapitalistów, urzędników, zamożniejszych chłopów, rzemieślników i t. d.), oportunizm robi ich ociężałymi, oględnymi, odbiera im rzutkość i śmiałość hazardu. Mając do stracenia majątek, dobrobyt, stanowisko, nie lubią się narażać, rezykować i dlatego przegrywają w rewolucyach zawsze bitwę z mniejszością wydziedziczonych, którzy, nie mając nic do stracenia, rzucają się w wir anarchii.

Żyrodnyści i Jakobini, zmiarkowawszy, że żywioły umiarkowane ograniczają się na biernem oburzeniu i na odwoływaniu się do konstytucyi, wrócili do robyty. Danton przygotował zamach drugi (wziąwszy przedtem pieniądze od króla) i tym razem wygrał partyę ryzykowną.

Król, napadnięty po raz wtóry dnia 10 sierpnia, opuścił z rodziną Tuilerye i oddał się pod opiekę Zgromadzenia Prawodawczego. Osadzony w *Temple*, przestał być królem.

Zgromadzenie prawodawcze ogłosiło rzeczpospolitą—filozofia encyklopedystów i soeyologia Rousseau'a tryumfowała.

Teraz rozpocznie się prawdopodobnie żywa sielanka Jana Jakóba Rousseau'a, wcielona przez jego wyznawców. We Francji zapanuje królestwo wolności, równości i braterstwa, które zgasi wszelkie nienawiści, zawiści, egoizmy, ambicje i słabości ludzkie, które podniesie człowieka do wyżyn czystego ideału, albowiem najgorliwszy apostoł sielanki Rousseau'a, Maksymilian Robespierre, wysuwa się teraz na pierwszy plan.

VI.

Komuna paryska. — Robespierre.

Dzień 12 sierpnia wieczór...

W Salonie pani Roland, wyroczni, Pytii Żyryndystów, zebrali się jej przyjaciele: Brissot, Condorcet, Vergniaud, Gaudet, Gensonné, Monge, Servan, Clavière, Buzot, Robespierre i inni. Temu rok byli to ludzie (z wyjątkiem Brissota i Condorceta) nieznanymi, obskurnymi, przeciętnymi adwokacjami i kupcami, którym się nawet nie śniło, że staną wkrótce na najwyższym szczeblu drabiny hierarchii społecznej. Pożerała ich wszystkich nienasycona ambicja, ale nawet ich nienasycona ambicja nie sięgała tak wysoko.

Pétion, mer Paryża i Manuel, naczelny prokurator, rządzą stolicą; Roland, sumienny urzędnik skarbowości, jakich było tysięcy za rządów królewskich, człowiek uczciwy, nieskazitelny, ale ciasna, mierna głowa — Servan, podrzędny oficer — Monge, kamieniarz, który nauczywszy się z łaski księdza Bossut matematyki, rozwiązuje dobrze zagadnienia geometryczne, — Clavière, Lebrun w końcu są ministrami. Ministrem jest także Danton, Desmoulins zaś jego pierwszym sekretarzem; piwowar Santerre, który ma takie wyobrażenie o wojskowości, jak wół o astronomii, stoi na czele gwardyi narodowej z tytułem generała. A przyjaciele ich, oszczercy, kłamcy, „szczekacze“ z *Palais Royal* i najęci za pieniądze awanturnicy zajęli posady sędziów, dyrektorów, komisarzy policji, kapitanów gwardyi.

Zupełnie jak w bajce. Różdżka czarodziejki dotknęła Francję i odwieczne dziedzictwo Burbonów przybrało w przeciągu dwudziestu czterech godzin inną postać. Wszystko przewróciło się do góry nogami. Którzy mieszkali w pałacach, poszli na poniewierkę wygnania lub do więzienia, którzy zazdrościli na poddaszach, w ubogich domkach miasteczek prowincjonalnych uprzywilejowanym ich przywilejów, bogatym ich bogactwa, rozsiadli się w pałacach.

Więc spełniły się najskrytsze marzenia, pragnienia proletaryatu inteligentnego. Nawet pyszna pani Roland, tak pyszna, iż nie widzi na tym świecie roli godnej, jej geniuszu, oprócz roli Opatrzności, nawet ona nie śmiała marzyć głośno, że będzie ministrową. A jednak stało się.

Nie zasługi lat długich, nie sława zdobyta w pocie czoła, w bólu i umartwianiu, nie trofea wojenne, wieńce literackie, naukowe i obywatelskie, nie wielka dobroć, lub wielka ofiara wyniosły tych ludzi na sam szczyt Francji. Wyrzuciła ich w górę burza rewolucyjnej i zmiecie ich wkrótce ta sama burza, jak suche liście.

Goście pani Roland powinni śpiewać z radości, klaskać, skakać, tańczyć. Wszak są od dwóch dni rządzcami Francji! Któż wydrze im tę władzę? Król w więzieniu, szlachta na wygnaniu, duchowieństwo zdeptane, stan trzeci z r. 1789, ten ze Stanów Generalnych i ze Zgromadzenia Narodowego, z Konstytuanty, usunięty...

A oni nie klaskają, nie tańczą. Wiodą z sobą rozmowę cichą, przygnębieni, smutni.

Dlaczego? Co czują, wiedzą już nawet, iż biorąc monarchię konstytucyjną pracowali dla innych, dla skrajnej lewicy Zgromadzenia Prawodawczego.

Ta skrajna lewica, ta „Góra“ (*La Montagne*), liczyła w Zgromadzeniu Narodowym z r. 1789 członków tak nie wielu (dwudziestu kilku), iż nie zwracano na nią wcale uwagi. I w Zgromadzeniu Prawodawczym z r. 1791 stanowiła ona jeszcze tak drobny odłam, że nie było potrzeby liczyć się z jej głosami. Ale za jej plecami, hałaśliwe, zuchwałe, burzliwe, stały zawsze trybuny i wszystkie kluby jakobińskie Francji.

Na „Górze“ nie było nigdy talentów oratorskich i politycznych i dlatego nie mogła ona wpływać na robotę sejmową. Zmiarkowawszy to, postarała się o inny teren. Po zwyciężeniu króla, przeniosła się całą kupą do ratusza i tu utworzyła drugi

rząd — rząd komuny paryskiej. Tu nie potrzeba talentów krasomówczych, politycznych i głów rozważnych. Wystarczy umieć głośno krzyczeć, bić pięścią w stół i zabijać. A tę sztukę potrafi każdy rzeźnik, każdy zbój. Wprawdzie jest jeszcze merem żyrodysta Pétion, ale cóż on znaczy po 10-tym sierpnia? Jest tylko dobrze płatnym manekinem. Inni rozkazują za niego.

Nasampród Manuel, syn stróża, były kolporter pornograficznych powiastek, cygan, pijak, złodziej, który, ukradłszy w biurze policji listy Mirabeau'a, zabrane po jego śmierci, sfałszował je i sprzedał za 2,000 talarów — obecnie główny prokurator Paryża.

Potem Varlet, taki szubrawiec, że jego własna matka umarła ze zgrzyoty, zabita jego życiem grzesznem.

Carra, skazany przez trybunał w Maçon na dwa lata więzienia za kradzież z włamaniem.

Westermann, pruski żołnierz, który przybył do Francji, wietrząc w anarchii łatwą zdobycz, prowadzący tłum na Tuilerye, 10 sierpnia ukradł w restauracji Jana Creuz'a srebrną miskę i był wypędzony z Paryża dwa razy za oszustwo. Panis, obecnie naczelnik komitetu bezpieczeństwa, dopuścił się defraudacji w kasie rządowej. Sergent ukradł złote zegarki i pierścionki w sklepie, w którym był kupczykiem. Huguenin, obecny prezydent komuny paryskiej, był adwokat, bezczelny szantażysta, za co pozbawiony praw obrońcy, następnie żołnierz, dezertor, jakiś pacholek w budce rogatkowej, w końcu „gorący patriota“ i główny „szczekacz“ na przedmieściu św. Antoniego. Rossignol, prawa ręka Dantona, wmieszany w proces o zabójstwo, jeszcze nieskończony w chwili upadku monarchii. Hebert był kontroler biletów w teatrze *Variétés*, wypędzony za kradzież, następnie bazgracz paszkwilów, oszczerstw dziennikarskich.

Tallien, drukarczyk, syn kucharza, przywykły w kuchni pańskiej do dobrych kąsków, kradnie później, gdy doszedł do władzy, na prawo i lewo, by zadowolić swoje łakomstwo i różne inne apetyty. Fabre d'Eglantine, aktor, literat, którego pani Roland nazywa w swoich pamiętnikach *le plus scélérat tartufe*, obłudnik, uważający „patriotyzm“ za dobry geszeft, rabuś, który obłowił się dobrze w Tuileryach po wtargnięciu motłochu do pałacu, odpychający ohydą twarzą urodzonego zbrodniarza. „Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu, mówi pani Roland, fizyo-

gnomii, na którejby się brutalne namiętności i zdumiewająca bezczelność, maskowane źle sztuczną jowialnością i szczerością, malowały tak wyraźnie, jak na twarzy Fabre'a.

Oto panowie komuny, nowi władcy Francji, którzy rządzą za pomocą: Łazowskich, Santerre'ów, Saint-Huruge'ów i t. p. Złodzieje, fałszerze, wylamywacze, mordercy, wygwizdani aktorzy, paszkwiliści dziennikarscy, przeniewiercy. To już nawet nie motłoch, lecz poprostu plugawa kanalia, lęgnąca się w cuchnącem błocie każdego wielkiego miasta.

I ta kanalia chełpi się z tego, że jest kanalia. „Sanskuloci, najbrudniejsza hałastra, kanalia paryska — mówi „patriota“ Palloy — zwyciężyli t. zw. ludzi przyzwoitych (honnêtes gens) i i szczyć się tem, że pochodzą z tej kanalii“.

Trudno poprostu pojąć, w jaki sposób mogła garstka hałastry rzucić o ziemię ogromną większość ludzi przyzwoitych. To dziwne zwycięstwo tłumaczy tylko opurtonistyczne lenistwo „ludzi przyzwoitych“, strach, jaki rzuca wszelki terroryzm i tak słaba, bierna dobroć króla, że aż grzeszna.

A nad tą całą zgrają szubrawców i bandytów wznosiła się olbrzymia postać Dantona, „genialnego chama“, mądrego znawcy człowieka, bezwzględnie demagoga, który wie bardzo dobrze, że taka hołota może stać tylko terorem i anarchią, bo żadne, jako tako zorganizowane społeczeństwo nie zniosłoby podobnych władców — który nie łudzi się i nie odurza frazeologią filozofów i socjologów, lecz myśli już nad tem, jakby usunąć z drogi jak najprędzej wszystkich, coby, ochłonawszy z pierwszego przestradchu, mogli zapytać: kto wy jesteście, którzy nam rozkazujecie, jaki wasz tytuł do objęcia dziedzictwa po przesławnych Burbonach.

I Marat, ponury tohórz, który ukrywał się dotąd ciągle po piwnicach, wylazł nareszcie ze swojej nory i stawił się w Komunie, jako pożądaný doradca polityczny. Kiedy mu doniesiono, że naród zwyciężył, wyszedł na ulicę z nagą szablą w ręku, z wieńcem laurowym na głowie i leciał na czele gromady sanskulotów do ratusza. Tryumfator! Ogromny zuch, kiedy inni usunęli wszystkie przeszkody... Będzie odtąd wołał bezustannie: „mordujcie w imię dobra ludzkości, powodowani uczuciami humanitarnymi, albowiem Francja nie będzie szczęśliwą dopóty, dopóki nie wyćpicie wszystkich arystokratów i księży“! Wprawdzie nie lubił Danton tej plugawej żmii rewolucyi, pełzającej w ciemnościach

piwnic, był on bowiem wielkim drapieżnikiem, zbyt śmiałym wicherzycielem, by mógł sympatyzować z podziemnym gadem, lękającym się światła dziennego, w rewolucjach jednak nie można przebierać w sprzymierzeńcach. Marat posiada wpływ na robotników, przeto trzeba go głąaskać do czasu.

Goście pani Roland znają psychologię czarnej bandy, która skupiła się w ratuszu i dlatego nie wesela się. Są wprawdzie ministrami i prowadzą dotąd sejm, cóż jednak znaczy dziś minister i sejm? Pierwszy jest służącym, lokajem narodu (według recepty Rousseau'a), drugi zaś głosem narodu, który musi zamilknąć, gdy suweren tego zażąda. Wszakże uczyli oni sami tej mądrości, poniewierali sami ministrów Ludwika XVI, przemawiając do nich w Zgromadzeniu, jak się przemawia do krnąbrnego żaka, grożąc im ciągle chłostą, więzieniem, szubienicą w końcu. Robili to z celem, z zamiarem obalenia, ośmieszenia doradców króla, monarchii, nie opatrzywszy się tak samo, jak ich poprzednicy, jak demokraci Zgromadzenia Narodowego, że kto chce sam panować, ten nie powinien odbierać władzy, jako takiej, uroku, raz ją bowiem złamawszy, trudno ją potem dźwignąć.

Któż bowiem będzie szanował, ma obowiązek szanować pretenzye, ambicye, gromady adwokatów, gdy przywykł lekceważyć koronę? Czemże są oni, Żyrondyści, inteligentnicy od wczoraj, w porównaniu z królem, ze szlachtą, z duchowieństwem, których lud przywykł słuchać od lat tysiąca? Jeżeli władza tronu i kast uprzywilejowanych przestała być groźną dla narodu, to jakimiż środkami chcą oni, nie mający poza sobą żadnej przeszłości historycznej, żadnej tradycyi, zmusić rozpuszczone, rozruchwalone masy do posłuszeństwa? Nazywają się arystokratami inteligencyi. Są niewątpliwie wykształceńsi, zdolniejsi, a przede wszystkim uczciwsi od skrajnych Jakobinów, posiadają w istocie więcej prawa od nich do rządzenia, któż jednak pyta w rewolucjach o czyjeś prawa? Monarchiści są tak samo oświeceni, jak oni, a nawet rozumniejsi od nich, bogatsi bowiem o doświadczenie w szeregu wieków kultury, a oni wyrwali im z rąk cugle władzy dlatego, że byli od nich bezwzględniejsi, zuchwalsi. Teraz przyjdzie kolej na nich, teraz staną z nimi do walki jeszcze bezwzględniejsi, jeszcze zuchwalsi, zarozumiali i zepchną ich z zajętych wyżyn, jak oni zepchnęli monarchistów.

Żyrodnyści obawiają się najwięcej Dantona, który nie znosi obok siebie współrzędnych towarzyszków. Zapomnieli o innym demagogu, niebezpieczniejszym od „ryczącego cyklopa,“ Znajduje się on między nimi, stoi przy kominku, rozmawia z urodziwym Barbaroux'em.

Drobny, szczupły, chuderlawy, kanciasty, o ruchach niezręcznych, jakby nieśmiałych, sztucznie, przesadnie, nieszczerze uprzejmy, bardzo czysty zewnętrznie, starannie upudrowany, starannie ubrany w niebieski frak, w żółtą kamizelkę i żółte pantalony, słucha więcej, niż rozmawia, błyskając zielorkowatymi oczami kota. Nosek zadarty, duże wypukłości na skroniach nie dodają jego twarzy nieforemnej wdzięku.

To Maksymilian de Robespierre, szlachcic angielski, którego rodzina, osiadłszy we Francji i podupadłszy, zmieszała się z proletaryatem.

Wychowany sumptem biskupa z Arras, był w mieście rodzinnem adwokatem, pisywał liche wierszydła, blade artykułiki, wskutek czego uchodził w małym miasteczku za gwiazdę, za *lumcn*. Wybrany w r. 1789 do Stanów Generalnych, zasiadł na skrajnej lewicy, na „Górze“. Wchodził ciągle na mównicę, wtrącał się do każdej sprawy, niezmeńczony, niezrażony. Nikt go nie słuchał, często wygwizdywano go, wydrwiwano, bo nie posiadał ani głosu, ani wymowy, ani idei oryginalnych — mówił zawsze źle, nieudolnie. Bity ciągle w sejmie, przeniósł się do klubu Jakobinów, gdzie znalazł mniej wybrednych słuchaczy i krytyków. Różnym biedakom głodnym, niezadowolonym i megalomanom z ludu podobało się ogromnie, gdy do nich mówił: wy jesteście suwerenami Francji, królami, panami, do was należą wszystkie skarby bogatej ojczyzny, wy jedni macie prawo rozkazywać. Wszystkie władze, król, ministrowie, generałowie, urzędnicy, to wasi lokaje, wasze sługi pokorne, szlachta, duchowieństwo, starsze mieszczaństwo to uzurpatorzy, złodzieje; uczeni literaci, mężowie stanu, to osły; wy jedni posiadacie geniusz polityczny, rozum, świadomość tego, jak i co trzeba czynić, albowiem jesteście dziećmi natury, niezepsutymi przez cywilizację i kulturę. Codziennie, przez rok, dwa, mówił Robespierre to samo do wydziedziczonych, codziennie głaskał „patryotów“, schlebiał im, kadził, kładł się do ich stóp, przeto rosła jego wziętość, jego popularność.

Wolno, systematycznie, z uporem człowieka, który wykre-

ślił sobie jakiś cel i dąży do niego z zamkniętymi oczami, budował sobie sławę. Eksperymentów ryzykownych, jak Danton, nie lubił, tchórzliwy, nie zdolny do śmiałego czynu. Dnia 20 czerwca stracił przytomność ze strachu, 10 sierpnia schował się do piwnicy. Wolał posyłać innych w ogień, sam zaś starał się wyzyskać dla siebie ich zwycięstwa. Podstępny, chytry, jak kot, skradał się do władzy krokiem ostrożnego lisa.

W salonie pani Roland w gronie Żyrodnyistów, bywał od samego początku pobytu państwa Roland w Paryżu. Od pani domu, która się litowała sercem kobiecym nad jego nieśmiałością, niezręcznością, nad jego tchórzostwem, doznał dużo życzliwej przyjaźni. Ugaszczała go u siebie, była mu doradczynią, kiedy podczas zamachów dygotał ze strachu, szukała go po całym mieście, aby go pocieszyć i ukryć u siebie. Odbywał w jej domu rodzaj kursu politycznego, gdy bowiem zdolniejsi od niego Żyrodnyści dysputowali, on gryząc paznokcie, przysłuchiwał się uważnie i nazajutrz powtarzał ich mniemania, sądy i myśli na trybunie, jako swoje.

Żyrodnyści nie zwracali uwagi na tę ciasną, bladą miernotę, nie liczyli się z tą głową bakałarza, pedanta, filistra filozoficznego, nie przeczuwając, że właśnie on, najgłupszy, najtchórzliwszy z pomiędzy nich, pośle ich wszystkich na gilotynę, będzie ostatnim wyrazem rewolucji, najdoskonalszym wcieleniem doktryny Rousseau'a.

Dlaczego właśnie on, ta nudna miernota?

Dlatego, że był miernotą...

Gdyby go los był obdarzył głową oryginalną, samodzielną i uważnymi oczami obserwatora, byłby się był nauczył, jak się nauczyli inni, że wszelka doktryna polityczna i socjologiczna wisi w powietrzu, jest niezastosowalną w praktyce, jeśli nie oprze się na rzeczywistości, na życiu. I demokraci z r. 1789 byli tak samo, jak on, wielbicielami wszechwładztwa ludu, przypatrzwszy się jednak temu wszechwładztwu na trybunach sejmu, na ulicach Paryża i w klubach Jakobinów, wytrzeźwieli, ostygli, stali się monarchistami konstytucyjnymi, utworzyli w Zgromadzeniu Prawodawczym prawicę. I republikanie z r. 1791 (Żyrodnyści) weszli do sejmu z przekonaniem demagogicznymi, po roku jednak praktycznej roboty politycznej, stygną już, zaczynają się cofać, miarkować i staną się w krótko zachowawcami. Nawet Danton, napiwszy się krwi ludzkiej, przestanie mordować

i będzie myślał o przywróceniu porządku. Bo ci wszyscy teoretycy umieją patrzeć i słuchać, uczyć się od życia.

Jeden tylko Robespierre został jednolitym, niezmiennym od początku do końca. Wytapetowawszy raz ciasną głowę doktrynami Rousseau'a i Mably'ego, uwierzywszy w ich doktryny z zaciętością urodzonego sekiarza, powtarzał je przez całe lata z uporem wyuczony papugi, głuchy na ostrzegawczy głos faktów, ślepy na wyraźne wskazówki rzeczywistości.

Przezorny i tchórzliwy nie wysuwał się naprzód, czekając na przebieg wypadków. Trawiła go chorobliwa miłość własna, tak samo, jak panią Roland, Desmoulinsa i Marata, jak większość Jakobinów, strach jednak przed odpowiedzialnością w razie nieudania się zamachów był silniejszym od jego pychy. Teraz dopiero, kiedy Danton usunął monarchię konstytucyjną, wyszedł on z klubu na ulicę, na jasne światło dzienne, uwierzył bowiem, że jego doktrynie już nic nie grozi, że czas ją wcielić w całość pełni.

Wierzył na prawdę i ta wiara miernej, ciasnej głowy, opętanej przez doktrynę, ta wiara fanatyka, idącego do celu prosto z zamkniętymi oczami, z zatkanymi uszami, nie oglądającego się ani w prawo, ani w lewo, była jego siłą. Kiedy się inni znużą grozą rewolucji i zatrzymają się w połowie drogi, przerażeni skutkami swojej roboty, on pójdzie dalej, ciągle dalej, aż dojdzie w ograniczoności swojej do potwornych absurdów, do karykatury społeczeństwa. W miarę, jak będzie rosło jego znaczenie wobec bezkrytycznych, niemądrych tłumów, będzie rosła także, wzmacniała się, potężniała jego wiara w posłannictwo. Z tej wiary rzygnie olbrzymi ślup krwi niewinnej, wzniesie się olbrzymia hekatomba trupów, albowiem „rzeczą godziwą by wszyscy, którzy się opierają posłannikowi, zginęli.“ Robespierre, tchórz, podstępny kot, ukrywający się w pierwszej połowie rewolucji zawsze za czyjemiś plecami, będzie mordował bez litości, z zimną krwią inkwizytora, który wierzy w swoją misję. Nie będzie on uznawał przyjaźni, nie uwzględni żadnych względów, nie ulituje się nawet nad tymi, którzy mu dobrze czynili. Wszystkich, co patrzą na niego z ukosa, skrzywią na niego palec, uśmiechną się z pretensjonalności bezgranicznie zrozumialej miernoty mściwego głupca, pośle na gilotynę. Aż w końcu poniesie sam karę zasłużoną.

VII.

Rządy demagogów.

Już dnia 10 sierpnia zawiesiło Zgromadzenie Prawodawcze króla w jego czynnościach, oddało pięć tek ministeryalnych Żyryndystom, naznaczyło wybory do trzeciego sejmku, do Konwentu, który miał postanowić o nowej formie rządów. Wkrótce potem nakazało konfiskatę dóbr emigrantów, ogłodzenie i deportację księży, którzy nie chcieli wykonać przysięgi cywilnej.

Żyryndyści zwyciężyli... Czego pragnęli, spełniło się... Teraz będą rządzili... Tak im się zdawało.

Zdawało im się bardzo krótko, zaledwie kilkanaście godzin. Bo w Ratuszu zebrała się banda szubrawców, złodziei, oszustów i fanatyków, którzy wiedzieli bardzo dobrze o tym, iż tacy, jak oni, mogą ostać się tylko gwałtem i bezprawiem. Oparci na uzbrojonych przedmieściach, na dzikości i namiętnościach podrażnionego tłumu, nie mieli wcale ochoty poddać się prawu, nawet republikańskiemu. Albowiem prawo, jakiegokolwiekby ono było, musiało ich potępić. Zresztą, z jakiej racji mieliby się ukorzyć przed ambicjami kilkuset ambitnych adwokatów? Z chwilą kiedy władza legalna, król i konstytucja upadły, ster Francji został bez sternika prawowitego. Kto ten ster pochwyci zuchwałą ręką, ten będzie prowadził skołataną nawę państwa. A na zuchwalstwie nie zbywa kryminalistom i fanatykom z ratusza.

Nie troszcząc się o protest Zgromadzenia Prawodawczego, wzięła komuna przedewszystkiem w ręce swoje policję i roze-

słała psów gończych natychmiast po mieście z rozkazem aresztowania „arystokratów“. W przeciągu kilku dni wypełniły się więzienia Paryża. Szlachcic, ksiądz, mieszczanin, należący do stronnictwa konstytucyjnego, każdy w ogóle, kto był podejrzanym o sympatyę dla monarchii, choćby najspokojniejszy, Bogu ducha winien filister, nie mieszający się do polityki, powinien być pod kluczem, nie wiadomo bowiem, coby mu mogło przyjść kiedyś do głowy.

W domach aresztowanych dokonywają „patryoci“ rewizyi, kradnąc, co się da na prędce schwycić, schować, głównie pieniądze i biżuterię. Dlaczegożby się „cnotliwi Rzymianie“ bez butów nie mieli pożywić, kiedy ich władcy w ratuszu robią to samo. Danton zanurzył ogromną łapę w skarbie państwa, w milionach i wyładował swoją pustą kieszeń i kieszenie swoich kompanów. Łapserdakom bez fachu i rzemiosła, różnym próżniakom rozdał po dwadzieścia, po dziesięć tysięcy franków „za to, że byli dobrymi patriotami“. Całe furgony pieniędzy, biżuterii, złotych i srebrnych naczyń kościelnych, skoufiskowanych w Tuileryach, w pałacach biskupów, magnatów, w kościołach i klasztorach, złożonych w ratuszu pod pieczęcią, przepadły gdzieś w znacznej części mimo pieczęci. Panowie z komitetu komuny, przepasawszy się trójkolorową szarfą, chodzą po gmachach rządowych, rewidują, szukają papierów, korespondencyj „wskazówek, dowodów spisku“ i chowają do kieszeni bez ceremonii przedmioty wartościowe. W domu skarbnika listy cywilnej ukradli biżuterii za 300,000 franków.

Doskonałym teraz jest fachem „patriotyizm“. Nic dziwnego, że ten fach podoba się bardzo różnym golcom. Nie kradną: Robespierre, Marat, Desmoulin i inni fanatycy rewolucyi, ale takich, którym idzie tylko o władzę, jest niewielu.

Bandyci z ratusza czują, że ich gospodarka zaczyna oburzać Zgromadzenie Prawodawcze. Nawet żarliwy Jakobin, Thuriot, zgorszony samowolą radnych miasta i zabójstwami motłochu, woła na mównicy: uwielbiam rewolucyę! (Mimo to oświadczam, iż, jeżeli rewolucya ma tryumfować tylko przez zbrodnię, niech lepiej przepadnie; nie splamię się, ratując taką rewolucyę!

Więc trzeba panów posłów przerazić, steroryzować ich groźbą, by im czasem nie przyszło na myśl, odwołać się do pomocy ludzi uczciwych. Codziennie stają przed Zgromadzeniem Prawodawczem deputacye, bandy uzbrojonych zbójów i wrzesz-

czą, błyskając nożami, sztyletami, potrząsając strzelbami, pikami: Na latarnię, na gilotynę, powiesić, zabić zdrajców! A trybuny, napełnione najętą hałastrą i „Góra“, klaskają, ryczą, grożą tak samo. A na dworze, pod drzwiami sejmu, czekają tysiące oberwańców na znak, by wpaść do sali i załatwić się ze „zdrajcami“, którzy „śmia się opierać woli narodu“. Pod taką groźbą powstają dekreta, rozporządzenia, prawa. Zgromadzenie prawodawcze drży ciągle, niepewne dnia, ani godziny. W chwili najwyższej trwogi o własne życie (17 sierpnia) zgodzili się posłowie na ustanowienie straszliwej pamięci „trybunału rewolucyjnego“, który się wylał w głowie Dantona.

Teraz wiedzą także Żyromdyści, doktrynerzy, fantaści, marzyciele, zapatrzeni na wzory klasyczne, że wszechwładztwo ludu jest gorszym tyranem od Nerona. *Grands dieux, quels cannibales!* — skarży się ich orator, ich Mirabeau, wymowny Vergniaud, patrząc na wyjąca tłuszczę, która zalewa salę posiedzeń.

Oni marzyli o rzeczypospolitej, ale o rzeczypospolitej ludzi uczciwych, bo są sami ludźmi uczciwymi, minowali monarchię, mniemając, spodziewając się, że zajmą miejsca króla, szlachty, duchowieństwa, konstytucyjnego stanu trzeciego. Tymczasem stali się narzędziem szczekaczy z kawiarni, hałastry z klubów jakobińskich i bandytów z ratusza — powolną służbą ulicy, motłochu.

Już w dwa tygodnie po upadku króla, zrozumieli Żyromdyści, że przegrali partyę. Ale strach przed bezlitosną, krwiożerczą „Górą“ dodał im odwagi. Spróbują jeszcze odwrócić nadciągającą burzę, którą czują w powietrzu, zmusić naród do poszanowania prawa — konstytucyi. Tak, konstytucyi, którą sami obalili. Bo widzą teraz także i oni, iż tylko silna władza wykonawcza, oparta na konstytucyi, może ocalić ich i Francję, wydrzeć ludzi uczciwych z drapieźnych pazurów „człowieka - zwierzęcia“. Zapomnieli biedni, że konstytucya już nie istnieje, że ją sami zniszczyli.

W ostatnich dniach sierpnia Zgromadzenie Prawodawcze „wzięło na kiel“. Rozkazało radzie gminnej trzymać się ściśle w granicach prawa, konstytucyi, złodziejom odstawić wszystko, co zrabowali, w przeciągu dwóch dni do skarbu państwa; zakazało sekcyom miasta aresztować ludzi spokojnych; rozwiązało w końcu samozwańczą komunę, rozpisawszy nowe wybory. Da-

remnie stanęli „reprezentanci narodu“ z ratusza przed kratkami Zgromadzenia, grożąc, przeklinając, domagając się cofnięcia dekretów. Żyrodycy nie ustąpili. Bo wiedzą bardzo dobrze, że idzie już teraz nie o zasady, teorię, taką lub inną formę rządu, lecz prosto o życie. Jeżeli ulegną, dadzą gardło. Trybunał rewolucyjny pracuje; już posłał kilku publicystów zachowawczych na gilotynę. Ratuj się, kto może!

Ale i władcy z komuny wiedzą równie dobrze, że, jeżeli będą posłuszni prawu, stracą wszystko, co zdobyli. Jeszcze temu dwa tygodnie byli albo takimi nędzarami, że nie mieli czem zaspokoić głodu, albo taką kanalią bez czci i wiary, że najuboższy, ale uczciwy człowiek omijał ich, jak zapowietrzonych. Teraz rozporządzają krociami, milionami, więżą króla, aresztują książąt, biskupów, ministrów, generałów, kąpią się w blaskach sławy, w kadzidle pochlebstwa, potężni, samowładni. Danton, zmysłowy, hulaszczy, jak Mirabeau, pije rozkosz życia długo spragnionymi ustami, nurza się w rozpuszcie.

Mielizby znów spaść z tych wyżyn królewskich w rynsztok nędzy, grzechu, zbrodni? Nie! Oni nie ustąpią, oni będą walczyli ze Zgromadzeniem Prawodawczym, i zwyciężą, albowiem są zuchwalsi, bezwzględniejsi od Żyrodystów — drwią sobie z prawa i uczciwości.

Przeraża ich nie sama tylko stanowczość posłów. Na granicach Francji wrze wojna. Prusacy, których prowadzi książę Brunszwicki, znakomity wódz, stoją już pod Verdun. Jeśli pobiją Kellermanna i Dumourieza, pójdą prosto na Paryż, uwolnią króla, oswobodzą monarchistów z więzienia a im utną głowy. *I finita la tragedia!*

Co robić w takim położeniu? Wzięci we dwa ognie, Jacobini tracą przytomność ze strachu. Jeden tylko Danton zachowuje spokój i myśli nad tem, w jaki sposób obrzydzić żywiom uniarkowanym, „zdrajcom“, wrogom wewnętrznym chęć buntu przeciwko narodowi. On wie, jakimi środkami zmusza się ludzi przyzwoitych do posłuszeństwa. Kilka tysięcy drapichrustów pchnął 10 sierpnia na Tuilerye i ta garść improwizowanych żołnierzy zdruzgotała tron Burbonów i przeraziła cały kraj. Trzeba tylko śmiało uderzyć, rzucić postrach na *hônnetes gens*, którzy nie lubią się narażać, omijają tchórzliwie awantury, a sprawa wygrana. W więzieniach paryskich siedzi pod kluczem przeszło tysiąc książąt, biskupów, księży, ministrów, generałów, hrabiów,

margrabiów, kawalerów, bogatych mieszczan, nieprzychylnych nowemu porządkowi. Wystarczy zgładzić tych arystokratów, by reszta potulnie zamilkła.

Ale jak zgładzić? Trybunał rewolucyjny pracuje tak wolno, ściał dopiero kilkunastu a czas nagli. Za dwa dni ma Paryż, według dekretu Zgromadzenia Prawodawczego, wybrać nową radę miasta i posłów do Konwentu. Łatwo być może, iż *hônnetes gens*, przerażeni gwałtami Jakobinów, staną teraz wszyscy do urny i wybiorą radnych i posłów z pomiędzy siebie. Byłaby to klęska zwycięzców z dnia 10 sierpnia.

Nie można na to pozwolić, trzeba się śpieszyć.

Wpuści się prosto do więzień dobrze zapłaconych, dobrze pijanych, fachowych morderców i niech sobie pohulają po swojemu. Arystokratom wszystko jedno, czy ich zabijają po sądzie, czy bez sądu. Poszliby i tak na szafot. A że przy tej awanturze zginie może kilkuset ludzi niewinnych, to cóż karygodnego? Codziennie umierają tysiące, krocie, które nie śmierci nie zawiniły i nikt się temu nie dziwi. Pal ich tam lichu!

Tak wykalkulował Danton. Mściwym osobiście, niewdzięcznym, jak Robespierre i inni, on nie był. Zabijał, jako rewolucjonista, a jako człowiek pamiętał doznane dobrodziejstwa. W przeddzień rzezi kazał wypuścić z więzienia kawalera de Marguerne, oficera gwardyi królewskiej, księdza Lhomond, słynnego gramatyka i czterech księży, którzy mu w młodości, kiedy skromny obiad był dla niego biesiadą lukulusową, przychodzili z pomocą. I Duporta, Barnave'a, Lameth'a, swoich byłych przyjaciół, uwolnił. Był on mordercą w dużym stylu, jak wielki zwierz drapieżny. I tak samo, jak każdy wielki drapieżnik, brzydził się podłą mściwością takiego małego kota, żbika, jak Robespierre.

Być może, iż rzeź nie zyska sobie uznania ludu paryskiego, bo nie wszyscy ubodzy pożądamy krwi bogatych. Ale na to jest sposób. Ogłosi się, że arystokraci sprowadzili na Francję Prusaków, aby wyróżnili „narod.“ Lud uwierzy, bo lud wierzy każdej bajce. Nietylko podniecić trzeba sanskulotów przeciw „zdrajcom“, lecz zachęcić ich także do udziału w potwornej zbrodni politycznej. W tym celu ogłosi Komuna wbrew rozkazom Zgromadzenia Prawodawczego, iż wszystko, co „patryoci“ zrabowali w ostatnich tygodniach, jest ich łupem prawowitym, ich własnością.

Danton zna duszę ludu, wie, jak, którądy do niej trafić.

Tak przygotowawszy lud, rzucił minister sprawiedliwości wykonawców swoich na więzienia.

Kogo? Rozumie się, że nie ten właściwy lud miejski, nie uczciwych robotników, nie czeladź rzemieślnicza, nie tych wszystkich, którzy szukają w pracy chleba, bo ci nie będą spełniali smutnej służby katów. Ci boją się Boga i własnego sumienia; tych nie zdemoralizowała jeszcze filozofia encyklopedystów. Do nich nie odwołał się Danton, bo ich nie potrzebuje. Jemu potrzeba fachowych morderców, urodzonych zbrodniarzy, hyen ludzkich. Małoz ich w Paryżu? Przyszli do stolicy „na robotę“ z czterech stron świata, z kraju i z zagranicy. Za dobry wikt, za tyle wina, ile tylko mogą wypić i 24 franki dziennie zamordują jutro, pojutrze samego Dantona i wszystkich władców z rasza.

Dnia 2 września (1792 r.) w godzinach popołudniowych zasiadł w sali więzienia *l'Abbaye* sąd szczególny. Przy długim stole prezydował b. woźny Maillard, już wielce zasłużony dla „świętej sprawy wolności.“ Zabijał, nosił na pikach głowy zabitych, przewodził demonstracyom ulicznym. Wielki patriota! Dookoła niego zasiadli sędziowie, rzeźnicy z przedmieścia, bez kapoty, w koszulach, z rękawami podwiniętymi. Mnóstwo próżnych butelek świadczyło o libacji.

Nie mieli oni nic do sądenia, przed „prezesem“ sądu bowiem leżała lista skazanych, przejrzana przez Dantona, ministra sprawiedliwości. Wiedzieli z góry, kogo mają zarznąć, a kogo uwolnić. Dla zachowania tylko pozorów stawiali więźniom, prowadzanym po kolei z cel, kilka pytań. Ich sądenie polegało na tem, że przeglądali listę Dantona i wskazywali „winnym“ drzwi, przez które mieli wyjść na dziedziniec. Za temi drzwiami czekał szpaler najętych oprawców i zabijał.

Zrazu zabijali tylko dobrowolni kaci. W miarę jednak, jak ich zapach krwi odurzał, upajał, budził się w nich człowiek zwierzę, z całą swoją podłością. Po kilku godzinach nie dosę im było prostego zabijania. Chcieli się rozkoszować bólem, cierpieniem, męczarnią konających. Przeto pozbawiali ich życia wolno, stopniowo, podając ich sobie z rąk do rąk, jak kot myszkę. I tego było im mało. Zmęczywszy się ciężką pracą, łaknęli wytchnienia przy butelce, a że wino rozpala krew, trzeba ją ostudzić. Tyle pięknych kobiet znajduje się między więźniami, w sam

raz przyjemna rozrywka dla patryotów. Więc gwałcili kobiety, beczęścili trupy. I jeszcze za mało. Ku zabawie podłej gawie-dzi, która się zbiegała na ciekawe widowisko, wydzierali z piersi zamordowanych serca i gryzli je zębami, éwiartowali zwłoki, wyrwali włosy, oczy, języki. W nocy urządzali sobie iluminacyę. Na każdym trupie ustawiali lampę, by się galerya w łachmanach, pijana, zbydlęcona, mogła przypatrzeć dobrze twarzom „zdrajców.“

W ten sposób gospodarowali wykonawcy sprawiedliwości Dantona przez sześć dni w więzieniach paryskich. Gdy zabrakło arystokratów, zabijali dzieci, ubogich chłopców, pozbieranych na ulicy i umieszczonych w celach poprawczych w *Bicêtre*.

Tysiąc pięćset sześćdziesiąt osób zginęło pod pikami i szablami zbirów Dantona. Pomiedzy nimi 250 księży (3 biskupów), jedna księżniczka krwi (ks. de Lamballe), jeden minister, p. Montmarin (ten, który wypłacił Dantonowi przed kilku tygodniami z rozkazu króla 100,000 franków, za co zginął), kilku generałów, kilku wysokich urzędników, kilkudziesięciu oficerów, członków najznakomitszych rodów francuskich, mieszczan, kobiet z ludu, ubogich starców i dzieci.

To okrutne widowisko powtórzyło się na prowincyi; wszędzie wypróżniali Jakobini w ten sam sposób więzienia.

Oto „wolność, równość i braterstwo“ — sielanka, skomponowana przez filozofów, a wykonana przez „pierwotnego, dobrego, szlachetnego człowieka natury.“

Bardzoby się Voltaire, Diderot i Rousseau byli zdziwili, gdyby mogli patrzeć na plon swojego siewu. Na swoje szczęście umarli przed wybuchem rewolucyi. I oni należeliby teraz niewątpliwie do arystokratów i zbezczeszczone ich trupy walałyby się w rynsztoku, ku zabawie najplugawszej kanalii, byli bowiem zanadto utalentowani i odważni, by się nie mieli oburzyć na rządy takich władców.

VIII.

Teroryzm i reakcja.

Danton wygrał niebezpieczną partycję po raz wtóry. Jego straszliwa bezwzględność steroryzowała Paryż i kraj. Żyromdyści zbledli; do urny wyborczej stanęli w Paryżu tylko skrajni Jakobini, nikt bowiem z ludzi umiarkowanych nie miał odwagi narazić się gniewowi tak zuchwałych morderców.

Dnia 21 września 1792 r. zebrał się Konwent, który ogłosił nazajutrz rzeczpospolitą. Manifest podpisali Danton i Monge.

Więc spełniły się marzenia Jakobinów: monarchia runęła, rzeczpospolita wykwitła z jej gruzów. „Świątynia wolności, równości i braterstwa“ wznosiła się nareszcie dumna, groźna dla arystokratów, księży i wszelkich zdrajców.

Teraz podadzą sobie niewątpliwie ręce do zgody, uściskają się, ucałują wszyscy dobrzy patryoci, wszyscy cnotliwi „Rzymianie“ i będą pracowali wspólnie dla dobra ubogich, wydziedziczonych. Tyle przecież mówili, drukowali o cnocie, o obowiązkach obywatelskich... Tak gorąco wierzyli, że od nich dopiero zacznie się właściwa historia Francji, a nawet ludzkości, iż, przekreśliwszy kalendarz przeszłości, postanowili liczyć czas od chwili obwołania rzeczypospolitej. Co było przed nimi, cała kultura chrześcijańska, nie warte pamięci. Niech przepadnie lat 1800 „ciemnoty, barbarzyństwa, zbrodni.“

W Konwencie zasiedli sami republikanie, monarchistów bowiem nie wybierano; oni sami zresztą nie kandydowali wcale.

Po co? By pójść na szafot, lub być zabitym na ulicy przez pierwszego lepszego łotrzyka?

Republikanie powinni by tworzyć grupę zamkniętą, jednolitą, bo cóż ich może dzielić?

Stałoby się tak, gdyby człowiek żywy był człowiekiem Rousseau'a, abstrakcją, formułą bez temperamentu, krwi, namiętności, bez ambicji i egoizmu, — białą, niezapisaną kartą. Ale człowiek żywy nie jest abstrakcją.

Oto zajęli prawicę Żyromdyści. Gdzie siedzieli w r. 1789 i w 1790 arystokraci rodowi, szlachta i wyższe duchowieństwo, a w r. 1791 nowi arystokraci, konstytucyjny stan trzeci, tam siedzą teraz oni, republikanie, mieszczaństwo inteligentne. W rewolucjach przesuwają się stronnictwa z błyskawiczną szybkością. Kto wczoraj zepchnął z zajętego stanowiska „arystokratę“, jest dziś sam arystokratą.

Żyromdyści byli w istocie w porównaniu z resztą Konwentu arystokratami, zajmując bowiem w małych miasteczkach, jako adwokaci, notaryusze i zamożniejsi kupcy, stanowiska wybitne i bywając w Paryżu od lat dwóch w lepszych towarzystwach, ogładzili się, wypolerowali, należeli już do warstwy dobrze wychowanych. I uczucia w nich wykwinęły się, pojęcia szlachetniejsze, sposób wyrażania się wytworniejszy. Krwi ludzkiej nie pragnęli, teroryzmu nie pochwali. Im się zdawało, że można „wygadać“ ładnymi mowami i cytatami z historii rzymskiej nową formę rządu. Przekonawszy się, że jeden zuchwały zamach, a nawet jedna krwawa burda uliczna bywa brzemiennejszą w skutki od tysiąca mów najświetniejszych, przerazili się i postanowili nawrócić, wydrzeć z paszczy Konwentu konstytucję z r. 1791 (bez króla oczywiście), by ująć znów cugle władzy w rękę, która się im, arystokracji, inteligencji należy.

Tak samo jednak mniemała skrajna lewica, Góra, przedstawicielka najczernerwiejszych Jakobinów, wyznawczyni wszechwładztwa ludowego. Gospodarowała tam dotąd sama szara hołotka, bez talentów oratorskich i politycznych, a mimo to tak zawsze głośna, dość często zwyciężka przy pomocy trybun i klubów. Teraz zasiedli na Górze w pośród różnych rzeźników, szewców, golibrodów i b. lokajów najzdolniejsi i najodważniejsi dowódcy Jakobinów. Lud paryski wybrał do Konwentu: Dantona, Desmoulinsa, Marata, Robespierre'a, rzeźnika Legendre'a, sam

kwiat Jakobinizmu. Tacy wodzowie ożywią Górę i poprowadzą ją wprawna ręką do boju o władzę.

Walka o zasady już się skończyła z chwilą zdruzgotania tronu i stanów uprzywilejowanych. W Konwencji będzie jeszcze rozbrzmiewało mnóstwo mów zasadniczych, będą latały wielkie słowa, wielkie frazesy, wielkie hasła, ale to już tylko piasek, rzucany w oczy ludności. Idzie już teraz jedynie o to, kto zagarnie zyski, korzyści rewolucyi, zaszczyty, pieniądze, władzę: czy Żyromdyści, lub Danton, Marat, albo Robespierre. Zwycięzcy wezmą się za łby z wściekłością głodnych zwierząt, wydzierając sobie nawzajem łup bogaty. Wszystkie niskie namiętności ludzkie zawyją pod wielkimi słowami i wielkimi hasłami, zmieniają Konwent w hałaśliwą karczmę, a następnie w tak olbrzymi szlachtuz, jakiego jeszcze świat nie widział. Republikanie będą się pożerali nawzajem, aż zginą wszyscy, którzy splamili sumienie swoje krwią niewinną. Tak chce sprawiedliwość odwieczna, która karze bez litości świadomą podłość ludzką. Nie zabijaj dla zaspokojenia ambicij osobistych, samolubnych, śmiertelniku, albowiem nie twojem dziełem jest życie...

Żyromdystom zawadzała Góra i Komuna paryska; Górze — król, aczkolwiek uwięziony, ale jeszcze żywy i Żyromdyści, Robespierre'owi wszyscy: król, Żyromdyści, Góra. Podstępny, tchórzliwy kot postanowił teraz wykonać, o czem marzył oddawna. Był już dość głośny, sławny, wpływowy, by mógł zacząć ryzykować. Wprawdzie nie cisnął jeszcze rękawicy pod nogi przeciwników, nie rzucił się odważnie naprzód, jak Danton, bo jego kocia przezorność nie lubiła hazardu, lecz wiedział już, czego chce. Będzie mącił wodę, waśnił, podjuzdzał jednych na drugich, aż upatrzysz chwilę odpowiednią, skoczy z tyłu na tych, co mu zawadzają.

Konwent, pozornie samowładny, pan Francyi, sędzia wszystkich Francuzów i właściciel ich mienia, zdaleka potężny despot, przed którym drżeli wszyscy, był w istocie gromadą ludzi wystraszonych, steroryzowanych grozą rewolucyi. Wszyscy ci republikanie, którzy wmawiali w siebie, że odnawiają, odradzają Francję i ludzkość, spoglądali na siebie z podełbą, nie ufali sobie, omijali się nawzajem, nienawidzili się. Każdy z nich myślał tylko nad tem, jak pochwycić szybko i rzucić na gilotynę przeciwnika, aby przeciwnik nie wziął jego za gardło.

Barrère, jeden z członków ówczesnego Komitetu bezpie-

czeństwa publicznego, który ocalał wypadkiem, zapytany w lat dwadzieścia potem, jakie ów komitet miał właściwe zamiary, mordując na oslep, odpowiedział: jedyną myślą, jaka powodowała naszymi denuncyacyami, był strach przed gilotyną. Obawiając się wszystkich, zagrożeni ciągle szafotem, zabijaliśmy na prawo i lewo, by nas nie zabito. Posyłając innych na szafot, zaślanialiśmy siebie.

Zaledwie ogłoszono rzeczpospolitą, zabrała się Góra do Żyromdyistów. Była ona wprawdzie i teraz jeszcze w znacznej mniejszości, w każdym prawidłowym sejmie, uznającym jakieś prawo, byłaby uległa, w rewolucyach jednak zastępują prawo nieokiełznane niczem namiętności ludzkie. Słabsza ilościowo Góra była silniejszą od większości niesłychaną brutalnością ludzi oszalałych z ambicji. Członkowie jej ściągali prezesa Żyromdyistów za kołnierz z trybuny, bili ich pięścią po twarzy, przykładali im do piersi szpady, pistolety, tłumili ich mowy taką wrzawą, iż nie było słyhać ani jednego słowa. Pomagały im trybuny, deputacje sekcji klubów jakobińskich, ratusza, w końcu zbrojne bandy, wpadające do sali na każde zawołanie.

Z takim przeciwnikiem trudno walczyć człowiekowi lepiej wychowanemu.

Góra, chcąc zgubić Żyromdyistów, wiedząc, że nowi arystokraci nie pragną głowy króla, postawiła przed sądem Konwentu Ludwika XVI, jako „zdrajcę“. Żyromdyści będą się starali ocalić króla, spekulowała iż skompromitują się w obliczu „cnotliwych republikanów“. Instynkt jednak samozachowawczy bywa w chwilach wielkiej trwogi silniejszym od uczciwości. Trzeba być bohaterem, by poświęcić życie dla przekonania, Żyromdyści zaś nie byli bohaterami, lecz tylko doktrynerami politycznymi. W przeddzień sądu na króla, zapytał ktoś Vergniauda, czy będzie głosował za ścięciem króla? A on na to: dziwię się, że pan mnie ma za tak podłego. A nazajutrz, słysząc piekielną wrzawę Góry, trybun, widząc błyskające sztylety, ułękł się „Scywola, Brutus“ i głosował za śmiercią niewinnego człowieka. Takich było więcej. Strach sędziów o własne gardło skazał króla. Głowa Ludwika XVI, spadła na gilotynie dnia 21 stycznia 1793 roku.

Taki teror rzucił trybunał rewolucyjny, pracujący z każdym dniem gorliwiej przy pomocy Komitetu bezpieczeństwa pu-

blicznego (*Comité du salut public*), właściwie komitetu publicznych denuncyantów, że nawet Danton, zawsze szczery, mający odwagę swoich przekonań, nazywający swoich kompanów z Góry bez żadnej ceremonii „durniami i głupcami“, że nawet on głosował ze strachu za śmiercią króla, chociaż był temu zabójstwu przeciwny. Bo Jakobini, apostołowie wolności, wynaleźli bardzo prosty sposób na zgwałcenie sumienia posłów. W każdej drażliwej sprawie, domagali się głosowania jawnego. W ten sposób zmusili do uległości mniej odważnych wybrańców narodu, lękających się zemsty uzbrojonych przedmieść.

Ocaleni Żyrodnyści, zrozumiałwszy, że właściwy rząd przeniósł się do ratusza, gdzie zasiadali najskrajniejsi Jakobini, przyjaciele Marata, postanowili złamać poraz wtórny potęgę Komuny. Ale i ratusz czuwał. Dnia 2 czerwca (1793 r.) uderzyły przedmieścia w dzwony na trwogę i sto tysięcy uzbrojonych sankiulotów ruszyło przeciw Konwentowi. Armię tę prowadził następca Santerre'a, którego wysłano do Wandei, nowy naczelnik siły zbrojnej Paryża, Henriot, były lokaj, wydalony ze służby za kradzież, następnie oszust, zamknięty z wyroku sądowego w więzieniu Bicêtre, dalej agent tajnej policji, szpieg, zawsze pijany — w końcu generał narodu francuskiego.

Takiemu to „generałowi“ ulegli Żyrodnyści, arystokraci inteligencji, ostatni przyzwoici ludzie rewolucji. Ich przywódców pomiędzy nimi: Brissota, Pétiona, Vergniauda, Gaudet'a, Gensonné'a aresztowano natychmiast i osadzono w więzieniu. Zdarli oni z ramion Ludwika XVI purpurę władcy, chcąc się w nią przyodzierać, szczuli, dopóki im to było potrzebne do ich własnego wyniesienia, ubogich na bogatych, mieszczan na szlachtę i duchowieństwo, ze strachu, z obawy o własne życie nie umieli, nie chcieli oprzeć się rzezi więźniów, mordom trybunału rewolucyjnego, byli bezbożni, deptali pysznie wiarę przodków i dlatego odziała ich sprawiedliwość odwieczna w purpurę ich własnej krwi. Zginęli na gilotynie. Ci, którym udało się uciec z więzienia lub przed uwięzieniem, ukrywali się przez pewien czas po lasach i kniejach. Wszędzie ścigani, szli pieszo, głodni, chorzy, tak okropnie nieraz znużeni, że spali w błocie, byle spocząć chwilę, że padali na twarz, obojętni na pościg. Ale i ci nie uszli swojemu przeznaczeniu. Część ich wyłapali Jakobini i ścieli; część pozbawiła się sama życia. Słynny matematyk Condorcet otrął się, minister Clavière przebił się sztyletem, Rébequi utopił

się, Pétiona i Buzota znaleziono w kniei, poszarpanych przez wilków. Może Pétion, przedzierając się manowcami, nocami, jak tropiony zwierz, do swojej ziemi rodzinnej, tak jeszcze niedawno potężny mer Paryża, a teraz nędzniejszy od najnędzniejszego żebraka, może pożałował swojej nieszlachetności względem rodziny królewskiej. On to wioził Ludwika XVI do więzienia w Temple, a wioził go rozmyślnie wolno krok w krok, przez całe długie dwie godziny, by się Jakobini mogli nasycić widokiem spętanego „tyrana, tygrysa, Nerona“, on to pokazywał parze królewskiej przez okna karety z nietajoną radością podruzgotane posągi królów, rozkoszując się bólem powalonego pana. Kiedy wioził pojmanego króla z Varennes do Paryża, był tylko ordynarnym chamem; wioząc go do Temple był rafinowanie podłym zwycięzcą. Za tę podłość ukarał go Bóg ciężiej od innych.

I głowa pięknej pani Roland spadła.

Pyszna córka rytownika pałała jeszcze w więzieniu, w przedsiomku gilotyny, taką nienawiścią, do rodziny królewskiej, do szlachty i księży, iż obrzucała ich w swoim testamencie, w pamiętnikach, błotem oszczerstwa. Bo tylko ona i jej przyjaciele byli entliwymi; wszyscy inni powinni zginąć.

Za tę pychę skołała na szafocie. Mąż jej, „Katon republikański“, który się salwował ucieczką, dowiedziawszy się o śmierci żony, przebił się szpadą.

Okrutnie, niewdzięcznie obeszła się pierwsza Rzeczpospolita francuska z Żyrodnyściami. A nie tylko z nimi. Zabiła także księcia Orleańskiego, swojego dobrodzieja, którego miliony karmiły, uzbroiły sankiulotów i pomogły obalić monarchię.

Nawet swojego Herkulesa, Dantona, zawlokła na szafot.

Bo oto stała się rzecz pozornie niespodziewana, w istocie zaś naturalna. Danton odwrócił się od skrajnych Jakobinów, pomiarkował się, zarystokratyzował. Ten jedyny mądry i odważny Jakobin rozumiał, że rewolucja weszła na drogę, która prowadzi do reakcji.

Komitet bezpieczeństwa publicznego, komitet denuncyantów ośmieszał się w strachu o własną skórę przegorliwością tchórzliwego delatora. Wszystko wydawało mu się podejrzanem, wszystko było powodem do oskarżenia. Trybunał rewolucyjny, posłuszny niewolnik Komitetu, zamieniał każdą denuncyację, najbłahszą, najgłupszą na wyrok śmierci.

Jedyny Danton pojął, że taka „wolność“ musi się w końcu sprzykrzyć nawet przedmieściom Paryża. Przeto ostygł, ochłoniął, zaczął nawoływać do umiarkowania — stał się „arystokratą.“ Miał już zresztą wszystko, do czego dążył: sławę, znaczenie, pieniądze — był panem. Po śmierci pierwszej żony zaślubił młodzieuchną, szesnastoletnią, nabożną dziewczynę. Być może także, iż wpływ dobrej, uczciwej kobiety oddziałał uśmierzająco na jego duszę gwałtowną.

Za pośrednictwem Desmoulinsa, swojej nadwornej trąby-drwił srodze z niemądrej gorliwości Jakobinów. „Kamilek,“ który sam tylu patriotów lekkomyślnie denuncyował (Bailliego, Laffayette'a, Mirabeau'a, Malouet'a, Lameth'ów, Brissota, Pétiona, Dumourieza, księcia Orleańskiego i wielu innych), nicował teraz z wielkim talentem w „Le vieux Cordelier“ denuncyantów. Powtarzając jakoby Tacyta, pisał: Zbrodni kont-rewolucyi dopuścił się Libon Drusus, albowiem zapytywał wróżbitów, czy bę dzie kiedyś bogatym; zdrajcą był dziennikarz Cremutius Cordus, bo nazwał Brutusa i Kassjusza ostatnimi Rzymianami; groźnym dla ojezyny okazał się jeden z potomków Kassjusza, bo miał u siebie w domu portret swojego pradziada; szkodliwym wicherzycielem był Mamercus Scaurus, bo napisał tragedję, której kilka frazesów zawierały sens dwuznaczny. Karygodnym arystokratą był Torquatus Silanus, bo wydawał dużo pieniędzy; przeciwko wolności zgrzeszył ciężko Petrejus, bo ośmielił się śnić o Klaudyuszu. Przestępcami byli wszyscy, którzy mówili o ciężkich czasach, bo krytykowali w ten sposób rząd. Zasłużyła na śmierć matka konsula Fuzjusza Geminusa za to, że oplakiwała śmierć tragiczną syna. Podejrzanymi byli wszyscy: popularni i niepopularni, bogaci i ubodzy, melancholicy i weseli, cnotliwi i rozpustni, filozofowie, poeci i mówcy, odważni i tchórze. Podli denuncyanci stroili się w dumne nazwiska: Cottów, Regulusów, Scipionów i Kassyszów, Sèwerów, Katonów, Brutusów, a byli tchórzami i złodziejami. Tej hałastrze zdawało się, że wolność jest nimfą z opery, albo sankiulotem w łachmanach, w brudnej koszuli, w czerwonej czapce. „Otwórzcie więzienia — wołał Kamilek, także arystokrata, wróg oberwańców w czerwonej czapce od czasu, kiedy posiadał sam czystą bieliznę, ładne mieszkanie, dobry wikt i miłą żonę — i wypuszcicie wszystkich t. zw. podejrzanych, albowiem w „deklaracyi praw człowieka“ nie powiedziano nic o podejrzanych.“

Kamilek pisał śmiało, odważnie, jak zawsze. Wszakże jeszcze w roku 1787 wówczas, kiedy Ludwik XVI był wszechpotężnym, nazwał króla *mon gros bènêt de roi* i nie mu za to nie było. Monarcha, dowiedziawszy się o jego zuchwalstwie, uśmiechnął się i rzekł: niech się chłopiec bawi; nie przeszkadzajcie mu.

Dlaczegoż nie miałyby powiedzieć prawdy tej hołocie, która się jeszcze temu rok, dwa, walała w rynsztoku brudu, nędzy i grzechu, kiedy się nie obawiał króla? Zapomniał tylko, że prawdziwy król, prawdziwy pan z panów, jeżeli jest głową oświeconą, bywa pobłażliwym dla różnych szczekających kundłów, król zaś sztuczny, podrobiony, ten z szynków, z kawiarni, z ulicy, nie umie być filozofem i panem. Szczekacza, który obraża jego świeżą godność, zabija pałką, kłonicą, drągiem.

Liczył Kamilek na to, że się nikt nie ośmieli dotknąć takiego olbrzyma, jak Danton, że się nikt nie odważy podnieść ręki na przyjaciół wielkiego wodza rewolucyi. I Danton był tego samego zdania. Mnie te kpy nie ruszą—mówił.

„Kpy“ jednak powaliły Dantona, powodowani nie odwagą, lecz jedynie rozpaczą tchórzostwa, strachu, pojęli bowiem, że gdy taki Danton zabierze się do „oczyszczenia rewolucyi“, że gdy on stanie na czele umiarkowanych, wówczas pójdą oni wszyscy precz, spadną z wyżyn władców do rynsztoka, z którego wyszli, a ktoby się opierał, da głowę. Jak biedny zajac, osaczony w matni, nie widząc wyjścia, rzuca się z głową opuszczoną na strzelców, tak rzucili się Jakobini, na swojego wodza. Dantona i jego najbliższych przyjaciół: Desmoulinsa, Westermanna, Philippeauxa i Lacroixa aresztowali zbirowie Komuny d. 30 marca 1794 r. „Okolo tego czasu, rok temu, zaprowadziłem trybunał rewolucyjny — mówił Danton, kiedy się znalazł w więzieniu—za co błagam Boga i ludzi o przebaczenie.“

Straszne godziny musiał przecierpieć w więzieniu ten spętany, w klatce osadzony słoń, ten barbarzyńiec, jak go Taine nazywa, bo jeśli kto, to znał on wartość swoich sędziów. Wrodzona intuicya znakomitego obserwatora, dar szybkiego orientowania się w sytuacji i w motywach postępowania ludzkiego, krytycyzm głowy jasnej, której puste frazesy nie obalamuciły i hojna natura — odsłoniły mu dusze żarliwych patriotów. Oprócz gromadki doktrynerów (Żyryndyści) byli to karyerowicze najpodlejszego gatunku, szubrawcy i tchórze. To całe tałałajstwo

cisnęło się do niego, do ministra, do władcy Francji z ręką chciwie wyciągniętą, zebrać: pieniądze, posady! A on, który lekcewał złoto i umiał być dobrym przyjacielem, sypał krocie, miliony i rozdawał wysokie urzędy głupcom: niech się pożywią! I taka chciwa, brudna hałastrą zmogła jego, olbrzyma, a lud paryski nie wstawił się za swoim oswobodzicielem, nie obronił swojego Brutusa. „Obrzydła mi ludzkość — mówił w więzieniu — mam dosyć tej krwawej komedii; wolę być gilotynowanym, aniżeli dalej gilotynować“.

I straszne godziny musiał przecierpieć Kamil Desmoulins, więcej lekkomyślny, niemądry, ulegający zawsze wrażeniom chwili, jak namiętności ludu, których był doskonałym odbiciem, więcej nierozważny, niż krwiożerczy. Jego ukochana żona, jego ubóstwiana Lucylla błędziła na placu przed więzieniem, płacząc, rozpaczając, a on bił głową o kraty swojej klatki, tak niemocny, bezsilny, jak chora dziecina, on, którego zatrute jadem oszczerstwa i denuncjacyi artykuły zaprowadziły na szafot tylu ludzi. Może przypomniał sobie teraz swoją radość mściwego parweniusza, kiedy komisarze Komuny znęcali się nad uwięzioną królową, obchodząc się z córką Maryi Teresy, jak z dziewczką od cebra i widel, kiedy oderwali od jej łona macierzyńskiego ukochanego syna, oddając królewicza Francji na wychowanie pijanemu od rana do wieczora szewcowi.

Za te lekkomyślne oszczerstwa i denuncjacje, za tę podłą radość ukarał go Bóg surowo. Nawet jego żonę zamordowała rewolucja.

Robespierre zacierał ręce... Wszystko, co Francja posiadała znakomitego rodem, majątkiem, stanowiskiem, zasługą, talentem (król, królowa, ministrowie, biskupi, generałowie, szlachta, duchowieństwo, uczeni, literaci, starsze wybitne mieszczaństwo) wszystkie szczyty społeczne albo pomarły, albo zginęły na szafocie, albo poniewierały się na obcej ziemi. Nawet znakomitsi rewolucyoniści: demokraci z r. 1789, Dupont, Barnave, (ujęci po raz wtóry), demokraci z r. 1791 (Żyrondyści), demokraci z r. 1793 (Dantonisci), wszyscy, którzy obalili monarchię, stworzyli rzeczpospolitą, należeli już do krainy cieniów.

Chytry, przezorny kot został sam; nikt, wyższy, zdolniejszy, odważniejszy od niego, nie stanie mu już w drodze, nie będzie mu przeszkadzał w robocie. Jest jeszcze gromadka na-

rwańców filozoficznych, wielbicieli Voltaire'a i Diderota, ale z tymi załatwi się prędko.

Niemiecki baron von Cloutz, naturalizowany we Francji, człowiek bogaty, podróżnik, literat, narwaniec, ateusz, „osobisty nieprzyjaciel Boga“, powiedział sobie, że czas nareszcie wcielić filozofię. Zgarnawszy dokoła siebie takich, jak on filozofów, postanowił uszczęśliwić Francję „wiarą prawdziwą, jedynie godną człowieka“ — kultem Rozumu. Byłaby to zabawka nieszkodliwa, jak tyle innych ekstrawangancyi w czasach przewrotowych, gdyby przekonani Cloutza nie dzielili członkowie Komuny, głównie zaś Hébert, w nowej radzie gminnej grający pierwsze skrzypce. Ten był kontroler kontramarkarni w teatrze Variétés, wypędzony za kradzież, następnie szczekający patriota z *Palais Royal*, redaktor osławionego, paszkwilowego świstka „Père Duchesne“, na którym robił doskonale interesy, bo kazał sobie płacić po 100,000 franków za manifesty jakobińskie, rozrzucane po kraju, miał swoją ambicję, chciał być „odrodzicielem moralnym“ Francji. A że jako najwplywowszy członek Komuny, posiadał władzę, przeto nakazał zamykać kościoły, bezcześcić ołtarze katolickie, rozbierać księży z sutan, niszczyć krzyże, monstrancje i zaprowadzać wszędzie kult Rozumu. Intronizował w katedrze paryskiej boginię Rozumu, wybrawszy do tej roli panią Momoro, żonę drukarza. Paryż bawił się tą szopką, Paryż bowiem bawi się każdą szopką.

Nie na rękę to Robespierre'owi. Hébert mógłby wyrosć na proroka, zaćmić jego sławę. Przeto ułożył się z Komuną: Wy wydacie mi Héberta, który mi zawadza, ja zaś w zamian za to oddam wam Dantona, który wam zawadza. Zgoda stanęła i Hébert, Cloutz, Ronsin, Chaumette, biskup „zaprzysiężony“ Gobel, jawny ateusz, poszli na gilotynę.

Teraz został Robespierre na krwawem polu rewolucji jedynym sławnym, uznanym, nóż bowiem Charloty Cordya usunął także z jego drogi Marata; teraz wzięli „Ugodę Społeczną“ Rousseau'a: — całą swoją mądrość. Wziął sobie do pomocy paralityka Couthona i 24-letniego kawalera de Saint-Justa. Głównie drugi, który zaczął karierę od tego, że okradł własną matkę i skradzione w domu biżuterje i srebra przejechał z kokotami, za co go rodzina osadziła na sześć miesięcy w więzieniu, będzie jego prawą ręką. Wypuszczony z kozy Saint-Just, zapoznał się z Robespierrem, przejął się jego zasadami i stał się ich

fanatycznym wykonawcą. Chłodny, zimny, nieubłagany, pozbawiony wszelkich uczuć tkliwszych, zawsze ponury, małomówny, stanowczy, nie cofający się przed żadnym czynem gwałtownym, stał się wieloną gilotyną.

Obsadziwszy Komunę, Komitet bezpieczeństwa i trybunał rewolucyjny swojemi kreaturami, był Robespierre dyktatorem.

O co mu szło?

Mirabeau wyraził się niegdyś o nim: Ten głupiec wierzy naprawdę w bzdurstwa, które wygłasza.

Robespierre wierzył w istocie w możliwość praktycznego zastosowania *Contrat Social* Rousseau'a, w możliwość zniwelowania stanów, indywidualności, zwyczajów, obyczajów, inteligencji, majątków, wszelkich różnic w ogóle i w powrót do natury. Wierzył w możliwość wytresowania wszystkich jednostek wielkiego narodu, ludzkości całej, na obywateli „naturalnie“ uczciwych i dobrych. Wierzył w to wszystko ciasną głową mierzoty, która, nauczywszy się jednej książki na pamięć, umie myśleć tylko jej teoryjami, formułkami.

Jakże wygląda ta jego idealna demokracja?

Z wierzchu humorystycznie...

„Obywatele“ (*citoyens*) tego modelowanego państwa zarzucały tytuły „pana“, „pani“, „wy“, tykając się nawzajem, albo *monsieur, madame, vous* obrażają równość braterską. Ubierali się niechlujnie, w dziurawe, cuchnące galgany, nie czesali się, nie myli, nie golili brody, albowiem dzieci natury nie powinny się kępować zwyczajami niepotrzebnej cywilizacji. Wyrażali się gminnie, ordynarnie, gwarą motłochu, klęli, bluźnili, albowiem mowa przyzwoita przypomina nieczemnych arystokratów. Jedyne dyktator Robespierre mógł sobie pozwolić na czyste fraki i czyste żaboty. Każdy inny byłby „podejrzany“ za taką zbrodnię przeciw naturze. Sale radców miasta, sekcyi, urzędów, robiły wrażenia kordygardy, szynku. Dygnitarze siedzieli przy stołach w koszulach, bez butów, porozpinani, brudni. Wypróżnione butelki, obgryzione kości wały się na posadce.

Wewnątrz straszliwie.

Gilotyna pracowała bez wytchnienia, tak, iż publiczny oskarżyciel trybunału rewolucyjnego, Fouquier-Tinville, b. notaryusz, następnie tajny policyant, przechodząc raz nocą brzegiem Sekwany, odezwał się do swego towarzysza: Zdaje mi się, iż krew płynie korytem rzeki.

Jakże pogodzić tę nieustanną rzeź z demokracją, opartą na wolności, równości i braterstwie.

Robespierre pogodził te dwie sprzeczności bardzo dobrze. Ponieważ, twierdził: moja rzeczpospolita jest jedynie rozumna uczciwa, pożądana, ponieważ ona jedna da ludzkości szczęście, przez to powinni zginąć wszyscy, którzy się woli mojej opierają.

I ginęli w Paryżu i na prowincyi, ginęli tysiącami.

A nie tylko dawni arystokraci, szlachta i duchowieństwo, nie tylko nowi arystokraci, starsze mieszczaństwo i proletaryat inteligentny, nie tylko najnowsi arystokraci, dantonisci, lecz także i dzieci ludu, „naród“. Bo w tej idealnej demokracji, był „arystokratą“ każdy, kto posiadał cośkolwiek: kilkanaście mórg ziemi, dom, warsztat, szwalnię, kuźnię, sklepik, dorożkę, cały w końcu surdut na plecach, całe buty na nogach. „Narodem“, „patryotą“, „obywatelem“ miał prawo nazywać się tylko nędzarz ulicy, albo drapichrust, płacony przez rząd za to, że chodził na zebrania klubów jakobińskich i hałasował w Konwencie, przed Konwentem i w ratuszu. Wszyscy inni, to zdrajcy, arystokraci, niepotrzebni w „cnotliwej rzeczypospolitej“, bo zagrażają równości.

Słynny chemik Lavoisier, chluba Francyi, skazany na śmierć w chwili, kiedy pracował właśnie nad nowym wynalazkiem, prosił prezesa trybunału rewolucyjnego o odroczenie wykonania wyroku na cztery tygodnie, „aby mógł ustalić na papierze rezultaty swoich badań“. Prezes odmówił, bo „rzeczpospolita nie potrzebuje uczonych“. Jakiś młody literat, któremu teatr odrzucił sztukę, zgłosił się po protekcję do Barrère'a. Bądź zadowolony, że ci sztuki nie przyjęto — pocieszał go Barrère — dzieło bowiem twoje mogłoby mieć powodzenie, zrobiłoby cię osobistością znaną, a w naszych zaś czasach prowadzi sława, uznany talent na gilotynę. Siedz spokojnie w kącie i nie wychylaj głowy, bo ci ją utną.

Spadały głowy bez wyboru. Na tym samym wózku jechali na gilotynę: generał i majster szewcki, margrabina i szwaczka, hrabia i chłop. Trybunał rewolucyjny ścinał wszystkich: szlachtę, księży, mieszczań, rzemieślników, chłopów, robotników, uczonych, literatów, artystów, starców, dzieci, sędziwe kobiety i młode dziewczęta. A ścinał z przyczyn błahych, dziecinnych, śmiesznych, bez zastanowienia i bez potrzeby — jak tchórz, który wpadłszy do kurnika, dusi, co mu w ręce popadnie, jak szalo-

ny, który, dorwawszy się miecza, tnie bezmyślnie dokoła siebie. Zgraja zapłaconych szpiegów biegała po miastach i miasteczkach, węsząc, wietrząc, szukając „podejrzanych“. Podejrzany zaś był każdy, kto się nie podobał pierwszemu lepszemu jakobinowi, kto go sobie czemś naraził, lub kto mu się nie okupił. Podejrzany czyli skazanym, bo to wychodziło na jedno, był każdy, kto miał stosunki rodzinne w pośród szlachty i w duchowieństwie, kto osmielił się poddać krytyce rozporządzenia władców z ratusza paryskiego, nie kłaniał się dosyć nisko panom reprezentantom narodu.

Ludności zaczęły się te straszne rządy przykrzyć, ten i ów rzemieślnik, robotnik, dorożkarz zaczął szemrać, więc szedł pod nóż jako „arystokrata“, „knujący spiski rojalistyczne“. Już i przekupki paryskie i kokoty, takie gorliwe zrazu patryotki, odwracały się od krwawego ideału demokracji. Coraz częściej słyszano w Paryżu kobiety z ludu, odpowiadając sankiulotom na tytuł „obywatelko:“ „nie jestem obywatelką“, pluję na waszą podłą rzeczpospolitą!

Kiedy skazańców wieziono na szafot, lud, dawniej przyjmujący oklaskami, okrzykami radości straszne wózki (*les charrettes*) i katów, teraz zamykał drzwi, okna, sklepy, by nie patrzeć na zbrodnie „cnotliwego, nieprzedajnego“ dyktatora.

I lud złączył, odczuwszy na własnej skórze dzikość demagogów.

Wiedział o tem wszystkim Robespierre; pienieł się, szalał z wściekłości i rzucał całe stosy dzieci ludu na szafot. On ich chce po swojemu uszczęśliwić, a oni, ślepi, nie oceniają jego szlachetnych zamiarów. Zamiast cieszyć się wolnością, wołają tylko ciągle: chleba! Przeto niech zginą!

Pomagali mu w tem dziele, w „oczyszczaniu“ narodu z żywołów przeciwrewolucyjnych na prowincyi jego wysłańcy, członkowie Konwentu i Komuny, tak zw. komisarze, reprezentanci narodu.

Straszni to byli ludzie!

Taki Duquesnoy trzymał najwyższych dygnitarzów departamentu po trzy godziny w przedpokoju, obchodził się z generałami, jak z parobkami, aresztował w chwilach złego humoru najgorliwszych „patryotów“, bił na ulicy kobiety, dzieci za to, że nie znając go, nie oddawały mu honorów, kazał ścinać wszy-

stkich, którzy „wydawali mu się arystokratami“ na oko, z wyglądu.

Vacheron gwałcił kobiety, zabijając odważniejsze, które mu stawiały opór.

Carrier, Petitjean, Cusset, Tallien, Monestier, Fouché, Lebon, Collott d'Herbois nie pozwalali gilotynie spocząć ani na chwilę. „Okienko narodowe“, „panna Gilotyna“, „krwawa spluwaczka narodowa“, pracowała od świtu do późnej nocy. Po zachodzie słońca przyświecały jej pochodnie. Kaci męczyli się, chorowali z obrzydzenia, a reprezentanci cnotliwej rzeczypospolitej miewali się bardzo dobrze, „oczyszczając naród“.

Carrier, niezadowolony z roboty „panny Gilotyny“, która pracowała, według jego mniemania, za wolno, kazał wiązać parami nagich mężczyzn i nagie kobiety i topić w rzece, co nazywał „weselem republikańskim“. Albo zapełniał statki mężczyznami i spychał ich przez otwory, znajdujące się w dnach, do wody. Były to jego „chrzty republikańskie“.

Najwięcej cierpiał lud na prowincyi. Bo po wsiach i miasteczkach mieszkało wielkie mnóstwo krewnych niższego kleru, którzy, jako krewni arystokratów, byli naturalnie sami arystokratami. Bo chłop, uzyskawszy szmat ziemi, pragnął spokoju do pracy, spoglądał kosem okiem na nieustającą zawieruchę. Bo rzemieślnik, zubożony przez rewolucję, miał jej dosyć. Nierozważne słówko, niechętnie spojrzenie, nieprzyjazny gest prowadziły kontrrewolucjonistę na szafot.

Reprezentanci cnotliwej rzeczypospolitej wygłaszali wprawdzie cnotę Rousseau'a, sami jednak używali życia bez miary. Jeździli karetami, zaprzężonemi w sześć koni, poprzedzani laurami, mieszkali w pałacach, urządzali uczyty lukulusowe, sprowadzali sobie do zabawy wesołe damy z Paryża. Collot d'Herbois i Albitte, przybywszy do Lyonu, nakazali miastu dostarczyć na „użytek reprezentantów“ 200 butelek najlepszego wina i 500 butelek bordoskiego; reprezentanci, „oczyszczający“ Wandę, wypili w przeciągu trzech miesięcy 1,974 butelki, skonfiskowane w zamkach szlacheckich. Upiwszy się podpisywali wyroki śmierci, nie wiedząc nawet kogo, za co oddają w ręce kata. Tak sobie, dla zabawy.

I kradli panowie reprezentanci na prowincyi, jak kruki. Tallien, Javogues rabowali bezwstydnie, aby trwonić, przezorniejsi: Rovère, Fouché, Barras, Andrzej Dumont, Merlin, Rous-

selin, Chateauf-Randon i in. „zarobili i zaoszczędzili znaczne sumy na urządzie reprezentantów narodu, Fouché zostawił po sobie około 15 milionów franków.

Tym ludziom, którzy wyszli albo z kanalii miejskiej, albo ze zwyrodniałych domów szlacheckich (Barras, Randon), upojonym władzą, majątkiem, zaszczytami, oslepionym blaskiem powodzenia, jakiego się nigdy nie spodziewali, spodziewać się nie mieli prawa, wyrzucenym z błota zgnilizny, albo z najniższych nizin społecznych na najwyższe szczyty, — przewróciło się w głowie, jak inaczej być nie mogło, nikt bowiem nie staje się bez przygotowania kilku pokoleń rozumnych, przyzwoitym władcą. Nawet urodzeni rozkazodawcy, którzy mają sztukę rządzenia ludźmi w krwi, tracą dość często równowagę i poczucie tego, co się godzi, a nie godzi, a cóż dopiero tacy despoci, jak Collot, wygwizdany kabotyn teatralny, Tallien, drukarczyk, Henriot, lokaj, wypędzony ze służby za kradzież i t. p. patryoci? Dziwić się nie można tym ludziom, że stracili rozum.

Mordercy, złodzieje, rozpustnicy stali się takimi despotami, iż kacykowie murzyńscy mogliby brać u nich lekcje, jak się nadużywa władzy, drwi z prawa, depce, poniewiera słabszych. Lebon, były ksiądz, krzychał z ambony do ludu: Padajcie na twarz, albowiem stoicie przed mocarzem, który znaczy więcej od króla! Monestier, Fouché, Barras, Carpentier i inni kasowali wyroki trybunałów rewolucyjnych, które nie wypadły po ich myśli. Collot d'Herbois i Carrier gilotynowali bez sądu.

Despoci stali się w końcu rafinowanymi okrutnikami. Asystowali sami przy egzekucjach, rozkoszowali się męczarnią, trwogą skazańców (Carrier).

Oto „świętynia wolności, równości i braterstwa“ — cnota, demokratyczna rzeczpospolita cnotliwego Robespierre'a, ucznia Rousseau'a.

Nigdy nie byli Kaligula, Neron, Domicjan tak straszliwymi despotami, jak ci demokraci, despoci bowiem na tronie prześladowali tylko jeden stan, jedną klasę obywateli, tę, której się obawiali, a oni mordowali wszystkich.

Nie było-ż we Francji nikogo, ktoby się odważył zdruzgotać tych władców oszalałych?

Było ich dużo, ale ci prawdziwi patryoci wzięli karabin na ramię i poszli na granicę bronić ojczyzny przed najezdcami. Francja nowa, wolna, biła się z Prusakami, Austryakami, nie

miała czasu do zajmowania się sprawami wewnętrznymi. Kiedy wróci i zobaczy, co się dzieje w domu, zrobi porządek.

Nie udały się powstania Wandei, Lyonu, Marsylii. Dopiero Napoleon Bonaparte zdusi ręką żelazną hydrę anarchii.

Ale rządy Robespierre'a zaczęły przerażać jego najgorętszych zwolenników. Jak przed rokiem strach przed Dantonem połączył wszystkich tchórzów i zmógł olbrzyma, tak dodał teraz strach odwagi zagrożonym nędznikom i zdławił oszalałego kota.

Robespierre postanowił uwieńczyć swoje dzieło nową religią. Ponieważ Rousseau, jego mistrz, jego natchnienie, wierzył w „Istotę Najwyższą“ „(L'être suprême)“, w abstrakcję filozoficzną, przeto był i on przeciwnikiem ateizmu Diderota, Holbacha i innych encyklopedystów. Do godności dyktatora chciał dołączyć godność arcykapłana.

Lecz tu był o kres jego ambicyi.

Dowcipni Paryżanie drwili z jego śmiesznej uroczystości, jaką urządził (d. 8 czerwca 1794 r.) na cześć „Najwyższej Istoty.“ Dowiedział się o tem i podrażniony w swojej bezbrzeżnej miłości własnej, postanowił ukarać zuchwałych krytyków, „oczyszczyć Francję z bezbożników.“ Zaraz dwa dni potem (10 czerwca) przeprowadził w Konwencie prawo, które oddawało w jego ręce bez sądu życie i mienie wszystkich Francuzów. „Jeśli trybunał rewolucyjny uzna — opiewała ustawa — że posiada faktyczne, albo moralne dowody winy, wówczas są zbytecznymi wszelkie formalności sądowe“ (przesłuchiwanie świadków, obrona). Znaczyło to: kogo wam wskażę, ja, dyktator i arcykapłan, tego zabijecie.

Działo się tak i przed tą nową ustawą, zachowywano dotąd jednak pozory rozprawy sądowej.

O dwadzieścia kilka milionów Francuzów nie szło Konwentowi i jego pretoryanom bez spodni. Niechby ich wszystkich lichy porwał. Wtedy rozebraliby oni pomiędzy siebie dziedzictwo Burbonów. Byłoby im przestroniej... Ale nowa ustawa oddawała także każdego członka Konwentu w krwawe ręce trybunału na prosty donos denuncyantów komitetu bezpieczeństwa publicznego.

Zbledli nowi władcy Francji, wiedzieli bowiem, że Robespierre wydusi ich wszystkich, jak szeszurów.

Więc w trwodze o swoje podłe głowy rzucili się członkowie Konwentu na Robespierre'a i jego sztab i zmogli jego ban-

dę. Dyktator stracił do tego stopnia przytomność, iż nie usiłował się nawet bronić. Ujęto go rannego z roztrzaskaną szczęką i położono na stole.

Kiedy tak leżał, czekając na feleczera, na opatrunek, zwyciężony, bezsilny, zdeptany, poili go zwycięzcy goryczą upokorzenia, której tchórzliwa podłość nie szczędzi nigdy powalonym wielkościom. Tacy sami mordercy, jak on, jego wczorajsi pacholankowie, jego psy gończe, jego płatni szpiedzy denuncjanci i kaci, znęcali się nad nim, obrzucali go obelgami, urągali jego bezsilności. On zwinął się w lęk, jak konający drapieżnik, trawiąc w milczeniu ból, wstyd, rozpacz dzikiego zwierzęcia, osadzonego w żelaznej klatce. Nie odrzekł ani słowa.

Tłumy wyjącej tłuszczy otaczały wózek, gdy go wieziono na szafot. Kobiety z ludu tańczyły z radości przed domem, w którym mieszkał, a robotnicy obryzgali ściany krwią wołu. Kiedy głowa jego spadła, klaskał „naród“ przez kilka minut; wieczorem iluminowano miasto.

Strasliwie karała Opatrzność morderców rewolucyi.

Razem z Robespierrem zginęli na gilotynie dnia 27 lipca 1794 r.: jego brat, Saint-Just, Couthon, Henriot, prezydent trybunału rewolucyjnego Dumas, mer Paryża Fleuriot, Payan i szewc Simon. Nic temu nikczemnikowi nie pomogło, że zasługiwał się gorliwie Rzeczypospolitej, znęcając się nad chorą, nie szczęśliwą sierotą królewską. I ten „patryota“ dał gardło.

Nazajutrz poszło za Robespierrem pod nóż gilotyny 70 członków Komuny.

Teror skończył się. Wprawdzie pracowała jeszcze gilotyna, sprzątając głowy reszty terrorystów (Carrier'a, Duquesnoy'a, Lebon'a, Romme'a, Fouquier - Tinville'a i innych), ale coraz słabiej i rzadziej. Collot'a d'Herbois, Barrère'a, Billaud'a i Vadier'a skazał nowy rząd już tylko na deportację do Kajenny, sześciu zaś innych „górali“ (Amara, Bourdona, Chodieu, Cambona, Thuriot'a i Levasseura) na zwykłe więzienie w zamku Ham. Konwent zamknął kluby jakobińskie, rozbroił przedmieścia, zniósł płacę dzienną (40 sous) dla polityków ulicznych i kawiarnianych, czyli zrobił to, co Ludwik XVI powinien był zrobić w sierpniu 1789 r.

Rzeczpospolita demokratyczna miała się ku końcowi. Zmiarkowali to sprytniejsi Jakobini, jak Barras, Carnot, Frénon, rzeź-

nik Legendre, Merlin, Bourdon, Revère i Lecointre i przedzierzgnęli się w umiarkowanych.

A lud paryski?

Lud paryski „pretoryjanin“ Jakobinów, zobojętniał dla rządu demokratycznego z chwilą, gdy się jego dobrodziejce zabrali do jego gardła. Przypomniawszy sobie, że za rządów królewskich cierpiał wprawdzie głód, ale nie drżał przynajmniej o życie.

Cóż mu zresztą dali demokraci?

Zamiast uregulować stosunek pracy do kapitału, co było ich obowiązkiem, rzucali mu od czasu do czasu jałmużnę w formie chwilowej zapomogi lub chwilowego zajęcia, płacili mu 40 sous dziennie za służbę na trybunach sejmu i na ulicy, żądając za to jego czynnego udziału we wszystkich rozruchach; posługiwali się nim, jak bezmyślnym narzędziem do swoich celów osobistych. Oni, panowie z Komuny, z Konwentu, z trybunału rewolucyjnego i bezpieczeństwa publicznego, pławili się w zbytkach, w ukradzionym dostatku, odgrywali rolę imperatorów rzymskich, a on, którego piki, drągi i rusznice były twórcami ich władzy, jak był przedtem ubogim i głodnym, tak został ubogim i głodnym.

Na rewolucyi skorzystały głównie tysiące sprytnych złodziei i nieuczciwych spekulantów, którzy rozdrapali za bezcen za setną część istotnej wartości dobra króla i emigrantów.

On, miejski i wiejski lud roboczy nie zarobił nic, a nadmiar wleczono w końcu jego, jego żony i dzieci na gilotynę.

Miał dosyć rewolucyi.

Przeto, gdy stanął przed nim w kilka lat później młody orzeł bitew, uwieńczony wawrzynem zwycięstw i rzucał dokoła siebie na znękaną, krwią ociekłą ziemię Francyi chwałę zamiast hańby, sławę zamiast trwogi, wyciągnął lud do niego strudzone ręce i wołał uradowany: *vive l'empereur!*

IX.

Kobieta francuska w rewolucji ¹⁾.

Kobieta francuska odegrała w rewolucji francuskiej tak wielką rolę, że historyk lub psycholog tej straszliwej tragedii nie może jej pominąć.

Wiek osiemnasty wysunął we Francji od samego początku kobietę na pierwszy plan, na sam przód sceny dziejowej. Był to nad Sekwaną wiek płci, zwanej słabą.

Nie królowie, ministrowie, posłowie rządzą, lecz właściwie panie de Prie, de Mailly, de Châteauroux, de Pompadour, du Barry, Marya Antoinette, de Polignac, de Staël, Roland i in. żony, krewne, przyjaciółki, metresy królów, ministrów, posłów, polityków. Wszędzie widać bardzo wyraźne ślady ich roboty zakulisowej.

Kobieta francuska XVIII stulecia — mówią bracia de Goncourt („La femme du XVIII siècle“) jest pierwiastkiem, który rządzi rozumem, który prowadzi głosem, który rozkazuje, przyczyną powszechną, fatalną, źródłem wypadków. Ona przewodni-

¹⁾ W rozdziale tym korzystałem ze studyów Juliusza i Edmunda de Goncourt: „La femme du dix-huitième siècle.“ — „Histoire de la société française pendant la révolution“. — „Histoire de la société française pendant le directoire“. — „Portraits intimes“; z dzieła Michélet'a: „Les femmes de la révolution“; z pamiętników: Marmontela, pani de Genlis, pani Roland, pani d'Oberkich i z „Confessions“ Rousseau'a.

czy epoce. Nic nie wymyka się z pod jej władzy. Ona trzyma w swem ręku króla i Francję, wolę monarchy i opinię publiczną. Rozkazuje na dworze i jest panią ogniska domowego. Rewolucja aliansów i systemów, pokój i wojnę, literaturę i sztukę, mody — wszystko niesie w fałdach swojej spódnicy, nagina do swoich kaprysów i namiętności. Nie ma ani jednego skandalu, ani jednej katastrofy, ani jednego wielkiego wypadku w stuleciu XVIII, w którymby nie brała udziału, wnosząc do nich niespodzianki romansu. Fantazja jej siedzi przy stole doradców korony. Ona dyktuje, stosownie do swoich upodobań, sympatyj i antypatyj, politykę wewnętrzną i zewnętrzną, daje instrukcje ministrom i ambasadorom. Ona narzuca swoje idee, styl nawet, język swój dyplomacyi... Kobieta dotyka się wszystkiego, jest wszędzie. Jest ona światłem, ale także cieniem tej epoki, w której wielkich tajemnicach historycznych ukrywają się zawsze na ich dnie namiętności niewieście — jakaś miłość, jakaś nienawiść, jakaś zazdrość. Kobieta oplata tysiącami swoich wpływów całą administrację królestwa. Usilnością zachodów, rozległością stosunków, zręcznością, namiętnością, uporem starań obsadza swoimi kreaturami wszystkie urzędy państwa.

Skarży się Montesquieu w swoich „Lettres Persannes“, iż nie ma nikogo na urzędach w Paryżu i w kraju, za kimby nie stała jedna z kobiet, przez których ręce przechodzą wszystkie łaski i niełaski.

Zręczność pań francuskich w wyławianiu tłustych posad dla swoich protegowanych maluje doskonale Marmontel („Mémoires“).

Królestwo kobiety francuskiej w epoce przedrewolucyjnej było naturalnym wytworem chwili przejściowej.

Stara kultura — kultura królów, szlachty i duchowieństwa rozsypywała się w gruzy. Król, spełniwszy, co miał do spełnienia, zgnuszał; szlachcic, pozbawiony przez króla znaczenia politycznego, przestał być rycerzem, a stał się światowcem; prałat, owiany krytycyzmem czasu, zaczął się wstydić żarliwości religijnej.

Mężczyzna stanów uprzywilejowanych, wyczerpany trudem umysłowym i fizycznym wielu pokoleń, stracił dawniejszą energię, rzutkość — słabł, słabość zaś mężczyzny jest zawsze siłą kobiety. Czynne życie w radzie i w boju gasnących władców

ustąpiło miejsca pracowitemu próżniactwu życia towarzyskiego, salonowi, w salonie zaś króluje zawsze kobieta.

We wszystkich chwilach przejściowych, na przelomie dwóch epok, podnosi się pleć słaba w zależności, w jaką ją zdrowa, silna pleć mocna wtrąca, o władzę swoją, o prymat zazdrosna. Pomagają jej, oprócz rozkładu tradycji historycznych i omdlenia energii kasty rządzącej indyferentyzm i libertynizm religijny i etyczny, zamykające zwykle jakąś zwiędłą kulturę. Za indyferentyzmem i libertynizmem etycznym idzie rozwiążość obyczajów, głód rozkoszy zmysłowych, najhojniejszym zaś szafarzem słodczy tej ziemi jest kobieta.

Oto dlaczego zgnuśniały mężczyzna-sybaryta kładzie się do jej stóp, spełniając za rozkosz życia posłusznie jej rozkazy i kaprysy. A ona, silniejsza od niego bo, zależna, bierna, nie dopuszczona do roboty dziejowej przez szereg wieków, nie zużyła tyle energii nerwowej, ile on, chwyta śmiałą ręką berło i rządzi dopóty, dopóki nowa, świeża rasa mężka nie zajmie posterunków, opuszczonych przez niedobitków skończonej kultury.

Tak było w Grecyi sofistów, w Rzymie późniejszych imperatorów — tak było we Francyi ostatnich Ludwików.

Kobieta francuska XVIII stulecia stworzyła salon, który stał się wzorem dla całego świata cywilizowanego. Była to nasamprzód tylko zwykła bawialnia, gromadząca dokoła jakiejś starszej damy z towarzystwa grono jej przyjaciół i znajomych. Po dobrym obiedzie, po dobrej kolacyi opowiadano sobie nowiny dnia, plotkowano, grano w wista, w tric-trac, muzykowano. Ale duch czasu, przepojony materiałem palnym, błyskający jaśkrawymi błyskawicami nowych idei, śmiałych teoryj, wywrotowych doktryn, wypłoszył rychło z salonu banalną, jałową konwersację, otworzył go na rozcierz dla żywszego, gorętszego, barwniejszego słowa, zmienił go nasamprzód w rodzaj wykwintnego klubu literackiego, a później w *parloir* polityczny. *Bureaux d'esprit* nazwał dowcip galijski słynne salony paryskie.

Pod koniec pierwszej połowy XVIII stulecia zawładnęły nauka i literatura duszą Francyi inteligentnej. Idee, teorie, doktryny, eksperymenty pionerów, zwiastunów nowych pojęć i nowego porządku, przeszły z gabinetów uczonych do salonów. Wykwintne panie zaczęły się bawić w filozofię, naukę i literaturę w protegowanie młodych talentów, w krzewienie nowinek, jak się przedtem bawiły w nowiny dworskie, w politykę zakulisową.

Każdy większy salon starał się mieć swoich uczonych i literatów, swoją „gwiazdę domową.“ Voltaire burzył powagę Kościoła i tradycyi historycznej pod patronatem pani du Châtelet, Rousseau wygłaszał swoje doktryny socyologiczne u pani d'Epinauy i u marszałkowej de Luxemburg, ksiądz Barthélemy olśniewał talentem swoim gości księżny de Choiseul, Thomas, Marmontel, Gibbon byli stałą dekoracją (parafianinami, *paroissiens*), obiadów pani Necker, encyklopedyści przewracali świat do góry nogami w salonach barona d'Holbach, pani Geoffrin i panny de Lespinasse.

Doskonale wychowani (z wyjątkiem Rousseau'a) uczeni i literaci zabawiali błyskotliwą konwersacją towarzystwo salonów, a wdzięczne gospodynie otaczały ich za to życzliwą opieką, służyły im radą i szkatułą, wyrabiały im pensye i godności dworskie, przywileje na gazety, popierały ich kandydatury do Akademii Francuskiej, płaciły za ich uprzejmość sławą, stanowiskiem i złotem.

Ocierając się ciągle o koryfeuszów nauki i literatury, ulegając ich wpływowi, owiane technieniem ducha czasu, młodsze panie i panny z towarzystwa zapaliły się do wiedzy. Dowiadujemy się z pamiętników pani Genlis, że w drugiej połowie XVIII stulecia damy z najwyższych sfer łączyły się w kółka po kilkanaście osób i uczyły się zawzięcie: chemii, fizyki, historii naturalnej, medycyny, filozofii. Ciekawsze z nich, chciwsze wiedzy, niezadowolone wykładami salonowymi (margrabina de Nesle, hrabina de Brancard, hrabina de Polignac i wiele in.), odwiedzały laboratoria, gdzie śledziły z wielką uwagą i pilnością doświadczenia eksperymentujących uczonych.

Głównie medycyna podniecała ciekawość Paryżanek z towarzystwa. Wszystkie wybitniejsze damy francuskie z epoki przedrewolucyjnej, uczyły się sztuki lekarskiej, chirurgii i anatomii. Były między niemi bardzo zdolne lekarki, jak hrabina de Voisenon i margrabina de Voyer i zamiłowane chirurgiczki, jak hrabina de Coigny.

Szlachcianka francuska drugiej połowy XVIII stulecia wytapetowała sobie głowę wiadomościami z chemii, fizyki, medycyny, formułkami filozoficznymi — była oświeconą, śmiałą rezonerką, ale szczęścia jej ta mądrość nie dała.

Te panie uczone, oświecone, bardzo inteligentne, nudziły się straszliwie na świecie i dlatego może jechały później z ta-

kim spokojem na plac kaźni, kładły z taką obojętnością głowy pod nóż gilotyny. Z wyjątkiem jednej du Barry, metresy Ludwika XV, umierały, jak wiadomo, wszystkie damy z towarzysztwa z brawurą bohaterów.

Na kilka lat przed wybuchem rewolucyi, grasowała wśród dam paryskich choroba, którą lekarze nazywali *les vapeurs*. Był to poprostu rodzaj histeryi, wysoki stopień rozstroju nerwowego, spowodowany życiem przeciążonym wrażeniami, zbyt silnemi dla natury niewieściej.

Ten cały rejwach filozoficzno - naukowo - polityczny, jaki poprzedził rewolucyę, stargał nerwy kobiety starej kultury i zabrał jej szczęście niewieście.

Bo czegoż uczył ją duch czasu?

Panna z towarzystwa, wyszedłszy za mąż, dowiedziała się po słodyczach i zachwytach miesiący miodowych, że wszystko, co marzyła o miłości w małżeństwie było złudzeniem, kłamstwem. Wytlumaczył jej to zwykle sam mąż, libertyn etyczny. Nie na to pobraliśmy się (mówił z drwiącym uśmiechem), by się zabawiać w sielanekę miłości, lecz na to, by owoc naszego związku, dziecko, podtrzymało nazwisko domu i odziedziczyło jego majątek, jego splendory. Małżeństwo swoją drogą, a miłość swoją. Największą rozkoszą życia jest ciągła zmiana; jednostajność nudzi.

Ostudziwszy w ten sposób niepożądane, niewygodne, swobodę krępujące afekty żony, odchodził mąż w „swoją stronę“ do metres, do t. zw. przyjaciółek (*amies*).

A ona, młoda mężatka?

Ona zapłakiwała się prawdopodobnie z początku, rozpacziała, później jednak, jeżeli jej nie powstrzymała religia, rzuciła się z całym temperamentem młodości, z całym głodem użycia młodego życia w wir światowy rozbawionego Paryża, w wir wizyt, teatrów, proszonych obiadów, kolacyj, przeciągających się do rana, skandalów i skandalików, zwłaszcza, iż „pan jej i władca“ nie uważał zwykle za potrzebne być czujnym kontrolerem i surowym sędzią jej postępów. Był zanadto „dobrze wychowanym“, zanadto cynikiem, libertynem, by chciał odgrywać rolę zazdrosnego męża.

Rozumie się, że i wyższe warstwy społeczne XVIII stulecia mogą się pochwalić dobrami, kochającemi się stadłami (państwo: Choiseul, Richelieu, Maurepas, Croissy, Beauveau, Necker

i inni), typem jednak małżeństw dystygowanych był związek konwencyonalny, który zostawiał żonom lekkomyślnym pełną swobodę.

W domu, w pożyciu małżeńskim, nauczyła się szlachcianka francuska libertynizmu obyczajowego, a w salonach, w świecie, między ludźmi?

W salonach, w świecie, między ludźmi spotykała filozofów, uczonych, literatów i naśladowujących ich dyletantów, którzy uważali sobie za obowiązek burzyć w jej duszy, w jej sercu wszystkie święte ołtarze przeszłości. Od apostołów czystego rozumu, od oświeconych bałwochwalców wiedzy ścisłej i człowieka dowiedziała się, że katechizm, którego uczyły ją w domu bony, w klasztorze zakonnice, jest przeżytkiem, że religia, sklecona dla dzieci, dla naiwnych wieków średnich, ustąpiła miejsca rozumowi, że człowiek jest maszyną rezonującą i pożądającą rozkoszy, że małżeństwo dłuższe jest nadużyciem, wstydlivość niewieścia niemądrym konwencyonalizmem, że tylko zaspokojenie instynktu daje szczęście (Diderot).

Małżeństwo, salon, wiedza, życie wypalały w sercu damy światowej: religię, uczciwość, czystość, poczucie obowiązku, burzyły w niej żonę i matkę, odrywały ją lekkomyślnie, okrutnie od jej naturalnego przeznaczenia. Inteligentniejsza, wykształceńsza od swoich babek i prababek, szlachcianka francuska XVIII stulecia nie posiadała ich cnót domowych. Wygimnastykowany, wyszlifowany na oślece dyalektyki filozoficznej rozum wysuszył jej serce.

Przeto uczyła w sobie po burzach młodości, po wypiciu szumiącego kielicha rozkoszy zmysłowych bolesną pustkę, nudziła się śmiertelnie, umierała obojętnie. Nudzą mnie ludzie, nudzi mnie świat—skarżyła się margrabina du Deffand, jedna z owych słynnych *débauchées d'esprit*, protektorka nauki i literatury — zazdroszczę drzewom, albowiem nie cierpią na chorobę nudów.

Przeto powitały owe mądre, dysputujące panie z taką żywą radością dzieła Jana Jakóba Rousseau'a, który mówił im znów o sercu, o miłości, o obowiązkach matki.

Rok 1789!

Na horyzoncie politycznym Francyi zaczęło się błyskać; z dołu, z martwych dotąd, biernych mas ludu szedł ku górze, ku warstwom uprzywilejowanym, głuchy, mściwy pomruk; padł pierwszy grom (wzięcie Bastylii). Większa część dam z najwyż-

szego towarzystwa schroniła się przed burzą zagranicę (emigracja); reszta, śmielsze, zapaleńsze nowatorki rzuciły się odważnie w objęcia rewolucyi.

Z rokiem 1789 zmienia się koloryt towarzystwa paryskiego: salony literackie stają się kuźniami politycznymi.

„Dziś — drwi *L'Echappé du Palais* — zabawia się cała pleć piękna w politykę, mówi, myśli tylko o polityce; nawet subretki rozprawiają ze swojemi paniami o polityce“. Na obiadach, kolacyach, przyjęciach pań Necker, pani de Beauvan, pani de Beauharnais, pani de Sillery - Genlis, pani Helvetius, Pan-koucke, de Sabran, margrabiny de Laval, d'Astorg, baronowej d'Escars, de Coigny, księżniczki Hohenzollern i wielu innych, nie królują już uczeni i literaci. Tych, którzy przygotowali rewolucję, zastępują ich uczniowie i wykonawcy — politycy zawodowi, posłowie, mówcy, agitatorzy. Z gotowalni, ze stoliczków dam znikają traktaty filozoficzne, naukowe, dramaty, powieści, poezye. Piękne i niepiękne panie czytają od r. 1789 tylko „Contrat social“ Rousseau'a, broszury polityczne, gazety, manifesty, świstki okolicznościowe i t. d..

Razem z wejściem polityki do salonu, zmienia się jego ton. Wytworna, lekka, tryskająca dowcipem i paradoksami, zawsze grzeczna, dobrze wychowana konwersacja naukowo-literacka, błyskotliwa *causerie* z przed r. 1789 ustępuje miejsca gorącej, namiętnej, bezwzględnej, często brutalnej, krzykliwej dyspacie politycznej, demoralizującej, odbierającej równowagę nawet najlepiej wychowanym damom. „Kobieta wykwinna — mówi pani Marya Williams (*Aperçus de l'Etat des moeurs*) zmieniła się w Pentezileę, siedzącą przy stoliku herbacianym, drżącą z wściekłości wpośród gwałtownych dysput, parzącą sobie palce i wylewającą herbatę na suknię“.

Jak przed rewolucją uczonych, literatów i artystów, tak protegują teraz, „lansują w świat“ panie z towarzystwa polityków i wpływają na kierunek ich myśli, na ich działalność publiczną. Przed ich areopagiem odczytują posłowie mowy, które mają wygłosić nazajutrz w Zgromadzeniu Narodowym, pod ich cenzurą, poprawiają, przerabiają całe ustępy. Niejedno z szaleństw doktrynerskich rewolucyi wyszło z tych kuźni politycznych, prezydowanych przez panie.

Teraz wysuwa się także na scenę dziejową kobieta z dro-

bnego mieszczaństwa, dla której nie było miejsca w *ancien régime*.

Córka rzemieślnika, małego kupca chowała się w atmosferze zdrowszej, czystszej, aniżeli córka domu szlacheckiego. Przedewszystkiem była jej matka — matką rzeczywistą. Sama ją karmiła i czuwała nad jej latami dziecięcymi, sama, zwykle nabożna, wierząca, składała jej rączęta do pacierza i uczyła ją katechizmu.

Córka drobnego mieszczaństwa wносиła do małżeństwa pamięć ciepłego, serdecznego ogniska domowego, czego dziecku szlacheckiemu, karmionemu przez mamki, dorastającemu pod okiem służby, guwernantek, wtłoczonemu już w piątym roku życia w żelazny kaftan form towarzyskich, obyczaj wieku odmówił. Libertynizm etyczny, zatruwający w wieku XVIII sfery wyższe, nie miał jeszcze czasu zejść do nizin społecznych.

Niższa pod względem towarzyskim i umysłowym od szlachcianki, przewyższała ją mieszczka zdrowiem duchowem i czystością obyczajów. Wychowana skromnie, przywykła od lat najmłodszych do pracy około domu, do gospodarstwa, do kuchni, do robót kobiecych, nie narażona na pokusy i rady życia próżniaczego, strzeżona przed zamążpójściem przez matki, a po ślubie przez mężów, spełniała uczciwie obowiązki uczciwej kobiety. Żadna z kobiet, znanych w rewolucyi, pochodzących z drobnego mieszczaństwa (pani Roland, żona Kamila Desmoulins'a, obie żony Dantona) nie splamiła się wiarołomstwem.

Dwa głównie typy kobiece, wykwitłe z drobnego mieszczaństwa, zarysowały się wyraźnie w rewolucyi. Przedstawicielkami pierwszego były panie Desmoulins i Danton, najdoskonalszem wcieleniem drugiego — była pani Roland.

Pani Łucya Desmoulins, kochająca żona, wpatrzona w męża, jak w cudowny obraz, wzorowa, oddana dziecku matka, przypomina Julię szekspirowską. Zabójstwo tej czystej niewiasty jest jedną z najpodlejszych zbrodni rewolucyi.

Obie żony Dantona, ciche, skromne, pobożne, znoszące cierpliwie niewierności hulaszczego męża, usiłujące powstrzymać łzami, prośbą barbarzyński rozmach jego gwałtownej natury, zasłużyły sobie na powszechny szacunek. Pierwsza żona Dantona umarła w kwiecie wieku, strawiona zgryzotą, poszarpana rozpaczą. Z chwilą kiedy jej mąż zaczął się kapać w krwi, wiedła w oczach i zgasła po kilku miesiącach. Odwieść od zbrodni

Dantona, który na wszystkie uwagi i zaklęcia miał zawsze tę samą odpowiedź: nie wtrącaj się do rzeczy nie swoich, nie rozumiesz się na robocie politycznej! nie mogła. Wołała odejść w krainę cieniów.

I siostra Robespierre'a, panna Charlotta de Robespierre, nie pochwałała krwiożerości brata, była jego przeciwniczką.

Wszystkie te kobiety, powodowane dobrocią serca, nie brały czynnego udziału w polityce, były czystymi, cnotliwymi strażniczkami ogniska domowego, poza które nie wychodziły mimo burzy, jaka dokoła nich szalała, za co im potomność zachowała wdzięczną pamięć. Wszystkie kochały i były kochane przez swoich mężów. Nawet Danton, wrażliwy na wdzięki innych kobiet, chwytający rozkosz, gdzie się dało, ubóstwiał obie żony.

I typ drugi nie miał powodu skarżyć się na obojętność mężów, na co sobie uczciwie zasłużył, bo i on czuwał nad swoją czcią niewieścią. Pani Roland, znacznie młodsza od męża, urodziwa, utalentowana, otoczona licznym dworem wielbicieli, nie pocieszała się wolną miłością, miłość bowiem nie była główną treścią typu, który się w niej najwyraźniej uwypuklił. Niezmiernie ambitna, upokorzona podrzędnym stanowiskiem, na jakie ją urodzenie zepchnęło, uważająca się za równą, za wyższą nawet od kobiety starej kultury, nienawidząca wszystkiego, czego jej los odmówił: nazwiska historycznego, tradycyi wielu pokoleń, przywilejów, ogłady towarzyskiej — rzuciła się z całą namiętnością natury dumnej, energicznej, cheiwej władzy, sławy, znaczenia w kipiątek rewolucyi, spodziewając się od niej wyzwolenia z pęt społecznych, w których się dławiała. Samouczka, kształcąca się dorywczo, czytająca bez porządku wszystko, co jej w ręce wpadło, przesycona doktrynami i paradoksami, których nie była w stanie w młodości oświecić krytycznie, przetrwać, miała się za wyskok rozumu, wierzyła w siebie.

Wszystkie ambicje, nienawiści, guiewy, apetyty, cnoty i wady rasy świeżej, silnej, młodej, nieużytej wysiłkiem umysłowym i nerwowym szeregu przodujących pokoleń, zlały się w tej niezwyklej kobiecie, która powinna się była urodzić mężczyzną.

Z fanatyzmem szczerego neofity, z wiarą namiętnego wyznawcy ukochała rewolucję — „zbawczynię, apostołkę wolno-

ści, zwiastunkę nowej, jasnej ery“. Nie wyszła na ulicę, nie brała czynnego udziału w zamachach na tron, na monarchię, ale w domu swoim, w salonie, w którym dysputowali, rozprawiali Żyrondyści, właściwi twórcy rzeczypospolitej, robiła wszystko, aby podkopać ten tron, tę monarchię. Pozornie nie mieszała się do spraw publicznych, odgrywając zręcznie rolę biernej obserwatorki, słuchaczki, ale w gabinecie męża, gdy go burza rewolucyjna wyrzuciła na fotel ministra, pracowała z nim razem przy jednym stole, odczytywała jego korespondencję, podsuwała mu swoje pomysły, wskazówki „zwykle więcej namiętne, niż rozważne“.

Rewolucya spełniła jej najfantystyczniejsze marzenia, postawiła ją wysoko, ponad upokorzonym tłumem szlachty, na którą spoglądała z dołu, z ubogiej izdebki córki ubogiego, nieznanego rytownika z zazdrością, ale na to tylko, by jej pokazać, że wyżyny społeczne nie są tak rozkoszne i pożądane i tak bezpieczne, jak się jej zdawało i że „zbawczyni, apostołka wolności“ nie jest tak cnotliwą, jak wierzyła. Z wyżyn, z pałacu ministra poszła na szafot, nie wiedząc za co, skazana bez słusznej przyczyny na śmierć. „O wolności, ileż zbrodni spełniono w twojem imieniu“ — zawołała, stanąwszy pod gilotyną. Umarła mężnie, z godnością i spokojem wyznawcy.

Wielkie mnóstwo kobiet nowej, świeżej, nie wytrawionej jeszcze w ogniu życia inteligencji, raczej półinteligencji należało do tego typu. Wiele krzywdy wyrządziła rewolucyi ślepa, namiętna ambicja tych bezkrytycznych entuzjastek wolności, tych urodzonych doktrynerek, których płomienne oczy, obiecujące uśmiechy, gorące uściski podniecały, pchały działaczy politycznych do kroków nierozważnych.

O stopień niżej, pod niemi, w halach targowych, na przedmieściach Paryża, w małych miasteczkach prowincyi burzył się, szumiał, kipiał, olbrzymi tłum kobiet z ludu miejskiego, zwanego pogardliwie motłochem. Burzył się, szumiał, kipiał, bo cierpiał głód, mimo pracy wytężonej, bo nieurodzaje, grady, mrozy ostatnich lat, odjęły Francji chleb, podniosły jego cenę do wysokości, przewyższającej możność ubogiego. Agitatorzy rewolucyjni powiedzieli temu głodnemu tłumowi, że arystokraci, szlachta i księża, niszczą rozmyślnie zboże, zamykają plony w gumnach, aby nienawistny im lud cierpiał nędzę. I powiedzieli mu jeszcze, że gdy oni, Jakobini, dojdą do władzy, będzie chleba w bród i wszelkiego dostatku nie-

przebrana obfitość, że dla wszystkich, dla najuboższych zakwitnie raj niezmaconej niczem szczęśliwości ziemskiej.

Więc rzucił się lud w objęcia rewolucyi.

Przodem szły kobiety. One, matki głodnych, o chleb wołających dzieci, żony smutnych, pracą wyczerpanych mężów, odczuwają najboleśniej bezlitosną chłostę nędzy. Przeto: na pohybel arystokratom, co niszczą zboże, odejmują chleb od ust biedaków, na latarnię z nimi! Doktryn politycznych i socjalistycznych kobiety z ludu nie rozumieją. One wiedzą tylko, wierzą, że gdy „arystokraci zginą, im będzie lepiej.“ To im wystarcza, to ich cała polityka.

Kobiety z ludu paryskiego wyszły odrazu, bez namysłu na ulicę, stanęły uzbrojone obok mężkiej kanalii i obok zawodowych morderców. Brały one czynny udział we wszystkich pochodach, awanturach, buntach, zamachach, hałasowały najgłośniej, najzuchwalej w trybunach sejmu, na galeryach klubów. Wniosły one do rewolucyi wrażliwość, zmienność, bezkrytyczność natury niewieściej i nagą dzikość człowieka - zwierzęcia, przejawiającą się najplastyczniej w podnieconej, brutalnej kobiecie. „Mężczyźni zabijali, kobiety masakrowały,“ znęcały się, pastwiły nad trupami — wyrażają się bracia de Goncourt „(Histoire de la société française pendant la révolution)“.

To wojsko rewolucyjne w dziurawej, brudnej spódnicy prowadziły w Paryżu przekupki t. zw. „Dames de la Halle“, a między nimi głównie słynne handlarki ryb, *les poissons*, „straszliwe westalki, pijane bachantki nowego boga *Liber*.“ Wszystkie owe, zapisane krwawymi literami na krwawych kartach rewolucyi „damy:“ Audu, Agnieszki Lefèvre, Genowefy Dogan, Denizy Lefèvre, Petit, Marye Ludwika Bouju, wszystkie owe „patriotki“, obnoszące po ulicach Paryża na pikach i widłach głowy zamordowanych arystokratów, należały do cechu rybaczek.

Z przekupkami połączyły się kokoty, ulicznice, tworzące wówczas w Paryżu groźny legion, bo liczące przeszło 50,000 głów. Te nieszczęśliwe kreatury, wyplute z łona społeczeństwa mściły się na *ancien régime*, który je piętnował piętnem hańby, golił im głowy, zamykał je w domach poprawczych.

Zrazu, niepewna jeszcze zwycięstwa rewolucya, kokietowała, głaskała, pieściła swoje „amazonki“. Rybaczki wyróżniała, obdarzając je medalami patryotycznymi, sadzając je na swoich uroczystościach na miejscach honorowych, w teatrach w lożach,

wszystkim zaś kobietom w ogóle pozwoliła brać udział w polityce, zawiązywać się w związki i kluby „(Société des amies de la Constitution; Société des femmes républicaines et révolutionnaires). Już w r. 1789 pomieścił Condorcet w *Journal de la société* artykuł o równouprawnieniu kobiet, a Villette żądał w r. 1790 dla każdej kobiety pełnoletniej prawa głosowania. Nawet *l'incorruptible* Robespierre, suchy, bezkrwisty pedant, nie ulegający wdziękom niewieścim, ubiegał się z początku o oklaski płci słabej, która umie wyrównywać drogę do sławy, do znaczenia.

Jakie wojsko, tacy generałowie.

Nasamprzód słynna Théroigne de Mirecourt (właściwie Anna Józefa Tewragne z wioski Marcourt), nieubłagana „Herodyada rewolucyi.“

Dziewczyna z ludu, ładna, niespokojnego ducha, wyszła bardzo wcześnie z domu rodzicielskiego na służbę do wioski Condroz. Uwiedziona tu przez jakiegoś podróżnika angielskiego, udała się z nim do Anglii, gdzie pod nazwiskiem hrabiny de Campinados spędziła kilka lat wesołych. Wróciwszy się do Francji, osiedliwszy się w Paryżu, powiększyła liczny zastęp kokot stolicy, przechodząc z rąk do rąk. Uzyskawszy od jednego z kochanków, od margr. de Persan, niewielką rentę, postanowiła przejść na scenę teatralną, która była najwyższem marzeniem wszystkich wykolejonych dziewcząt francuskich. By się przygotować do kariery artystycznej, nauczyć się muzyki, śpiewu udała się zimą 1789 r. do Włoch, wybuch jednak rewolucyi zmienił jej zamiary. Już w czerwcu 1789 r. znalazła się znów na bruku paryskim i stanęła na czele drużyny bojowej w spódnicy.

Potem Róża Lacombe, stara ulicznica, trybunka, mówca kobiet z ludu.

W końcu Olympia de Gouges (właściwie Marya Gouze), córka drobnych mieszczan z Montauban, mężatka, która uciekła od męża, kokota paryska, literatka i aktorka bez talentu, w końcu działaczka polityczna i społeczna.

Théroigne, odważna, nie lękająca się przelanej krwi ludzkiej, prowadziła konno, w czerwonej amazonce, z pistoletem za pasem, z nagą szpadą w garści, wojsko niewieście na Wersal, na Tuilerye — Róża Lacombe, wódz Jakobinek, prezes klubu republikanek i rewolucjonistek, grzmiała z mównicy, przedstawia-

ła na czele przekupek i sanskiulotek sejmowi petycyje, mocye (*motion*). — Olympia de Gouges, teoretyczka, dotkrynerka rewolucyi niewieściej, *magnus parens* współczesnych emancypantek i feministek, walczyła o prawa ludzkie kobiety.

Théroigne, umiejąca zaledwie czytać i pisać, nie znająca ortografii, biegała po kraju, zwoływała w wioskach i miasteczkach wiece i uczyła naród „katechizmu rozumu, wolności, cnoty“. W Paryżu, w chwilach wytehnienia po krwawej pracy, miała swój salon, który był „portykiem Zgromadzenia Narodowego“. Mirabeau, Brissot, Kamil Desmoulins, Barnave, Chénier, Sieyès, Cloutz, Saint-Just, Péthion, Robespierre, przychodzili do niej z pokłonami, bawili się, dysputowali przy jej stole, na jej obiadach, kolacyach, zjadając jej drobną rentę, zarobioną na nierządzie.

Podrwiwali z niej, z „Muzy demokracji“, z „Wenery, udzielającej lekcyi prawa publicznego“, publicyści royalistyczni: Rivarol, Peltier, Champenets, Suleau, Marchand, nie szczędząc ku zabawie Paryża soli atyckiej. Głównie Suleau, młody, cięty, dowcipny, odważny szampion monarchii. Ale gwałtowna dusza Théroigne'y, „pantery“, jak ją Desmoulins nazywał, nie zapomniała uraz. Na aresztowanego na ulicy przez naród Suleau'a rzuciła się w jasny dzień ze szpadą w rękę. „Naród“ pomógł jej i Suleau zginął pod ciosami pik, drągów, szabel.

Spuszczony z łańcucha religii, prawa gniew głodnego, przez szereg wieków deptanego ludu, wstąpił w kobiety rewolucyi i dał im wymowę burzy, odwagę bohaterów i drapieżność dzikich zwierząt. Nie rozumem, lecz zawsze tylko namiętnością powodowane Jakobinki, przewyższały Jakobinów gwałtownością i okrucieństwem. One to, kobiety z ludu, konwojowały dobrowolnie, wyjąc, przeklinając, tańcząc, wozy, wiozące na plac kaźni skazańców, ich to oczy nienasycone piły z rozkoszą obraz głów spadających, tułowiów rzygających krwią, ich to ręce klaskały podczas egzekucyi najzawzięciej. Kobieta z ludu zmieniła się w furyę, w hyenę, upiła się, odurzyła dymiącą krwią. Jakobinki nosiły w uszach zamiast koleczyków maleńkie złote gilotynki.

A jednak te zwaryowane rezonerki, te oszalałe furye ochłoneły pierwsze, zatrąbiły pierwsze do odwrotu, do reakcyi.

Dlaczego?

Bo były kobietami, bo w piersiach ich biło serce niewieście, cheiwe miłości, treści, natchnienia płci słabej.

Ochłoneły nasamprzód damy światowe, bawiące się w rewolucyę, entuzyastki „jasnej, szczęśliwej przyszłości.“ Te panie wytworne, przesiąknięte wesołym sceptycyzmem Voltaire'a, paradoksami Diderota, doktrynami Rousseau'a, Mably'ego, Raynal'a, oklaskujące z zapalem „modne idee“, były przekonane, że rewolucya zamknie się w granicach dysput salonowych i sejmowych. Gdy jednak rzeź więźniów, pomysłana przez Dantona, gdy zabójstwo króla, królowej, znęcanie się, pastwienie się nad królewiczem zerwały brutalnie z rewolucyi maskę rezonerki, krytyczki, entuzyastki wolności, odsłaniając jej oblicze właściwe — ponurą, mściwą twarz morderczyni, gdy codziennie spadała na szafocie jakaś głowa, znana w „świecie“ — wówczas straciły panie z towarzystwa ochotę do rezonowania politycznego, do zachwywania się mirażami „jasnej, szczęśliwej przyszłości“. Która zdążyła uciec, uciekła, która zaś nieopatrzyła się w samą porę, zginęła pod nożem gilotyny, nie wiedząc zwykle za co! Denuncyował ją jakiś były lokaj, wypędzony ze służby za kradzież, za zuchwalstwo, rzuciła na nią podejrzenie o spisek royalistyczny jakaś praczka, zazdroszcząc jej ładnej sukni, brylantów, powozu. To wystarczało.

Po damach światowych wytrzeźwiały panie z inteligencyi. One tak kochały, uwielbiały rewolucyę, zwiastunkę powszechnej wolności i równości, wykonawczynię rozumu, one podniecały, zagrzewały swoich mężów i braci do boju z przesądami i upiorami przeszłości, były szczeremi republikankami.

A za to?

A za to zabijała im rzeczpospolita ich niewinnych mężów, braci, kochanków, rzucała je same w kwiecie wieku na szafot. Zginęły: pani Roland, pani Desmoulins, żony ludzi, którzy burzyli monarchię, budowali rzeczpospolitą z całą żarliwością uczciwego przekonania, ginęły na prowincyi setki pań z inteligencyi, „niepotrzebnej w państwie demagogicznem, w państwie natury“.

Margrabina de Condorcet, z domu Zofia de Grouchy, była kanoniczka, tak samo młoda, wierna żona starego męża, jak pani Roland, przejęła się duszą entuzyastyczną zasadami słynnego małżonka, osobistego przyjaciela Voltaire'a, Turgot'a, znakomitego matematyka, ostatniego przedstawiciela filozofii XVIII stulecia, tej filozofii, która wyniańczyła, wykołysała rewolucyę. Razem z mężem, teoretykiem pierwszej rzeczypospolitej francu-

skiej, redaktorem jej odezwo i konstytucyi, wierzyła w nowe, promienne, wschodzące słońce wolności. A ta wolność zabrała jednemu ze swoich głównych kapłanów majątek, stanowisko i sięgnęła po jego głowę. Przez kilka miesięcy ukrywał się Condorcet w jakiejś norze paryskiej, przebrany za robotnika. Kiedy wyszedł z miasta, szukając na prowincyi bezpiecznego schroniska, zamykały się przed nim wystraszone domy przyjaciół. Zmęczonemu, głodnemu, zrozpaczonemu ujęli pijani chłopcy, którym się „białe ręce arystokraty“, nie licujące z kapotą i wełnianą czapką robotnika, niepodobaly i odstawili go do więzienia na taczakach, jak chorego psa, jak śmiecie, jak gnój—jego, chlubę Francyi, instruktora rzeczypospolitej. Pani de Condorcet tymczasem, pozbawiona środków do życia, zarabiała na gorzki chleb dla siebie i dziecka malowaniem portretów różnych Jakobinów, którzy zabawiali ją podczas pozowania konwersacją i dowcipami szynku i kordegardy.

Za wiele było sercu niewieściemu tej okrutnej tragedyi, za wiele tej brutalnej poniewierki uczuć żony, matki, córki, kochanki, siostry. I zbuntowało się to serce przeciw rewolucyi.

Najjaśniejszem wcieleniem tego buntu była Marya Charlota Corday d'Armont.

Normandzka szlachcianka z ubogiego, podupadłego domu, prawnuczka po kądzieli Corneille'a, twórcy tragedyi francuskiej, odziedziczyła widocznie podniosłą duszę swojego pradziada. Do cichego klasztoru w Caën, w którym się chowała, przyplęnęła fala rewolucyi, niosąc ze sobą doktryny wywrotowe filozofów i socyologów. Ładna panienska, blondynka z buzią różową, pochłaniała chętnie bez porządku, bez ładu, tak samo, jak pani Roland, jak wszystkie pensyonarki owego czasu, Voltaire'a i Rousseau'a, Raynala i Plutarcha. Głównie Plutarch odpowiadał jej duszy bohaterskiej.

Z zacisznego miasteczka normadzkiego, z Caën, z domku swojej ciotki, pani Breteville, u której mieszkała po wyjściu z klasztoru, śledziła z bijącym sercem rozwój burzy rewolucyjnej. Burza zmiotła już króla, królowę, arystokratów, strąciła Żyrodystów ze stolicy władców, „reprezentanci narodu“ zaczęli mordować na prowincyi. Dokoła dwudziestopięcioletniej panny rozlegał się płacz trwogi, lament rozpacz. Wówczas zrodziło się w jej sercu niewieściem pragnienie zwrócenia nieszczęśliwemu krajowi pokoju. Zdawało jej się, że gdy usunie najobrzydli-

wszego mordercę rewolucyi, Marata, uzbrajającego kobiety z ludu paryskiego w sztylety, położy kres teroryzmowi.

I udała się do Paryża i zabiła Marata z chłodnym spokojem fanatyczki, mścicielki pomordowanych ofiar (13 lipca 1793 roku). Trybunał rewolucyjny posłał ją na gilotynę w czerwonej koszuli ojcobójcy (19 lipca), pomocnik kata spoliczkował jej głowę uciętą, ale większość kobiet nie oklaskiwała jej śmierci. Wiele z nich podziwiała bohaterstwo „mścicielki“ i postanowiło ją naśladować.

Bo czemżeż był ten prześwietny trybunał rewolucyjny? Rzeźnią ohydną! Wiedziały już o tem kobiety paryskie, przysłuchujące się rozprawom sądowym.

Wiedziały, że komitet bezpieczeństwa publicznego, komitet szpiegów i denuncyantów, przysyłał codziennie do trybunału listę oskarżonych z instrukcją, kogo ma zabić. Przy nazwisku skazanego z góry był wyrok: litera *G* (gilotyna), napisana czerwonym atramentem, z dopiskiem na marginesie: *Tête à guillotiner sans rémission*. Wprawdzie pozwalał trybunał bronić oskarżonych, była to jednak tylko obrona pozorna. Gdy się jakiś adwokat zapalił i mówił z ogniem, wówczas w obawie, aby gorące słowo nie podziało na publiczność galeryi, podnosił się z ławy przysięgłych margrabia d'Antonelle lub inny, do niego podobny szubrawiec, zapłacony zbir i wołał: Dalsza obrona jest zbyteczna, sumienie sędziów jest dostatecznie objaśnione! A gdy się oskarżony ośmielił sam bronić, zamykano mu usta: obrażasz trybunał; rozprawy skończone!

Trybunał zabijał na oślep, może nie tyle z okrucieństwa, ile ze strachu. Bo na każdym jego posiedzeniu, gdzieś w kącie siedział człowiek, który słuchał, patrzył uważnie i zapisywał coś w notatniku. Ten człowiek, to szpieg, to czujne oko komitetu *du salut public*, delegowany do nadzorowania sędziów. Niechby tylko który z tych strasznych sędziów, najętych morderców, ośmielił się uczuć w sobie serce, ulitować się nad niewinnością, dał poznać gestem, nieuważnym słówkiem, że nie zgadza się z uprzednim wyrokiem komitetu, jutro, pojutrze wezmą go za kołnierz żandarmerii i z ławy przysięgłych strącą na ławę oskarżonych. A z ławy oskarżonych jechało się ekstrapocztą na szafot. Sędziowie trybunału mordowali posłusznie na rozkaz komitetu bezpieczeństwa publicznego, usiłując „wyzebrać w ten sposób u dyktatorów teroryzmu

przebaczenie za wielką zbrodnię, za to, że ośmieli się żyć". Tę sprawiedliwość bandytów i niewolników, którzy się dorwali do władzy, spoliczkował Girey-Dupré, zasiadłszy na ławie oskarżonych bez kapoty, w otwartej na piersiach koszuli z obciętym kołnierzem, z obnażoną szyją, gotową dla noża: Nie udawajcie sędziów, nie fatygujcie się podłą grą, albowiem widzicie, że zrobiłem już „tualetę“ dla kata. Stary bogacz Magon, znalazłszy się przed obliczem trybunału, rzekł tylko: Jestem bogaty! co znaczyło: nie pytajcie o nic więcej; majątek mój wystarcza do ucięcia mi głowy! Słynny pisarz polityczny, rolnik i botanik, minister des Malesherbes, znudzony podłą gadaniną swoich sędziów, odezwał się: Żeby to, co mówicie, miało przynajmniej jakiś sens, możnaby jeszcze wytrzymać, ale ta cała obłudna gadanina nie ma za grosz sensu; kończcież więc!

Z taką obojętnością i zjadliwością można drwić tylko pod szubienicą.

Kobieta patrzyła wrażliwemi oczami na robotę trybunału i serce jej ulitowało się w końcu nad ofiarami strachu lub mściwej ambicji spasionych bandytów.

Ulitowała się nad niemi oprócz Charloty Corday awanturnicza Olimpia de Gouges, żarliwa republikanka, założycielka klubów politycznych. Rzuciła ona w twarz Robespierre'owi prończą zniewagę: I twoim tronem będzie kiedyś szafot! za co dała gardło (3 listopada 1793 r.), oskarżona o knowania rojalistyczne (zwykły straszak terorystów).

Ulitowała się także nad niemi Róża Lacombe, prezeska Jakobinów, za co ją oczywiście posadzono za kratę.

Ulitowały się nad niemi tysiące działaczek, witających zrazu każdy mord rześistymi oklaskami. Napily się już dosyć krwi arystokratów, naburzyły się, nadruzgotwały dosyć. Teraz chciały wypocząć. Coraz natarczywiej atakowały ostudzone, wytrzeźwione „patryotki“ Komunę i Konwent, domagając się łagodniejszej, pobłażliwszej formy rządu. Natarczywość z początku pieszczonych amazołek rewolucji sprzykrzyła się w końcu władcom z ratusza. Konwent zniósł d. 30 października 1793 roku wszystkie kluby i stowarzyszenia kobiece.

Teraz rozpoczęła się reakcja niewieścia na całej linii, przechodząc coraz niżej, aż do ludu, do „dam z hal“ i kokot. Reakcja rosła w miarę, jak teroryzm, zmiotłszy już wszystko, co się czemkolwiek wychylało po nad strychulec bezbarwnej równości

(ród, majątek, talent, zasługę), łaknący ciągle nowej, świeżej krwi, zabrał się do ludu.

Taką nienawiścią pałały w końcu kobiety z ludu do teroryzmu i Robespierre'a, iż kiedy i jego ostatnia godzina wybiła, tańczyły tańcem oszalałych bachantek przed jego domem i uduśliły w więzieniu Saint-Pélagie starą Duplay, żonę stolarza, która opiekowała się przez dwa lata, „nieprzedajnym dyktatorem“, a udusiwszy ją, powiesiły na zasuwie okna.

X.

Zakończenie.

Zwykle mniema się i mówi, iż twórcą wielkiej rewolucyi francuskiej był stan trzeci, czyli mieszczaństwo.

Mniemanie to mylne.

Rewolucya była tworem ducha owego czasu, koniecznością historyczną, spadła z drzewa starej Francyi, jak spada owoc dojrzały. Przygotowały ją: niemądre marnotrawstwo Ludwika XIV i Ludwika XV, rządy kobiet, metres, dworaków, zgnuszenie szlachty, ambicje mieszczaństwa, nieurodzaje, głody, niezwykłe mrozy, które smagały ubogą ludność Francyi przez cały wiek XVIII, w końcu filozofia i literatura lat kilkudziesięciu.

Rewolucya była naturalnym skutkiem całego szeregu przyczyn, owocem powszechnego niezadowolenia z istniejącego porządku.

Konieczność reform przebudowy państwa czuły tak samo stany uprzywilejowane, jak mieszczaństwo, inaczej bowiem nie byłyby się rzekły dobrowolnie swoich przywilejów; czuł ją sam król, który zwołał Stany Jeneralne nie dla zabawy.

Najwybitniejszych, najzdolniejszych wywrotowców, a nawet terorystów (z wyjątkiem Dantona) dostarczyła szlachta (Lafayette, Mirabeau, Lamethowie, książę Orleański, Barras, Antontonne, Saint - Hurugue, Robespierre, Saint - Just, Condorcet, Cloutz) i duchowieństwo (Gobel, Lebon, Siéyès). Mieszczaństwo przyczyniło się tylko do szybkiego rozpędu rewolucyi w kierunku

ku skrajnym, stanowiąc bowiem z niższym klerem i radykalną szlachtą znakomitą większość w Zgromadzeniu Narodowym, zdruzgotało odrazu siłę i znaczenie korony i byłych stanów uprzywilejowanych, zburzyło bez żadnego przejścia całą przeszłość.

Lecz właśnie ten szybki rozpęd rewolucyi był jej błędem, pchnął ją na tory, na jakie nie powinna była wejść, rzucił ją w krwawe objęcia teroryzmu.

Z chwila, kiedy szlachta i duchowieństwo rzekły się z własnego natchnienia swoich przywilejów feudalnych (4 sierpnia 1789 r.), stało się wszystko, czego Francya w owym czasie potrzebowała. Przewrót był tak ogromny, iż potrzeba było spokojnej, usilnej pracy jednego pokolenia, by go uporządkować i wcielić. Ograniczał on władzę korony, zdejmował z milionów ludu wiejskiego okowy poddaństwa i zbyt ciężkich podatków, zrównał wszystkich Francuzów wobec prawa i obowiązków obywatelskich, otworzył wolną drogę dla zasługi i pracy.

Należało po 4 sierpnia 1789 roku zamknąć konstytucję w ramach ściśle określonych ustaw i czekać spokojnie na skutki reformy. Był później zawsze czas poprawić, przerobić, co się okazało niedostatecznym.

Tak byliby postąpili doświadczeni, wytrawni politycy i mężowie stanu.

Starszych jednak, doświadczonych polityków i mężów stanu zasiadło w Stanach Jeneralnych i w Zgromadzeniu Narodowym niewielu. Głos zresztą tych starszych i doświadczonych mężów był w pierwszych miesiącach obrad sejmowych bezsilnym, zagłuszyły go bowiem, obezwałniły: doktryna wywrotowa Voltaire'a, Rousseau'a, encyklopedystów i zwykle, pospolite ambicje i próżności ludzkie.

Voltaire ośmieszył, podkopał powagę Kościoła katolickiego i chrześcijaństwa, religii w ogóle. Rousseau zburzył powagę władzy rządu monarchicznego i znaczenie kultury; obaj zerwali gwałtownie nić ciągłości historycznej, stawiając na miejscu prawidłowej ewolucyi narodu francuskiego wywrotową doktrynę abstrakcyjnego państwa rozumu, wiszącego w powietrzu.

Doktryna, która przekreśliła całą przeszłość Francyi, zjednała sobie oczywiście najwięcej zwolenników w tych warstwach, dla których przeszłość była macochą, które zazdrościły stanom uprzywilejowanym ich przywilejów i tradycyi. Ambitne mie-

szczaństwo, pragnąc nietylko zrównać się pod każdym względem (politycznym, społecznym i towarzyskim) z arystokracją (szlachta, duchowieństwo), lecz nawet usunąć ją na plan drugi, uczepiło się oburącz doktryny wywrotowej, jako środka do wcielenia swoich słusznych zresztą ambicji, pędziło za nią na oślep, bez opamiętania i zastanowienia.

Daremnie rzekły się stany uprzywilejowane dobrowolnie swoich przywilejów feudalnych, daremnie zgodziły się na reformę, na konstytucję.

Było to ambicyom stanu trzeciego za mało.

On postanowił korzystać z dobrej okazji, zburzyć całą przeszłość, która go nie dopuszczała do władzy, zatrzeć nawet pamięć po niej (szlachectwo, tytuły, herby, nazwiska historyczne).

Historycy rewolucji francuskiej podkreślają zwykle tylko doktryny filozoficzne i polityczne i rezultaty ich (wypadki), pomijając psychologię człowieka w ogóle, jego namiętności, samolubstwo, ambicje. Ale doktryny filozoficzne i polityczne wcielała ludźmi żywi, ludźmi żywi zaś nie są abstrakcjami, działają rzadko bez pobudek osobistych. Trzeba być bohaterem albo prorokiem, aby ukochać jakąś ideę dla niej samej.

Każda rewolucja wyrzuca zawsze na wierzch gromadę ambitników, którzy usiłują upiec przy wielkim ogniu własną pieczeń, pchają się do przodu, korzystają z anarchii i podnieconych namiętności chwili. Dziełem tych ambitników, nie przebiegających w środkach, są teroryzmy. Psują oni zawsze robotę rozważni i spokoju.

Uczą mowy, pamiętniki i listy wybitniejszych osobistości rewolucji francuskiej, że ambicje, egoizmy, nienawiści i zawiści odgrywały w szybko po sobie idących wypadkach rolę pierwszorzędną, wtrącając skolataną, porysowaną nawę państwa w taki wir, iż ją w końcu z tego szalonego wiru mogła wydobyć tylko żelazna ręka żołnierza.

Każdej grupie działaczy szło przedewszystkiem o nią samą, każda z nich, dopiąwszy, o czym marzyła, stygła w zapale, zatrzymywała się w rozmachu wywrotowym, miarkowała się, stawała się rozważną, by... używać w pokoju zdobytej władzy. Zapominała tylko, iż podnieciwszy, wzbudziwszy w celach osobistych apetyty szerokich, nieświadomych mas, odcięła sobie sama odwrót, stała się bezsilną. Stąd owe spychanie jednej grupy przez drugą z zajętego stanowiska, szlachty i duchowieństwa

przez młodsze, młodszego mieszczaństwa przez lud miejski (tak zw. motloch), ludu miejskiego w końcu przez szumowiny społeczne, przez kanalię miast, stąd ów olbrzymi szlachtuż, w którym wczorajsi rzeźnicy stawali się dziś bydlęm zarzynanem. Ambicje leciały z góry na dół w tempie szalonym, od króla i dworu począwszy aż do ostatniego sanskiulota ulicy.

By rządy swoje oprzeć na sile, podburzył stan trzeci z r. 1879 za pośrednictwem gazet i klubów lud miejski i wiejski i podkopywał systematycznie powagę władzy króla, ministrów, urzędów i demoralizował wojsko. Zdawało mu się, że, zniweczywszy cały porządek istniejący, zerwawszy zupełnie nić ciągłości historycznej, zbuduje nowe państwo, w którym on tylko będzie panował.

Omylił się.

Obok niego, mieszczaństwa starszego, zamożniejszego, stało mieszczaństwo świeże, proletaryat inteligentny (pierwsi Jakobini), tak samo ambitne, jak on.

Doktryna Voltaire'a, Rousseau'a i ambicja stanu trzeciego z r. 1789 zmieniły naturalną ewolucję odrazu w rewolucję, w anarchię.

Teraz zrozumiał stan trzeci, że posunął się za daleko, że wezwał do pomocy niebezpiecznego konkurenta i zaczął się cofać.

Ale było już za późno.

Lud paryski, zasmakowawszy w rozruchach ulicznych i we frankach, pobieranych z kasy księcia Orleańskiego za burdy polityczne, teroryzował Zgromadzenie Narodowe, pchał je groźbą do postanowień nierozważnych, wydierał mu z wystraszonych rąk wydartą królowi władzę.

Jeden tylko człowiek mógł jeszcze we wrześniu 1789 roku przywrócić porządek, ale ten jedyny zbawca, Ludwik XVI, był tak słaby, dobry i ulegający, iż nie umiał, nie chciał tłumić anarchii, co było jego obowiązkiem królewskim. Powinien był zamknąć kluby jakobińskie, obezwładnić główniejszych wicherzycielów i rozbroić przedmieścia paryskie. Nie uczyniwszy tego, oddał Francję na pastwę niemądrych eksperymentów doktrynerskich i wszystkich niskich instynktów ludzkich, spuszczonej z łańcucha religii i prawa.

Wytrzeźwione, przerażone bezwzględnością anarchii i dzikością motlochów, ustanowiło Zgromadzenie Narodowe monarchię

konstytucyjną z królem dziedzicznym, mniemając, że zażegna w ten sposób burzę.

Nie zażegnało, rozpętawszy bowiem namiętności i apetyty szerokich mas, w mówiwszy w nie doktrynę Rousseau'a o prawach ludu do samowładztwa, nauczywszy je wówczas, kiedy mu były potrzebne, wpływać bezpośrednio, groźbą i gwałtem, na postanowienia rządu, sejmu, wypuściło z rąk ster wypadków i pozbawiło się nierozważnie prawa żądania posłuchu dla swojej konstytucyi.

Z chwilą zebrania się nowego sejmu (Zgromadzenia Prawodawczego), z końcem r. 1791, rozpoczyna się tragedia rewolucyjna, polegająca na tem, że stronnictwa wydzierają sobie nawzajem władzę. W sejmie i w klubach rozbrzmiewają wielkie słowa, wielkie hasła, rewolucyoniści nazywają się Scewolami, Brutusami, apostołami, odrodzicielami ludzkości, a właściwie idzie o to, kto obejmie dziedzictwo po Burbonach, stan trzeci starszy, czy świeższy, proletaryat roboczy, albo motłoch *recte* ich wodzowie: Mirabeau, Lamethowie, Żyryndyści, Marat, Danton, albo Robespierre.

Po uwięzieniu króla kończy się rewolucya, a zaczyna teroryzm. Danton morduje „arystokratów“ starych (szlachtę i księży), Marat „arystokratów“ nowych (stan trzeci z r. 1789), teroryści z „Góry“ i z Komuny arystokratów najnowszych (Żyryndystów i Dantonistów), Robespierre wszystkich: szlachtę, księży, mieszczan, chłopów, robotników, nawet żebraków. Kto nie pada do jego stóp dyktatorskich, jest arystokratą, *ergo* powinien iść pod nóż gilotyny.

Do takich potwornych rezultatów dochodzi niemądra doktryna, wcielona przez namiętności ludzkie, spuszczone z łańcucha religii i obowiązku. Wolność zmienia się w swawolę, swawola w anarchię, anarchia w krwawy despotyzm, w teroryzm, teroryzm w oszalałego mordercę, zabijającego bez celu i planu. Drapieżniejszą od najdrapieżniejszego tygrysa staje się kreatura ludzka, podlejszą od najpodlejszego gada.

W morzu niepotrzebnie rozlanej krwi giną wszyscy. Ludwik XVI i Robespierre, Marya Antonina i ulicznica z *Palais Royal*, Bailly i Danton, Barnave i Saint-Just, pani du Barry i pani Roland, biskup i organista, księżę i chłop, generał i prosty żołnierz, uczony i analfabeta, bankier i żebrak, starzec i dziecko — wszyscy zginęli pod nożem tej gilotyny.

Nie idea wolności, nie rewolucya mordowała w końcu, lecz oszalały człowiek - zwierzę, walczący z drugim, z bliźnim o władzę i pełną miskę.

Krwawemi zgłoskami wypisała rewolucya francuska na gilotynie naukę dla czasów przyszłych: jeżeli chcecie, aby się przewroty społeczno-polityczne rozwijały prawidłowo, aby były naturalną, trwałą ewolucją, dalszym, ulepszonym ciągiem przeszłości — nie zrywajcie nici ciągłości historycznej, szanujcie tradycje, doświadczenie przodków, nie ubóstwiającie człowieka i jego rozumu, nie oddawajcie władzy w ręce ciemnych, namiętnych, nieuświadomionych mas.

Ale któż słuca ostrzegawczego głosu doświadczonej przeszłości? Każde pokolenie zaczyna robotę na nowo, od samego początku, jak gdyby przed niem nikt nie myślał, nie czuł, nie cierpiał, nie ludził się i nie rozczarowywał.

Warszawa we wrześniu 1905 r.

KONIEC.



85709

T R E Ś C.

	<i>Str.</i>
Od autora	5 — 7
I. Społeczeństwo francuskie przed rewolucyą	8 — 15
II. Doktryny	16 — 29
III. Radykaliści	30 — 59
IV. Jakobini	60 — 76
V. Żyrondyści. — Zamach Dantona	77 — 96
VI. Komuna paryska. — Robespierre	97 — 104
VII. Rządy demagogów.	105 — 111
VIII. Teroryzm i reakcyą	111 — 129
IX. Kobieta francuska w rewolucyi	130 — 147
X. Zakończenie	148 — 153

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

Nowe podręczniki szkolne:

- BOGUĆKA C. i NIEWIADOMSKA C. **Pierwsza książka do czytania** dla dzieci ci od lat 7-miu (zaraz po elementarzu) karton. —.40
- **Druga książka do czytania.** Z ćwiczeniami gramatycznymi dla dzieci od lat 8—10-ciu. Wyd. 2-gie, przejrzone i poprawione. Karton. —.80
- BOGUĆKA C., NIEWIADOMSKA C. i WARŃKÓWNA J. **Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania.** Stopień I —.15
Stopień II —.20
- **Ćwiczenia stylistyczne** we wzorach i tematach. Stopień I, dla młodszych. Wyd. 2-gie, przejrzone i popr. W opr. kart. —.70
- **Podręcznik do wypracowań** dla szkół elementarnych. —.20
- CHRZĄSZCZEWSKA J. i WARŃKÓWNA J. **Rok czytania. Wypisy** na klasę pierwszą. Wydanie 2-gie, przejrzone i popr. W opr. 1.—
- **Toż na klasę drugą.** Wyd. 3-cie przejrzone i popr. W opr. 1.20
- **Toż na klasę trzecią.** Wyd. 2-gie przejrzone i poprawione. 1.35
- DICKSTEIN S. **Arytmetyka w zadaniach.** Część I Liczby całkowite, z drzewor. w tekście. (Wyd. nowe w druku).
- **Toż. Część II: Ułamki.** Wyd. 3-cie, poprawione i powiększone. Karton.—.60
- **Toż. Cz. III: Stosunki.—Proporcjonalność.—Kwadraty.—Sześciiany.—Zadania różne.** Wyd. 2-ie, przejrzone i poprawione. Karton. —.60
- DMOCHOWSKI F. Ś. **Krótki zbiór historii Polskiej** podług najnowszych źródeł histor. Wyd. nowe, poprawione, rozwinięte i uzupełnione spisem chronologicznym 40 kop., karton. —.50
- DRZEWIECKI Konrad. **Początki gramatyki języka polskiego** z ćwiczeniami z przykładami. Wyd. 2, przejr. i popr. Kart. —.60
- **Nauka czytania i pisania.** Z objaśnieniami dla nauczyciela i z wzorami lekcji. Z 16 rys. Karton. —.35
- DZIERŻANOWSKA M., NIEWIADOMSKA C. i WARŃKÓWNA J. **Gramatyka języka polskiego** z ćwiczeniami. Podręcznik szkolny na klasę I, II i III. Karton. —.80
- Elementarz mały** czyli nauka czytania i pisania, z obrazkami i wzorkami pisma. Ułożył Przyjaciel ludu. —.05
- FAIFOFER A. **Pierwsze początki geometrii.** Przetł. z włoskiego W. Kwietniewski. Z licznymi rys. w tekście. Wyd. 2-gie, przejrzone i poprawione. Karton. 1.—
- GALLE Henryk. **Wypisy polskie** z dziejów literatury do użytku szkolnego. Rb. 1.20, w oprawie 1.50
- KONECZNY Feliks Dr. **Dzieje Narodu Polskiego**, opowiedziane dla młodzieży. Karton. kop 80, w oprawie płóc. 1.—
- KORZON Tadeusz. **Historja starożytna** sposobem elementarnym wyłożona. Ze 113 rys. w tekście z dołączeniem 3 map, planu i tablicy synchronistycznej. Wyd. 4-te poprawne rb. 1.50, w opr. 1.70
- **Historja wieków średnich**, wyłożona sposobem elementarnym, z 4-ma mapkami kolor., 61 rys. i tablicą genealogiczną. Wyd. 3-cie, poprawione rb. 2, w oprawie 2.30
- NIEWIADOMSKA C. **A. B. C.** Uczmy się czytać i pisać. Nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisma. Karton. —.30
- **Elementarz.** Nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisma. Karton. —.20
- Pierwszy rok gramatyki.** —.15
- STATTLEŃOWNA H. i JĘDRZEJEWICZ J. **Zbiór zadań arytmetycznych** w zakresie klasy III-ej. Karton. —.50
- TODHUNTER J. **Algebra początkowa.** Tłomaczył z ang. Wł. Kwietniewski. Wyd. 2-gie, opracował i uzupełnił Stefan Kwietniewski. Z rys. w tekście. Część I, z przedpłatą za całość —1.20

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwa

Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich

Chetnicki J's. Z., Katechizm Mały . . . k. 2½

" " **SIEDM GRZECHÓW
GŁÓWNYCH**

w 7-miu kazaniach pasyjnych . . . k. 80

Kordecki, O. Aug. z oryginalną kopią Cudownego obrazu N. M. P. Częstochowskiej wyk. przez Józefa Chelmońskiego i portretem O. Aug. Kordeckiego k. 30

LEKCYE I EWANGELIE na wszystkie niedziele i święta całego roku podług tłumaczenia ks. *Jakóba Wujka*. Wydanie poprawione pod względem językowym i stylowym, *na pięknym białym papierze* brosz. . . rb. 1.60

w oprawie skórkowej, brzegi czerwone . . rb. 2.40
wydanie na welinowym papierze w oprawie szagrynowej, brzegi złożone rb. 4.—

w opraw. w czerw. safian, brzegi złożone rb 5.—

Ojców naszych Wiara święta, katechizm przystępnie wyłożony i przykładami objaśniony, przejrzał, poprawił i streszczeniem uzupełnił ks. *Z. Chetnicki* (stron. 353) kop. 40
w oprawie " 50

Szlagowski ks. Antoni, prof. sem. metrop., **Ojciec nasz**, siedm przykazań Nowego Zakonu, **Syn marnotrawny**, wykład egzetyczno-moralny przypowieści Chrystusowej rb. 1. —

Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie